

ADAM MAKSYMILIAN  
GRZYBOWSKI



# Kaptanka

GDY COŚ CZAI SIĘ W MROKU,  
ZASTANÓW SIĘ, CZY CHCESZ ZAPALAĆ ŚWIATŁO

NOVAE RES

ADAM MAKSYMILIAN GRZYBOWSKI

# Kapłanka



NOVAE RES

*Czy to nie jest zastanawiające,  
że ludzie nad europejską Wisłą  
uważają za swoją tradycję  
religię z nad azjatyckiego Jordanu?*

Źródło: napisano pod pseudonimem Maksymilian

## **Kontynuacja cyklu „Biskup”**

Tego dnia powoli kończyli już pracę. Marek był przemarznięty. Od rana pracowali w deszczu. Nie była to może jakaś wielka ulewa, ale ilość spadającej z nieba wody wystarczyła do tego, by przemoczyć cały jego kombinezon. Nie zważając na ból pleców, zagarniał ziemię łopatą i niwelował doły po ostatnich ekshumacjach. W zasadzie kończyli już pracę na tym starym cmentarzu i Marek czuł ulgę. Pracowali tu z całą miejską brygadą od kilku tygodni, ale wciąż nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju. W miejsce zaniedbanego starego cmentarza, po ekshumacjach i prowizorycznych badaniach archeologicznych, miało tu powstać kolejne osiedle mieszkaniowe.

Klaus, przyjaciel Marka, wraz z pozostałymi robotnikami skończył właśnie ładować ostatnie pokruszone kamienne płyty nagrobne. Na wielu z nich widoczne były wyryte, całkiem dobrze zachowane, choć zarośnięte grubym mchem symetryczne proste krzyże.

– Mark, jedziemy! – usłyszał głos Klause. – Niech sobie deweloper resztę uprzątnie sam.

– Zawieźcie te kamienie i zgarnijcie mnie, wracając – odkrzyknął, gdyż wygrało w nim poczucie obowiązku.

Bariery otaczające miejsce prac zostały już zdjęte. Postanowił dobrze zasypać wykop. Jeszcze jakiś dzieciak tam wpadnie.

Słyszał, jak ciężarówka ruszyła i powoli odjeżdżała, omijając mozolnie wielkie drzewa. Gdyby dokładniej rozejrzał się wokoło, w tej właśnie chwili zdziwiłby się, a może nawet zaniepokoił pojawiającą się jak z podziemi mgłą, która w krótkiej chwili otuliła dęby byłego już cmentarza. Dwa małe kroki za Markiem z tej mgły wyłoniła się drobna kobieca postać, ubrana zupełnie nieadekwatnie do pory roku i czasów.

– O Boże! – krzyknął wystraszony Marek, gdy nagle zobaczył ją stojącą tak blisko za nim. – Ależ mnie wystraszyłaś, dziewczyno! Uważaj, na Boga, na ten wykop!

– Którego boga wołasz? – usłyszał w odpowiedzi i bardzo go zdziwił język dziewczyny. Wypowiedziała te słowa po polsku. Rozumiał treść, ale wymowa była jakby sprzed wieków, albo też z jakiejś zapadłej dziury na wschodzie jego rodzinnego kraju, która przez stulecia nie miała kontaktu ze światem.

– Jak to „jakiego Boga”, dziewczyno? Co ty gadasz? Boga po prostu przecież – zdenerwował się robotnik absurdalnością pytania.

Marek był jeszcze zaskoczony jej nagłym pojawieniem się. Jej dziewczęca bosa postać, odziana jedynie w brudną, lnianą, prostą sukienkę wzbudzała w nim pewien niepokój. Przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem nie rozmawia z jakimś cmentarnym duchem, ale jego racjonalny umysł zaraz odrzucił ten pomysł.

– Kim jesteś, panie, i co robisz na tym cmentarzu? – zapytała dziewczyna, patrząc mu czujnie w oczy.

– „Kim jesteś, panie?”. Dziwnie mówisz, dziewczynko... – Zdziwienie Marka jeszcze wzrosło. – Mówisz jak z innej epoki. Chciałaś chyba powiedzieć: „Kim pan jest, proszę pana?”. Skąd jesteś, dziewczyno? Z Polski? Jak się nazywasz? – dopytywał mężczyzna.

– Zwą mnie... – Tu dziewczyna się zastanowiła. Wyglądało to tak, jakby z trudnością sobie przypominała. – Zwą mnie Kaja, panie – odpowiedziała po chwili.

*Zaczym wiedzieć potrzeba, iż jako trojaki są czarownice, to iest:*

*Szkodzące a ratować nie mogące,*

*Drugie, które ratować mogą, ale z jakiś osobliwej z Szatanem umowy nie szkodzą,*

*Trzecie które y szkodzą y ratować mogą.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,

1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.

# Rozdział 1.

## Więzień

Biskup krakowski Jan Muskata leżał na zimnej posadzce. Spędził na niej wiele ostatnich wschodów słońca. Naliczył ich ponad dwa tuziny. Loch Pałacu Laterano był zimny i wilgotny. A jesień roku 1301 była wyjątkowo chłodna. Leżał niemal w zupełnej ciemności. Jedynym źródłem światła w jego celi było malutkie okno, które znajdowało się bardzo wysoko, poza zasięgiem nawet bardzo wysokiego człowieka, tuż pod kamiennym sufitem. Biskup gorączkował i kaszłał. Coraz trudniej mu było wstawać i przemieszczać się w róg celi, który już jej poprzedni lokatorzy obrali za wychodek.

W nocy coraz częściej zdarzały mu się gorączkowe zwidy. Te mary senne stanowiły jednak jedyne chwile, gdy mógł coś powiedzieć do kogoś. Co prawda do kogoś nierealnego, ale zawsze to coś. Sam już nie wiedział, co w tym lochu doskwiera mu najbardziej. Czy chłód, czy smród, czy kaszel, a może samotność.

W lochu od początku przebywał samotnie. Gdy wrzucano go do celi, jednocześnie wyprowadzono siłą dwóch jej poprzednich lokatorów. Wrzeszczeli wtedy w niebogłosey. Język Italii znał słabo, ale zrozumiał, że więźniowie obawiali się, że są prowadzeni do kata.

Dobrze zapamiętał dzień, w którym dotarł w końcu do tego miasta. Był wówczas bardzo zdenerwowany swoim spóźnieniem na konklawe. Jego przyjaciel Ernest Gerssius, wojewoda krakowski, miał rację. Uprzedzał go wcześniej, że zbyt późno opuszcza Cracovię, by dotrzeć do Lateranu na czas. Gdyby nie niespodziewane kłopoty z końmi, zapewne by jednak zdążył. Miał tylko nadzieję, że nie spóźnił się ze swoimi informacjami na temat Magnusa von Rapparda. Był



przerażony myślą, że przez jego spóźnienie biskup von Rappard mógł zostać wybrany na tron Piotrowy. Miał nadzieję, że chociaż jego wiadomość wysłana gońcem do kardynała Teodorico Ranieriego dotarła na czas.

Zaraz gdy jego wóz w asyście straży minął Porta del Popolo, północną bramę Rzymu, podjechał do nich konno żołnierz gwardii szwajcarskiej, by poprowadzić ich do pałacu papieskiego na Lateranie.

– Oficerze, czy wybór papieża już dokonany? – krzyknął wówczas do gwardzisty przez okno swojego wozu. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Podjechali do tylnej furty ogrodzenia terenu pałacowego. Ich przewodnik wydał głośno jakąś trudną do zrozumienia komendę. Szczęknęła zasuwa i furta została uchylona od wewnątrz. Biskup Muskata zobaczył wówczas wychodzącego z niej brata Alberta, sekretarza świętej pamięci papieża Benedictusa XI.

– Bracie, czy wybór papieża już dokonany? – zapytał wówczas grubego zakonnika.

– Ojcem Świętym jest teraz Klemens V, Ekscelencjo. – Taką otrzymał odpowiedź.

– Ale kto wybrał sobie to imię, bracie? Kardynał Ranieri? – dopytywał zaniepokojony.

– Jego Świątobliwość zaprasza ciebie do pałacu, Ekscelencjo. – Tylko taką uzyskał odpowiedź od brata Alberta, który po tych słowach odwrócił się i zniknął za furką.

Biskup pamiętał, że wszedł wówczas przez furkę, która zamknęła się za nim od razu z głośnym skrzypnięciem. Ktoś zarzucił mu wtedy jakiś worek na głowę i świat zniknął. Obudził się na zimnej posadzce, gdy gwałtownym szarpnięciem zerwano mu z głowy worek i rozcięto więzy. Zobaczył wtedy siłą wyprowadzanych z jego celi przez gwardię szwajcarską dwóch więźniów. Domyślił się wówczas, kto został nowym papieżem, Klemensem V. Domyślił się, że Magnus von Rappard wygrał.

To wydarzyło się już niemal miesiąc księżycowy temu. Od tamtej pory nikt się nim nie interesował. Niemal równocześnie z każdym nadchodzącym świtem otrzymywał miskę ze stawą oraz drugą ze stęchłą wodą do picia. W misce z jedzeniem znajdował zwykle suche i dramatycznie twarde kawałki chleba. Miski wsuwano po uchyleniu niewielkiego okienka w dolnej części okutych żelazem dębowych drzwi.

Tej nocy znów leżał w swojej lnianej, cuchnącej potem koszuli. Znów balansował na granicy snu i jawy. Gorączka i zmęczenie pchały go w kierunku snu, a twardość i chłód posadzki nie pozwalały do końca odpłynąć w sen.

– *Biskupie Janie Muskata...* – usłyszał niespodziewanie kobiecy głos. Był wyraźny, zupełnie inny od dotychczas słyszanych niewyraźnych sennych majaków. Dobiegał jakby z każdej strony jednocześnie.

Biskup otworzył oczy. Z wysiłkiem podniósł głowę, wpatrując się w ciemność pomieszczenia. Oczy przywykły już do mroków lochu. By móc rozeznaczyć się w otoczeniu, wystarczała już im niewielka poświata od gwiazd wpadająca przez małe okno. Loch był zupełnie pusty.

– Czy jest tu kto? – Jego głos zahuczał w murach celi. Odpowiedziała mu jedynie cisza.

Opuścił głowę na zimną posadzkę. Znów zamknął oczy. Gorączka i zmęczenie ponownie zaczęły wciągać go na granicę snu. Odpływał.

– *Biskupie Janie Muskata...* – Ze snu znów wyrwał go ten sam, wyraźny jak na jawie kobiecy głos. Znów dobiegał on nie wiadomo skąd. Uświadomił sobie, że gdzieś już go kiedyś słyszał. Miał on w sobie coś znajomego. Ponownie rozejrzał się po lochu. Nie miał siły wstać, ale nie musiał tego robić. Ze swojego rogu widział całą celę. Nikogo w niej nie było.

– Ktoś ty? – rzucił w mrok pytanie. Czuł niepokój.

Odpowiedź nie nadeszła. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w mrok, ale potem zmęczenie znów wzięło górę. Zasypiał.

– *Nie szukaj mnie w swoim lochu, szukaj mnie na granicy snu, biskupie Janie...*

– Ten sam kobiecy głos znów wyrwał go z objęć snu. Biskup tym razem nie otworzył już oczu. Dotarło do niego, że ten głos, docierający jakby ze wszystkich stron jednocześnie, tak naprawdę odzywa się w jego głowie. Czuł niepokój i zdziwienie, ale pozwolił sobie zagłębić się znów w objęcia snu. Przestał czuć chłód posadzki.

– *Odnalazłam cię w końcu, Janie Muskata...* – Biskup usłyszał głos tej samej kobiety. Tym razem nie pozwolił mu wybudzić się ze snu. Nasłuchiwał dalej. – *Odnalazłam cię w końcu, Janie Muskata...* – powiedział ponownie głos. – *Czy mnie słyszysz?*

Biskup się zastanowił, jak nie wybudzając się ze snu, ma odpowiedzieć na pytanie.

– *Słyszę cię, kobieto* – powiedział w myślach.

– *Znakomicie, biskupie Janie. Czynisz szybkie postępy* – usłyszał w głowie śmiech kobiety.

– *Kim jesteś?* – zapytał w myślach.

– *Znamy się już, Ekscelencjo. Jestem Aisha, siostra Rebekki.*

Biskup rzeczywiście teraz rozpoznawał już ten głos.

– *Aisha? Ta czarownica, którą uwięziłem w Cracovii w celi z tuzinem mężczyzn?* – zapytał biskup.

– *Och, biskupie Janie, sprawdzasz mnie, ale to dobrze.* – Jan Muskata usłyszał w swojej głowie. – *Mówi do ciebie Aisha, siostra Rebekki, którą owszem, uwięziłem w Cracovii w lochu, ale nie z tuzinem mężczyzn, lecz samotnie, i to nawet nie na gołym kamieniu, lecz na skórach krów polskich.*

– *No dobrze, Aisho. Co ty tu robisz ze mną w moim lochu? Nie powinnaś siedzieć teraz grzecznie w swoim, kobieto?* – Biskup nadal był nieufny.

– *Rebecca mnie uwolniła, biskupie* – usłyszał odpowiedź.

– *Jak to możliwe?* – nie wierzył biskup.

– *Czyżbyś zapomniał, że jest czarownicą, biskupie Janie?* – dotarło do niego pytanie.

– *Ale ona nie żyje przecież!*

– *Przez śmierć czasem można wiele dokonać. Biskup Chrystusa powinien o tym pamiętać.* – Znowu usłyszał śmiech kobiety.

– *Ale trzeba być Bogiem, kobieto, by po śmierci czegokolwiek dokonać!* – zirytował się biskup.

– *Nie doceniasz czarów, biskupie Janie.* – Czuł, że kobieta drwi z niego.

– *Nie chcę mieć nic wspólnego z czarami, z tym plugastwem, wiedźmo* – zirytował się.

– *A jak myślisz, Ekscelencjo, co ty robisz w tej chwili?*– Tym razem wyczuł irytację w głosie kobiety. – *Rozmawiasz ze mną, choć jestem dwa dni drogi od ciebie. Czy myślisz, że korzystasz teraz z mocy Boga? Czymże innym jest ta rozmowa, jak nie czarami, Ekscelencjo?*

Biskup zamilkł. Zaczął się zastanawiać nad słowami czarownicy. Nie wydawało mu się możliwe, żeby to była jakaś diabelska moc. Na pewno by to poczuł, potrafił to wcześniej dostrzec i rozeznaczyć. Najbardziej prawdopodobne wydało mu się teraz, że ta cała rozmowa mu się śni.

– *Nie śnisz, biskupie Janie. Naprawdę rozmawiamy* – usłyszał w głowie kolejne słowa. – *Rebecca nauczyła mnie tego. Ona wciąż jest duchem ze mną, biskupie.*

– *Skąd wiesz, czarownico, że pomyślałem w tej chwili, że to wszystko mi się śni? Znasz moje wszystkie myśli?* – Biskup zaniepokoił się nie na żarty.

– *Jeszcze nie nauczyłeś się osłaniać myśli, biskupie Janie, ale to przyjdzie z czasem. Mnie nauczyła tego moja siostra* – przyznała czarownica.

– *Czego jeszcze cię nauczyła?* – zadał kolejne pytanie.

– *Powiedziała mi, że nauczyła mnie już wszystkiego, co umie.*

– *Jak uwolniła cię z mojego lochu? Może kłamiesz i wciąż tam jesteś?* – Biskup nadal jej nie ufał.

Zamiast odpowiedzi w postaci słów biskup zobaczył znajomy korytarz piwniczny. Znał ten korytarz bardzo dobrze. To były piwnice kaplicy świętego Mikołaja, dobudowanej przez jego poprzednika do katedry krakowskiej. Te piwnice służyły biskupom krakowskim nie tylko do przechowywania ciał braci w wierze, lecz także jako loch. Jan Muskata zobaczył jakąś postać idącą powoli piwnicznym korytarzem. Ktoś posuwał się jak lunatyk. Z wysiłkiem szurał stopami. Oczy miał zamknięte. Po chwili biskup rozpoznał tę postać. To był jeden z zaufanych strażników. Zbliżył się do drzwi celi. Stał przed nimi i po chwili powoli odsunął zasuwę i pociągnął klamkę. W drzwiach pojawiła się Aisha w długiej sukni.

– *Jesteś wolna, Aisho, pozdrawiam cię, siostrzyczko.* – Do uszu biskupa dobiegł męski głos.

Biskup zrozumiał, że słowa te wypowiedział strażnik. Biskup zobaczył jeszcze, jak kobieta rusza korytarzem w kierunku wyjścia, a strażnik dalej śpi na stojąco. Obraz zniknął.

– *Wierzysz mi teraz, biskupie Janie?* – usłyszał znów w głowie kobiecy głos.

– *Nie wiem* – odpowiedział szczerze. – *Jaki jest Twój cel, czarownico, w rozmowie ze mną?*

– *Chcę cię uratować, biskupie Janie* – dotarła do niego odpowiedź. – *Rebecca mnie o to prosiła.*

– *Dlaczego chcecie mnie ratować?* – Znów był nieufny.

– *Bo coś nam obiecałeś, biskupie Janie.*

– *Co takiego wam obiecałem?* – Biskup jeszcze raz postanowił sprawdzić rozmówczynię.

– *Obiecałeś nam osobistą spowiedź, biskupie Janie.*

– *I dlatego czarownice chcą mnie ratować? Dla spowiedzi?* – powątpiewał Jan Muskata.

– *Tak, biskupie. To dla nas ważne, ale chcemy również zniweczyć plan Magnusa von Rapparda.*

– *Przecież on już wszystkie swoje plany zrealizował, kobieto. Co my możemy zrobić?* – Wspomnienie von Rapparda wzbudzało w nim złość. – *Na pewno w drodze do Cracovii jest już nowy biskup krakowski wyznaczony przez von Rapparda na moją diecezję.*

– *Sytuacja się zmieniła, biskupie Janie. Rzeczywiście twój następca jest w drodze do Cracovii, ale możemy jeszcze zatrzymać rozlew krwi twoich rodaków. Magnus von Rappard, czyli papież Klemens V, nie żyje od kilku dni.*

– *Co takiego?!*

Wiadomość była tak zaskakująca, że biskup wybudził się momentalnie ze snu i konwersacja z czarownicą się urwała.

– *Boże, ja chyba śniłem...* – Te słowa wypowiedział już na głos w ciemność panującą w lochu. Nikt mu oczywiście nie odpowiedział.

Biskup Jan Muskata próbował znowu zasnąć, ale po tym, co usłyszał, było to niełatwe. Przez małe okienko celi zaczynały wpadać pierwsze nieśmiałe promienie słońca, gdy mu się to udało.

– *Aisho...* – Pierwszy raz wywołał ją myślowo po imieniu.

– *Dobrze, że znów ci się udało połączyć ze mną, biskupie Janie, bo mam ci jeszcze ważne rzeczy do powiedzenia...*

– *Jak umarł von Rappard?* – Jan Muskata przerwał czarownicy.

– *Świadkowie mówią, że szukał czegoś na cmentarzu Stolberg. Próbował ująć tam też jakiegoś człowieka, który okazał się słowiańskim demonem, posługującym się ogniem i mgłą. I tam padł nagle jak rażony piorunem.*

– *Tak się kończą pakt z diabłem! Zasłużył sobie, morderca! Niech się smaży w piekle!* – Biskup poczuł ulgę.

– *Von Rappard nie żyje, ale grozi ci niebezpieczeństwo, biskupie Janie.*

– *A któż inny na Lateranie mógłby chcieć teraz mojej śmierci, kobieto?* – Biskup nie dowierzał.

– *Ten, który w przebraniu gwardzisty szwajcarskiego powitał cię w bramie Rzymu. Ten, który przeszukał cię i jest w posiadaniu pamiątnika Rebekki. Ten,*

*który przeczytał pamiętnik i chce wiedzę tam zawartą wykorzystać. Ten, który służył von Rappardowi wiernie, szpiegował dla niego i knuł, jednocześnie coraz bardziej go nienawidząc. Hrabia Harold de Millow.*

Biskup przypomniał sobie twarz gwardzisty, który czekał na jego przyjazd w bramie Porta del Popolo.

*– Tak, to jego twarz, biskupie Janie – potwierdziła czarownica. – To chorobliwie ambitny i obsesyjnie okrutny człowiek. Bezwzględny. Gna właśnie ze swoimi żołnierzami z Akwizgranu do Rzymu. Przybędzie do rzymskiego Lateranu najpewniej dziś około południa. Wiezie dla Rzymu wiadomość o śmierci Klemensa V. Tu jeszcze nikt nie wie, że świeżo wybrany papież nie żyje. Co gorsza, de Millow ma już ułożony w głowie plan, który obejmuje również ciebie, biskupie.*

*– Skąd to wszystko wiesz, kobieto? – Jan Muskata był zadziwiony wiedzą czarownicy.*

*– Rebecca świetnie przegląda senne umysły, biskupie Janie. Tak samo jak przejrzała twój jeszcze w Cracovii i wiedziała, co uczynisz z jej pamiętnikiem. Tak samo przejrzała plany de Millowa. To są zalety bycia duchem, biskupie Janie – usłyszał w odpowiedzi.*

*– Przeróżające – skomentował Jan Muskata. – Powiedz mi zatem, jaki ma plan ten de Millow.*

*– On chce jeszcze dziś cię przesłuchać. Śni o tym obsesyjnie. Być może będzie cię torturował. Chce się dowiedzieć więcej. Chce wiedzieć, skąd masz ten pamiętnik, czy są jeszcze jacyś świadkowie wydarzeń w nim opisanych, komu jeszcze pomagają siły nieczyste. Najbardziej jednak chciałby wiedzieć, jak on sam mógłby te siły wykorzystać. On dużo widział na cmentarzu Stolberg, biskupie. Pragnie potęgi.*

*– Czyli dziś mogę spodziewać się wizyty tego okrutnika? – podsumował biskup.*

*– Tak, Janie, i proszę, nie pozwól się dziś zabić. Ja już też jestem w drodze. Niebawem będę w Rzymie.*

– Dziękuję za ostrzeżenie, czarownico.

– I pamiętaj, Janie. Jeżeli zacnie cię torturować, nie pozwól mu zobaczyć, że cierpisz, bo on nigdy wtedy nie skończy tortur. On nie kontroluje swojego okrucieństwa. Ofiary jego przesłuchań zawsze giną. Wymyśl coś.

– Po co to wszystko robisz dla mnie, kobieto? – Jeszcze raz zadał to pytanie Jan Muskata.

– Już ci powiedziałam, biskupie Janie. Dla spowiedzi, którą mi obiecałeś, i by ratować twoich rodaków. Nie trzeba być mędrce, biskupie, by stwierdzić, że gdy świat usłyszy, że świeżo obranego Ojca Świętego wykończył jakiś słowiański demon posługujący się ogniem i mgłą, to nowym papieżem zostanie na pewno ktoś, kto będzie kontynuował zamysł mordowania pogan. De Millow uważa, że będzie to biskup Ambrosio, najgłośniejszy promotor von Rapparda. Do konklawe dojdzie bardzo szybko, bo z polecenia von Rapparda wszyscy biskupi i kardynałowie zostali jeszcze w Rzymie po poprzedniej elekcji, by wyrzucić wspólnie presję na cesarzu. Krucjata może zacząć się już wiosną, Janie, i uwierz mi, że to będzie rzeź niewinnych ludzi, z której twój Chrystus wcale nie będzie zadowolony. Zadowolony będzie jedynie diabeł.

Biskup Jan Muskata obudził się na zimnej posadzce. Przez małe okienko celi wpadało już całkiem sporo światła, a na podłodze przy drzwiach stały dwie małe miski ze strawą i wodą. Dawno tak głęboko nie zasnął. Czuł się silniejszy. W odróżnieniu od poprzednich dni, tego ranka nie obudził się z niepokojącym wilgotnym kaszlem. Uwierzył, że to nie był tylko sen.



## Rozdział 2.

### Wędrowiec

Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół widział bezkresną, zieloną równinę. Miękkie, wysokie i soczystozielone źdźbła traw falowały na ciepłym wietrze. Zieleń mrugała przyjaźnie do każdego z bywalców tej bezkresnej równiny. Trawy sprawiały wrażenie bardzo miękkich, miały w sobie coś z mchu. Wędrowiec nie mógł ich normalnie dotknąć, ale w jakiś inny sposób czuł ich otulającą miękkość. Wiatr, który powiewał, nigdy nie był zimny ani zbyt silny. Zawsze był właśnie taki, jak potrzeba. Szum traw wywołany przez ten wiatr zawsze był kojący. Ten szum usypiał wszelkie myśli. Wszelkie troski.

Troską na pewno nie był głód, bo to uczucie w tym miejscu po prostu nie występowało. Wędrowiec, podążając powoli przez to morze traw, od czasu, którego nie był już w stanie określić, jeszcze ani razu nie poczuł głodu ani pragnienia. Nie poczuł też zmęczenia ani potrzeby snu, odkąd się tu znalazł. Miejsce to nie skłaniało do jakichkolwiek odczuć poza spokojem.

Nad zieloną równiną niebo zawsze było bezchmurne, jasnoniebieskie i nigdy nie było nad nim słońca. Mimo jego braku wciąż panował tu dzień. Ponieważ na niebie nie było słońca, zatem nie było również wschodu ani zachodu, północy ani południa. Kierunek nie miał żadnego znaczenia. Wędrowiec zauważył, że nikt nie przemieszcza się po równinie. Jej mieszkańcy, mgliste duchy podobne do ptaków, tkwiły zwykle w swoich stałych miejscach, usadowione na miękkim zielonym dywanie traw. Uśmiechnięte. Spokojne. Zrelaksowane. Beztroskie. Tylko on wciąż czuł potrzebę podążania dokądś. Nie bardzo mógł jednak przypomnieć sobie, dokąd podąża.

Wędrowiec cały czas czuł dwie pokusy. Pierwszą – by przystanąć i tak jak inni mieszkańcy tej krainy zatopić się w spokój bezkresnej zieleni. Nie czuł głodu ani pragnienia. Nie miał żadnej zdefiniowanej potrzeby, aby się przemieszczać, a jednak wciąż podążał przed siebie. Drugą pokusą było pozwolić sobie na komfort oddalenia swoich myśli i wspomnień. Coś mu podpowiadało, że myśli i wspomnienia w tym miejscu są mu zupełnie niepotrzebne, a nawet zbędne. Coś naciskało na niego, żeby pozwolił im odpłynąć bezpowrotnie w dal i uzyskać spokój i szczęście.

Jednak coś wewnątrz niego nie pozwalało mu na komfort uzyskania spokoju. Było w jego głowie jakieś wrażenie, którego to miejsce jeszcze go nie pozbawiło, że coś komuś obiecał. Coś ważnego. Komuś bardzo ważnemu. Już nie pamiętał, co to było i komu to obiecał, ale walczył, odkąd tu był, aby to sobie przypomnieć. Bolało go, że tak niewiele pamięta. Nie pamiętał nawet swojego imienia. To miejsce rzucało urok na swoich mieszkańców. Urok odbierający jestestwo. Walczył bez przerwy z tym urokiem. Panicznie się bał, że przegra i nie spełni swojej obietnicy. Nie wiedział dlaczego, ale ona była najważniejsza. Dużo ważniejsza od jego spokoju.

Wędrowiec brnął przez pachnące trawy krok za krokiem. Na horyzoncie wciąż nie było nic, tylko morze zieleni. W pewnej chwili usłyszał śpiew. Mieszkańcy tego miejsca często śpiewali. Skierował się w kierunku głosu. Słowa pieśni dały mu nadzieję na uzyskanie jakiś informacji od śpiewającego mieszkańca. Wędrowiec zauważył już wcześniej, że mieszkańcy przebywający dłużej w tym miejscu śpiewali pieśni samymi głoskami bez formułowania słów, tak jakby już ich zapomnieli. Od tych mieszkańców nie udało mu się nigdy nic dowiedzieć. Teraz wędrowiec usłyszał słowa w pieśni. Mieszkaniec śpiewał o miłości. W wędrowcu drgnęła jakaś struna.

Mieszkaniec ten jak wszyscy inni w tym miejscu miał postać mgiełki w kształcie ptaka. Leżał w trawie, a skrzydła rozłożył szeroko. Najwyraźniej sprawiało mu przyjemność poruszanie nimi w miękkiej trawie. Śpiewał głośno i radośnie.

– Witaj! – Wędrowiec zwrócił się do mieszkańca. – Kim jesteś?

– Kim jestem? – Mieszkaniec zdziwił się pytaniem, ale nie odpowiedział, tylko zaczął znów śpiewać.

– Jak masz na imię? – Wędrowiec zadał inne pytanie.

– Imię? – zdziwił się tamten. – Imię? – powtórzył.

Wędrowiec nie doczekał się odpowiedzi. Znów usłyszał śpiew.

– To może wiesz, kim ja jestem? – Wędrowiec nie dawał za wygraną.

Tym razem zapytany nawet nie przestał śpiewać. Wędrowiec przez chwilę miał wielką ochotę położyć się wokół niego, przyłączyć się do pieśni i poczuć błogosławiony wieczny spokój tego miejsca. Odrzucił jednak tę myśl. Zrzucił urok. Wsłuchał się w słowa pieśni. Pieśń opowiadała o czymś, co gdzieś było w nim na granicy pamięci. Opowiadała o szczęściu. Zupełnie innym szczęściu niż oferowane tutaj, w tym miejscu. Wędrowiec poczuł, że znów poruszyła się w nim jakaś wewnętrzna struna. Ruszył dalej przed siebie.

*Są tedy mrówki w barwie rozmaite, niektóre czarne, drugie żółtawe, insze zaś blade.*

*Przez które ich barwy, rozmaity rodzaj występków może być rozumiany.  
Chociay same robaczki z siebie dobre są iako wszystkie stworzenia Boże.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.

## Rozdział 3.

### Biskup Luiggi Ambrosio

Minęło już południe, ale słońce pozostawało jeszcze dość wysoko. Biskup diecezji Neapolu, Luiggi Ambrosio, szedł powoli ulicą Via Giulia w Rzymie. Zmierzał w kierunku kościoła św. Pantoleona. Swój kapłański strój skrywał pod długim, prostym, sięgającym do ziemi płaszczem. Na głowie miał zwykłą futrzaną czapkę zamiast stosownej dla jego godności piuski biskupiej. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, kim jest. Wolał pozostać anonimowy. Przeciskając się przez zatłoczoną rzymską ulicę, na wszelki wypadek mocno trzymał swoją sakiewkę. Rzymscy złodzieje uliczni mieli niestety najgorszą reputację. Kilka kroków za nim, również po cywilnemu, podążało dwóch najbardziej wiernych ludzi z jego straży biskupiej. Wziął ich tak na wszelki wypadek. Nie do końca ufał temu miastu. Nie znał go prawie wcale. Podążał powoli w tłumie, czytając szyldy budynków.

– Gdzieś to musi tutaj być... – szepnął do siebie i zatrzymał się przed całkiem przyzwoicie wyglądającą gospodą.

– Czego szukasz, panie? – zapytał usłużnie stojący pod gospodą mężczyzna, trzymający za uzdę dwa rosłe wierzchowce.

– Jak zwą tę gospodę, dobry człowieku? – zapytał biskup.

– Ta karczma Roma się nazywa.

– A zatem jestem we właściwym miejscu – szepnął do siebie biskup i dopiero wówczas dostrzegł wyblakły napis „ROMA” umieszczony nad wejściem.

Wewnątrz panował gwar. W pierwszej chwili wszystkie stoły wydały się biskupowi zajęte. Wokół krzątały się bardzo sprawnie kobiety w sukniach stylizowanych na bawarskie. Jedna z nich od razu przyciągnęła wzrok biskupa.

Wąska kibić, niemała pierś, długie, ognistorude, kręcone włosy. To było coś, co biskup lubił. Dziewczyna podniosła wzrok, a biskup pomiędzy niesfornymi kosmykami niemal czerwonych włosów zobaczył niespotykane szaro-niebieskie oczy. Dziewczyna kilkoma sprawnymi ruchami skończyła wycierać stół i ruszyła w jego kierunku, przyjaźnie się uśmiechając.

– Za chwilę znajdę dla ciebie miejsce, panie. Czy życzysz sobie, panie, siedzieć w samotności? – zapytała rzeczowo lokalnym dialektem, który Ambrosio świetnie rozumiał.

– Nie, drogie dziecko, gdzieś czeka tu na mnie mój przyjaciel. Zaraz go odnajdę – odpowiedział biskup i zaczął się rozglądać po zatłoczonej izbie.

– O, widzę, że jesteś, panie, kimś bardzo znaczącym – zauważyła dziewczyna, patrząc uważnie na twarz biskupa.

– Skąd to wiesz, dziecko? – zapytał zaintrygowany hierarcha.

– Widzę, że za tobą weszło dwóch mężczyzn, którzy są tobą zainteresowani, wciąż ukradkiem zerkają na ciebie, panie. Nie znam ich, a więc najpewniej nie są to miejscowe rzezimieszki. Skoro to nie miejscowa hołota, to zapewne jest to twoja osobista ochrona, panie – inteligentnie uzasadniła swoją obserwację.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza, dziecko – rzekł z uznaniem biskup, patrząc jej w oczy.

– Długo już obserwuję ludzi, panie. Jeżeli się uważnie patrzy, widać wiele. – Dziewczyna spojrzała uważnie w oczy biskupa. – Jesteś znaczącą osobą i, jak mówisz, przyszedłeś spotkać się tu z przyjacielem, więc zapewne to na ciebie czeka, panie, ten mężczyzna w małej izbie po lewej, który się uparł, by zająć całą dużą ławę dla siebie. Wygląda na wysoko urodzonego i zachowuje się jak żołnierz, a więc zapewne to oficer, chociaż też podobnie jak ty skrywa swoje prawdziwe ubranie pod niepozornym długim płaszczem.

Biskup spojrzał na tę młodą dziewczynę z jeszcze większym uznaniem.

– Widzę, że zostaliśmy z przyjacielem zupełnie rozszyfrowani przez ciebie, dziecko. – Biskup mrugnął i miał nadzieję, że to mrugnięcie wypadło zalotnie.

Podobała mu się ta dziewczyna i choć przyszedł tu w bardzo ważnej sprawie, z przyjemnością jej się teraz przyglądał, nie spiesząc się do załatwiania interesów.

– Myślę, że to nie jest twój przyjaciel, panie, choć kolejny raz już używasz tego określenia – powiedziała poważnym tonem i potrząsnęła ognistymi włosami.

Słyszając to, biskup nieco się zaniepokoił. Pomyślał, że być może ta dziewczyna wcale nie pracuje dla karczmarza, ale na przykład szpieguje dla kogoś. Na przykład na rzecz osoby, z którą miał się spotkać. Postanowił być ostrożny.

– Po czym wnosisz, że tak jest, dziewczyno? Skąd ten wniosek, że on nie jest moim przyjacielem? – Spojrzał bardzo uważnie na piękną posługaczkę w bawarskiej sukni.

– To przecież bardzo proste, panie – uśmiechnęła się rozbrajająco. – Przecież z przyjacielem spotkałbyś się, panie, w swoim domu albo jego, a nie w tak niekomfortowym miejscu, do którego musisz dla bezpieczeństwa zabrać strażników. Obaj poza tym trzymają się w pewnym oddaleniu od ciebie, panie. Być może nie ufasz mu, panie, ale też nie chcesz mu tego wprost okazać. Zgadłam? – Dziewczyna roześmiała się tak szczerze i zalotnie, zadowolona ze swojego wyводу, że niepokój biskupa znów ustąpił miejsca zadziwieniu.

– I nie obawiaj się, panie, mojej przenikliwości – kontynuowała. – Zauważyłam w pewnej chwili niepokój w twoim spojrzeniu, panie. Już wiele razy zdarzyło się, że goście gospody byli skonsternowani po moich spostrzeżeniach. Muszę nauczyć się trzymać język za zębami, a w moim przypadku to nie jest łatwe – zaszczębiotała i mrugnęła zalotnie do biskupa.

– Och, marnujesz się, dziecko, pracując w tej gospodzie. – Biskup spoglądał z przyjemnością w duże i szczere oczy dziewczyny otulone uroczo rudymi kosmykami. – Przynieś nam dwa duże kufle najprzedniejszego miodu, jaki macie.

– Już biegnę, panie. – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, odwróciła i natychmiast pobiegła w kierunku szynku, a biskup nie omieszkał zauważyć, że biegła bardzo zgrabnie.

Odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła na zapleczu, ruszył do izby bocznej, w której najpewniej czekał na niego hrabia Harold de Millow, człowiek pracujący dla papieża, zarządzający jego siecią szpiegów, rozlokowanych w całym cesarstwie. Mówiło się, że obecny papież ma szpiegów wszędzie, w instytucjach kościelnych i świeckich, że wie o wszystkim. Tę wiedzę o wszystkim Ojca Świętego wiązano z jego wyjątkową mocą od Boga oraz w takim samym stopniu z osobą hrabiego de Millow.

– Witaj, Ekscelencjo! – Hrabia de Millow wstał od stołu i skłonił się nisko i przymilnie. – Cieszę się bardzo, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

– Witaj, hrabio! – Biskup podał dłoń rozmówcy, a ten niemal teatralnie ucałował pierścień.

Biskup usiadł za stołem. Hrabia poczekał, aż tamten się usadowi, i dopiero wówczas usiadł sam naprzeciwko. Czekał, aż biskup zacznie rozmowę.

– Zaskoczyło mnie pana zaproszenie, panie hrabio – zaczął biskup. – Czy mogę jakoś pomóc Jego Świątobliwości Klemensowi V?

– Ekscelencjo, ciebie pierwszego chciałem powiadomić... – zaczął de Millow, ale w tej chwili do izby weszła piękna, ruda posługaczka, którą już wcześniej poznał biskup, więc hrabia zamilkł. Nie chciał, by informację, którą chciał powierzyć biskupowi, usłyszał ktokolwiek inny.

– Najlepszy miód dla wielmożnych panów. – Dziewczyna postawiła na stole kufle oraz miskę ze świeżym, pachnącym, dobrze wypieczonym chlebem. – Smacznego. Jakbyście panowie czegoś potrzebowali, to zawołajcie. Wołają mnie tu Greta, choć moje prawdziwe imię jest inne.

– Germańskie imię u Włoszki? – zdziwił się biskup i wzrok jego podążył w miejsce, gdzie gorset sukni nie był zbyt dokładnie zasnurowany i odsłaniał dekolt dziewczyny.

– Dużo we mnie zagadek, panie – odpowiedziała filuternie dziewczyna i odwróciła się, by szybko i zgrabnie wybiec z izby.



– Czy ja cię już gdzieś nie spotkałem, sikorko? – De Millow wpatrywał się w dziewczynę. Wyraz jego twarzy wyrażał intensywny proces myślowy będący zapewne próbą skojarzenia twarzy.

Dziewczyna spojrzała uważnie na hrabiego.

– Na pewno pana wcześniej nie widziałam. Jak już wie pana towarzysz, jestem bardzo spostrzegawcza i zaręczam, że mam też znakomitą pamięć – odpowiedziała pewnym głosem, co jednak nie przekonało hrabiego.

– Byłaś kiedykolwiek w Akwizgranie, dziewczko? – bezceremonialnie zapytał de Millow.

– Nie lubię przesłuchań, panie – odpowiedziała chłodno dziewczyna. – Jeżeli życzy pan sobie czegoś jeszcze do jedzenia albo picia, to chętnie przyniosę, a jeżeli nie, to już się oddalę.

– Zostań! – zażądał de Millow i chwycił mocno dziewczynę za łokieć. – Odpowiedz na moje pytanie. Czy byłaś wcześniej w Akwizgranie? Ja też mam znakomitą pamięć i wiem, że gdzieś już ciebie widziałem, sikorko.

W pięknych szaro-błękitnych oczach dziewczyny zabłyśły łzy. Hrabia musiał mocno ścisnąć jej rękę.

– Diabła znajdziesz w kielichu na dnie! – wykrzyknęła i wyrwała rękę z uścisku. – Diabła znajdziesz prędzej w kielichu na dnie, niż sobie przypomnisz. Nigdy cię nie widziałam – dodała jeszcze i uciekła do głównej izby.

– Dajże jej spokój, panie hrabio! – Biskup był zirytowany. – Nie rozumiem twojego zachowania.

– Wybacz, ekscelencjo! Ta dziewczka kłamie. Ja już gdzieś widziałem to spojrzenie... – Jego głos wyrażał zaniepokojenie.

– Po co mnie tu zaprosiłeś, hrabio? – zapytał Ambrosio chłodno i rzeczowo. Zaczął odczuwać niechęć do rozmówcy po incydencie ze śliczną dziewczyną.

– Ekscelencjo, dzisiaj wróciłem do Rzymu z Akwizgranu. Mam bardzo złe wieści, o których nikt jeszcze tutaj w Rzymie nie wie. Ciebie pierwszego chciałem powiadomić. – Hrabia zrobił przerwę dla lepszego efektu. Jego twarz wyrażała

teraz głęboki smutek. – Niestety nasz ukochany Ojciec Święty Klemens V nie żyje.

– Co takiego?! – Biskup spojrział na hrabiego jak na człowieka niespełna rozumu. – Co ty mówisz, de Millow?! Żarty sobie stroisz?

– Gdzieżbym śmiał, Ekscelencjo! – Mina de Millowa była grobowa. – Ojciec Święty umarł nagle. Najpewniej zabity przez złe moce.

– Jakie złe moce, hrabio?! Złe moce nie mogą pokonać papieża, a już zwłaszcza takiego jak Magnus! – Niemal wykrzyknął biskup. – To niemożliwe!

– Widziałem to wszystko na własne oczy, Ekscelencjo. – W oczach hrabiego biskup dostrzegł strach. – Naszego Ojca Świętego zabił potężny pogański demon.

– Gdzie jest jego ciało, hrabio? – Biskup nadal nie wierzył w to, co usłyszał.

– Przywiozłem ciało papieża z Akwizgranu, Ekscelencjo. Podejrzewałem, że będziesz chciał je zobaczyć. Jest w wozie papieskim, niedaleko stąd, nad Tybrem. Dlatego zaproponowałem, żebyśmy spotkali się tutaj, Ekscelencjo. Stąd możemy być tam spacerem za dwa pacierze.

– A dlaczego akurat zostawiłeś wóz nad Tybrem, de Millow? – Biskup Ambrosio był bardzo podejrzliwy.

– Dlaczego? – Hrabia uniósł brwi. – Bo to najbardziej śmierdzące miejsce w całym Rzymie.

– To ciało Magnusa cuchnie? Sądziłem, że ciało takiego świętego człowieka nie będzie się rozkładać. – Biskup na głos wyraził swe myśli.

Hrabia de Millow spojrział na biskupa jak na wariata. Nie udało mu się powstrzymać pełnego drwiny uśmiechu.

– Czy coś się stało, panie? – Nagle przy ich stole pojawiła się posługaczka Greta. – Zbladłeś bardzo. Czy potrzebujesz jakiejś pomocy? – Zwróciła się do biskupa i jednocześnie bardzo podejrzliwie spojrzała na jeszcze drwiąco uśmiechniętego hrabiego.

– Nic mi nie będzie, dziecko – odpowiedział bez cienia uśmiechu biskup.

– Myślę, że powinieneś to wiedzieć, panie, że twój towarzysz ma w sali obok dziewięciu swoich ludzi – rzekła dziewczyna do biskupa, jednocześnie uważnie sprawdzając reakcję hrabiego. – Dziesiąty stoi z końmi przed gospodą. Zdaje się, że to jego właśnie pytałeś o drogę przed wejściem tutaj.

Mina hrabiego mówiła wszystko. Wyrażała bezbrzeżne zdziwienie. Hrabia de Millow spojrzał z niepokojem na reakcję biskupa.

– Po co ci tylu rycerzy tutaj, de Millow? – Ambrosio spojrzał uważnie hrabiemu w oczy.

– Ekscelencjo... – De Millow wytrzymał spojrzenie biskupa. – Chłopcy są zdrożeni po niemal dwutygodniowej podróży. Zabrałem ich, żeby coś zjedli, a poza tym zaraz będziemy ich potrzebować, by nas odeskortowali nad Tybr.

– Weźmiemy moich ludzi, de Millow – zdecydował biskup. – Twoi zostaną tutaj, aby się posilać.

– Ale jest ich tylko dwóch. – Hrabia miał wątpliwości. – To jest Rzym, Ekscelencjo. To bardzo niebezpieczne miasto.

– Możesz zatrudnić mnie do swojej obstawy, Ekscelencjo, biskupie Luiggi Ambrosio. – Niespodziewanie do biskupa zwróciła się Greta. – I nie rób takiej zdziwionej miny, Ekscelencjo. To oczywiste, że już wiem, kim jesteście. Obsługuję kilka stolików w tej gospodzie, a towarzysze hrabiego Harolda de Millow mówią całkiem głośno i nie przejmują się w ogóle obecnością służby. Zauważ też, proszę, że do pana hrabiego dotarła już informacja o liczbie twoich ludzi. Czy to cię nie niepokoi, Ekscelencjo?

– Co za bezczelność!. Zajmę się tobą, mała suko! – zaczął hrabia i próbował znów chwycić za łokieć dziewczynę, ale gwałtowny ruch biskupa go powstrzymał.

– Stój, de Millow! – powiedział stanowczo Ambrosio. – Chcę, żeby poszła z nami, hrabio. I życzę sobie, abyś traktował ją odtąd nie jako posługaczkę, ale osobę zatrudnioną przeze mnie. Czy się zrozumieliśmy, de Millow?

De Millow spojrzał bardzo nieufnie, lecz powstrzymał werbalne wyrażenie swojej irytacji i kiwnął głową, że rozumie.

– Greto, masz tu dwa talary. – Dwie monety zabrzączały rzucone na drewniany stół. – Czy możesz teraz z nami wyjść z twojej gospody i zostawić gości?

– Oczywiście, że mogę, Ekszelencjo. Sam zauważyłeś, że marnuję się w tej pracy. – Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie, wyćwiczonym ruchem zgarnęła monety i dygnęła uroczo tak, że jej zgrabny i niemały biust zafalował na wysokości oczu biskupa. – Jeżeli o mnie chodzi, to możemy iść od razu.

Gdy wychodzili, hrabia de Millow nachylił się nad jednym z mężczyzn siedzących przy stole w centrum głównej sali i szepnął mu kilka słów do ucha.

– Mamy tu zostać? – upewnił się podkomendny. – Tak jest! – odpowiedział zaraz, gdy hrabia potwierdził skinieniem głowy.

Grety nikt nie zatrzymywał. W drzwiach minęła się nawet z karczmarzem, który minął ją zupełnie obojętnie, jakby jej zupełnie nie zauważył. Wyszli na zatłoczoną ulicę.

Dziewczyna szła przodem. Za nią podążali biskup z hrabią, a kilka kroków za nimi dwaj strażnicy biskupa. Greta szła prosto przed siebie, nie zważając na tłum, a ludzie ustępowali jej z drogi. Biskup zauważał zachwyty w oczach mężczyzn oraz szacunek w oczach kobiet. Pomyślał, że Greta musi być znaną i szanowaną osobą w tej dzielnicy.

Droga na nabrzeże Tybru trwała w tych warunkach zaledwie kilka chwil. Biskup pomyślał, że de Millow miał rację, mówiąc, że jest to najbardziej cuchnąca część Rzymu. Odór fekaliiów był nieprzeciętny. Greta zatrzymała się na nabrzeżu. Tutaj zgiełk był mniejszy.

– Ten. – Dziewczyna wskazała na jeden ze stojących na nabrzeżu wozów i pytająco spojrzała na de Millowa.

– Skąd wiesz? – zapytał podejrzliwie hrabia.

– Najbardziej strojny. Najlepiej strzeżony. A poza tym mam znakomity węch.

Rzeczywiście, gdy zbliżyli się do wozu, biskup również poczuł charakterystyczny mdły zapach rozkładającego się trupa. Przy wozie stało

czterech mężczyzn. Po sposobie, w jakim stali, rzeczywiście nietrudno było rozpoznać w nich żołnierzy.

– Otwieraj i przyświeć pochodnią! – Hrabia wydał rozkaz jednemu ze strażników.

Zapisał przesuwany rygiel i drzwi stanęły otworem. De Millow wszedł do środka, zakrywając płaszczem nos. Biskup poszedł za jego przykładem. Za nimi do wozu weszła również Greta. Żołnierz odsunął skórę okrywającą ciało i przybliżył pochodnię. Oczom biskupa ukazała się sina trupia twarz Magnusa von Rapparda. Nie mogło być mowy o pomyłce.

– Słodki Jezu... – jęknął biskup Ambrosio. – Magnusie, jak to możliwe?

Biskup ukląkł przy zwłokach zdruzgotany.

– A jednak to prawda... – rzekł cicho do siebie. Modlił się dłuższą chwilę w ciszy. – Jak to się stało, hrabio? – wydusił ciężko w końcu.

– To jest historia nieprawdopodobna, Ekscelencjo, ale możesz spytać o szczegóły każdego z moich ludzi. Potwierdzą każde słowo – zaczął poważnie de Millow. – Nasz świętej pamięci Ojciec Święty Klemens V, czyli Magnus von Rappard, poszukiwał jakiegoś bardzo ważnego artefaktu, jakiejś umowy, którą wykradziono z jego piwniczki w Akwizgranie, o której nie chciał bliżej nic powiedzieć. W poszukiwaniach pomogła czarownica służąca jeszcze poprzedniemu papieżowi, Benedictusowi XI. Magnus kupił jej usługi za złoto. Złoto skropione jego krwią. Za jej radą ruszyliśmy szukać artefaktu na mały cmentarz przy kościele w Stolbergu.

– Próbujesz mi powiedzieć, że Magnus parał się czarami, de Millow? – warknął biskup Ambrosio.

– Tego nie powiedziałem, Ekscelencjo. Nie śmiałbym. Mówię tylko, jak było. Skorzystał z jej pomocy, by odnaleźć ten artefakt, ale to chyba była pułapka mocy piekielnych na naszego Ojca Świętego – tłumaczył hrabia. – Gdy tam dotarliśmy, na ten cmentarz, Magnus zostawił mnie z częścią straży przy bramie, a sam z sześcioma najlepszymi żołnierzami ruszył szukać jakiegoś grobu, bo w nim

rzekomo miał się znajdować artefakt. Cmentarz, mimo że było południe, zasnuwała dziwna mgła. Nie stałem daleko, więc słyszałem, jak rozmawiają z jakimś mężczyzną. Mgła szybko opadała i zobaczyłem, że jest to rycerz odziany na wschodnią modłę. Nagle tamten coś krzyknął i cały cmentarz znów zniknął we mgle. Usłyszałem krzyki i odgłosy walki. Magnus wybiegł z mgły, wycofał się z pola walki. Mgła ponownie szybko opadła i zobaczyliśmy tam tego wschodniego rzeźnika, tego demona, stojącego nad trupami naszych. Trzymał zakrwawiony miecz. Obok niego na ziemi leżała jakaś młoda dziewczka. Oni mieli ten artefakt, ten pergamin, czytali go.

– Chcesz powiedzieć, że ten mężczyzna z cmentarza sam stworzył mgłę i wyrzucił mieczem sześciu żołnierzy? – wtrącił pytanie biskup.

– Mgłę to raczej stworzyła ona... – Niespodziewanie do rozmowy włączyła się Greta.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, dziewczko! – Hrabia się zdenerwował, że posługaczka śmie podważać jego hipotezę.

Nie rozumiał w ogóle, co ta dziewczyna z gospody robi tutaj z nimi. Zaczynał podejrzewać, że pracuje dla biskupa Ambrosio już długo, a w gospodzie tylko odegrali wspólnie zgrabną scenkę. Tylko taki przebieg wypadków wydawał się mu racjonalny.

– Dlaczego myślisz, że ona stworzyła tę mgłę, Greto? – zapytał wprost biskup.

– Słyszałam o czarownicach, które to potrafią. Słyszałam też o wschodnich demonicach, które to umieją, ale nigdy o nikim rodzaju męskiego, kto potrafiłby tego dokonać – odpowiedziała rzeczowo dziewczyna. – To jest raczej typowo kobieca magia, tak jak stworzenie golema jest typowo męską sprawą.

– Też mi się to wydaje bliższe prawdy, Greto. – Biskup spojrział na nią z podziwem. – Co było dalej, hrabio?

– Wysłałem wtedy konnego po posiłki do miasta. Nie miał daleko...

– Pytam, co było dalej z Magnusem von Rappardem, de Millow! – przerwał mu biskup.

– Magnus von Rappard wpadł w szal, widząc, że czytają pergamin. Krzyczał do tej pary pogan na cmentarzu, że mają mu go oddać, a wtedy on daruje im życie – opowiadał dalszy przebieg wydarzeń hrabia. – Oni jednak czytali go nadal. Kilka pacierzy później nadjechały konne posiłki. Ponad dwudziestu chłopa. Biskup kazał jeźdźcom nie zatrzymywać się i zabić tych dwoje jak najszybciej. Jazda wpadła przez bramę na cmentarz, a wtedy... Wtedy trawa na cmentarzu stanęła w jednej chwili w płomieniach. Przerażone konie zrzuciły jeźdźców. Widziałem, jak ten demon ruszył na naszych. Zabijał jednego po drugim...

– Ten ogień to też chyba dzieło tej czarownicy... – rzekł w zamyśleniu biskup i spojrzał pytająco na Gretę.

– To już nie jest tak jednoznaczne, Ekscelencjo, jak w przypadku mgły – odpowiedziała dziewczyna. – Co było dalej, panie hrabio?

Hrabia spojrzał na dziewczynę gniewnie, że śmie go odpytywać, ale biskup skinął na niego, by kontynuował opowieść.

– Gdy ten demon w kłębach ognia i dymu wyżył mieczem naszych zbrojnych, wydarzyła się jeszcze dziwniejsza rzecz – podjął opowieść de Millow. – Na teren cmentarza wpadła wataha wilków i rzuciła się naszym do gardeł. To był z tuzin wielkich basiorów. Niemal w tej samej chwili usłyszałem wściekły ryk i tuż obok mnie przemknęła wielka włochata bestia. Niedźwiedź już był o dwa kroki od Magnusa, gdy padł jak rażony piorunem. Dotąd tego nie rozumiem, ale bestia została przebita długim dwuręcznym mieczem, choć żaden ze stojących obok papieża żołnierzy nie zdążył się nawet odwrócić.

– Papież miał widać jakiegoś obrońcę, którego nie zauważyłeś, hrabio – wtrąciła Greta, a ton jej głosu wskazywał na rozbawienie.

– Anioły na pewno go strzegły – stwierdził Ambrosio.

– To najwyraźniej nie dały rady – próbował żartować hrabia, patrząc na ciało Magnusa, ale wzrok biskupa Ambrosio, który napotkał, był tak ciężki, że zamilkł.

– Co było dalej, de Millow? Opowiadaj – zachęcił biskup.

– Słowiański demon do spółki z wilkami wykończyli wszystkich naszych jezdnych – podjął opowieść hrabia. – Mały cmentarzyk był wypełniony martwymi, dymiącymi ciałami. Widok był straszny. Słowiański demon stał pośrodku cmentarza. Był ranny. Na ziemi obok leżała ta jego dziewczka. Wyglądała na chorą. Wziął od niej ten pergamin, popatrzył na niego, naciął go nożem i przerwał go na pół. Wtedy papież upadł na ziemię. Gdy podbiegłem do niego, już nie żył.

– Jak to „nie żył”? – nie zrozumiał Ambrosio.

– Nie żył, Ekscelencjo. Nie dychał. Serce stanęło. Umarł nagle w chwili, gdy tamten przerwał pergamin. To były czary, Ekscelencjo – podsumował wydarzenia de Millow.

– Boże, Magnusie, jak mogłeś ulec słowiańskiemu demonowi? – zaszłochał biskup Ambrosio, patrząc na ciało papieża.

Tyle nadziei wiązał z jego osobą. Tak liczył na czynny zryw chrześcijańskiego świata, który przyniesie mu chwałę i oczywiście nowe majątki i władzę. Był przecież prawą ręką Magnusa. Papież tyle mu zawdzięczał. Wszystko na nic. Cały wysiłek na nic.

– Ekscelencjo... – Niespodziewanie wtrąciła się Greta. – Widzę, że szczerze cierpisz – powiedziała czułym głosem. – Wiedz, że najlepszym sposobem uczczenia śmierci wielkiego człowieka jest kontynuacja jego dzieła. Widzę, że jesteś równie wielkim człowiekiem, Ekscelencjo. Ty kontynuuj misję Ojca Świętego, biskupie Neapolu.

Ambrosio i de Millow spojrzeli w stronę dziewczyny. Zupełnie nie spodziewali się takich słów z ust zwykłej, nawet inteligentnej posługaczki.

– Ona ma rację, Ekscelencjo. – Oczy hrabiego zapaliły się do tego pomysłu. – Musisz wziąć na swoje barki tę misję. Tylu biskupów, zwolenników Magnusa teraz będzie na ciebie liczyć. Oni zagłosują na ciebie. Nie można przecież dopuścić, żeby ci z frakcji umiarkowanej znów mieli swojego papieża. Na litość boską! Zmiłuj się, Ekscelencjo!



Biskup Ambrosio był zaskoczony słowami, które usłyszał. Trudno było odmówić im logiki. Czy to możliwe, że miał szansę zostać Ojcem Świętym? Spojrzał w obecnie pełne zaangażowania oczy hrabiego i piękne, zachęcające, oddane oczy Greta. Rozwagał swoje szanse. Zaczynał czuć pokusę.

– Ekscelencjo... – rzekł poważnie de Millow. – Ofiaruję ci moją pomoc.

– A co możesz dla mnie zrobić, hrabio? – zapytał rzeczowo biskup. W jego głosie nie było już słycać żalu po Magnusie von Rappard. Słycać było żywe zainteresowanie.

– Ekscelencjo... – Hrabia uśmiechnął się przymilnie. – Jeżeli mnie zatrudnisz, to wszyscy moi ludzie w Lateranie, Rzymie, Akwizgranie i wielu innych kościołach i pałacach cesarstwa będą pracować dla ciebie. Mogę sprawić, że wieść o tym, iż słowiański demon ośmielił się podnieść rękę na głowę Kościoła, dotrze wszędzie. Opowieść tę przedstawimy tak, że żaden chrześcijanin nie pozostanie temu obojętny. Poparcie dla frakcji Rycerzy Chrystusa propagujących krucjatę wzrośnie w szeregach kościelnych i świeckich, a wszyscy oczekiwać będą wyboru papieża zdolnego do takich działań. Ciebie oczywiście przedstawimy jako jedyne kandydata gwarantującego odwet na plugawym pogaństwie. Potrafię się też zająć dyskretnym zorganizowaniem różnych utrudnień dla twoich kontrkandydatów.

– Ale Magnus miał najwyraźniej pomoc mocy pozaziemskich, hrabio, a mimo to poległ. Ja takowymi nie dysponuję... – przedstawił swoje wątpliwości biskup. – No chyba że jesteś w stanie odnaleźć dla mnie tę czarownicę, która pomogła Magnusowi.

– Próbowałem już jej szukać, Ekscelencjo. Zapadła się pod ziemię. Nie bardzo wierzę, że uda się ją kiedykolwiek odnaleźć. Potrafiła mieszać ludziom w głowach. Zsyłać wizje. Przywoływać demony. Widziałem to na własne oczy. – W oczach hrabiego zagościł strach. – Ale spróbuję znaleźć ci inną.

Greta przysłuchiwała się rozmowie z dziwnym wyrazem twarzy. Dopiero gdy się odezwała, mężczyźni zdali sobie sprawę, że ona wciąż tam stoi. Przez ostatnie

kilka chwil jakby o tym zapomnieli.

– Wiem, jak dotrzeć do kobiety, która ci we wszystkim pomoże, Ekscelencjo.

– Słowa dziewczyny wyrwały mężczyzn z ich wzajemnej konwersacji. – Jest niewyobrażalnie potężna.

Na twarzy hrabiego pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Co to za kobieta, Greto? – zapytał biskup z zainteresowaniem.

– Gdybyśmy tu wymienili teraz jej imię, Ekscelencjo, to ona już wiedziałaby, że ktoś jej szuka, i byśmy jej nigdy nie odnaleźli. Im mniej o niej będziemy teraz rozmawiać, tym lepiej. Wiem, jak do niej dotrzeć. Zapytam ją, jaka jest cena za jej pomoc – odpowiedziała dziewczyna.

– Dobrze więc – odrzekł Ambrosio. – Będę kontynuował wielkie dzieło Magnusa. Będę orędownikiem uznania go świętym. Chcę, by z nienawiści do pogan zrodziło się coś dobrego dla Kościoła, a wy mi w tym pomożecie.

Hrabia, słysząc te słowa, przykląkł przed biskupem. Greta ze zdziwieniem obserwowała jego zachowanie. Jedynie powoli pochyliła głowę. Nie miała w zwyczaju klękać przed kimkolwiek.

\*

Tej nocy we wszystkich kościołach Rzymu długo były dzwony.

## Rozdział 4.

### Kaja

Kaja przyglądała się z wielkim zaciekawieniem, jak Marek wkłada klucz do zamka, przekręca go i drzwi stają otworem. W ciągu ostatnich godzin – a już wiedziała, że tu, gdzie obecnie jest, właśnie w godzinach odmierza się czas – kilkakrotnie została ogromnie zaskoczona otaczającą ją rzeczywistością.

Pierwszym zaskoczeniem był wygląd domów. Niektóre były wyższe od najwyższych drzew. Była pewna, że nigdy wcześniej takich nie widziała. Wyglądały jak wielkie kamienie, ociosane w równe klocki z wydrążonymi otworami okien. Ich kolory często nie miały nic wspólnego z naturą.

Drugim wielkim zaskoczeniem były wozy poruszające się bez koni. Były różnych wielkości, kształtów i kolorów. Roztaczały brzydki zapach wokół siebie. Niektóre poruszały się bardzo szybko.

Zaskoczył ją też wszechobecny hałas. Wszystkie wozy niemiłosiernie hałasowały. Hałas wydobywał się też z otworów okiennych budynków, a niekiedy z czarnych skrzynek niesionych przez przechodniów.

Zupełnie niezrozumiały dla niej był też wszechobecny wokół język germański. Przyznała się Markowi, że nie rozumie ani słowa. Gdy o to zapytał, przyznała się mu też, że nie ma przy sobie żadnych pieniędzy ani też nie ma gdzie spać. Powiedział wtedy, że może zostać u niego jakiś czas, dopóki nie odnajdzie się jakaś jej rodzina. Obiecał zgłosić do konsulatu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Akwizgranie, że przebywa pod jego adresem. Liczył, że w międzyczasie przypomni sobie też swoje nazwisko, bo samo imię Kaja to może być trochę za mało do identyfikacji.

Teraz przyglądała się z wielkim zaciekawieniem, jak Marek wkłada malutki klucz do małego zamka, przekręca go i drzwi szybko stają otworem.

– Wejdz proszę, nie bój się. – Marek zaprosił dziewczynę do środka i zapalił światło w przedpokoju.

– Ale jasność! Czy jesteś kapłanem Peruna, boga słońca? – zapytała zachwycona Kaja.

– Peruna? A któż to? – Nie potrafił rozgryźć tej dziewczyny. Zachowywała się tak, jakby była zupełnie z innej epoki lub innego świata.

– Nie wiesz, kim jest Perun? – spytała przerażona Kaja. – To jakich bogów wyznajesz? – dopytała wystraszonym głosem.

– „Jakich bogów”? O matko, żadnych chyba. – Marek był skonsternowany. – Choć wychowany zostałem w wierze katolickiej.

– „Katolickiej”? – Kaja zupełnie nie rozumiała, o czym mówi ten mężczyzna.

– Matko jedyna! Nie wiesz, co to jest wiara katolicka? – nie dowierzał Marek. – To wiara, że Jezus Chrystus zbawił świat. Kościołem katolickim kieruje papież, który urzęduje w Watykanie.

– Raczej Lateranie, a nie jakimś Watykanie? – Kai powoli zaczynały się przypominać pewne informacje.

– Lateranie? – nie zrozumiał Marek. – To chyba były jakieś zamierzchłe dzieje.

– Nieważne. Wyznajesz Chrystusa, a to bóg morderców.

Kaja cofnęła się pod drzwi, ale nie wiedziała, jak je otworzyć. Zaczęła walić w nie pięściami.

– Uspokój się, dziewczyno! Od wieków nie byłem w kościele – krzyknął Marek i złapał ją za nadgarstki. – Zaraz sąsiedzi wezwą policję i będziemy mieli kłopoty.

– Puść mnie! – Kaja wykrzyczała te słowa i Marek, choć nie miał zamiaru tego robić, uwolnił ją natychmiast ze swojego uścisku, cofnął się posłusznie o dwa

kroki i zdziwiony swoim posłuszeństwem patrzył zdezorientowany na dziewczynę.

– *Wer ist das, Mark? Was macht sie hier?*<sup>1</sup>

Zaskoczyły ich słowa wypowiedziane w języku germańskim przez młodą kobietę, która wyszła do przedpokoju z jednego z pokoi.

Kaja spojrzała na kobietę. Wysoka blondynka, która była niemal naga, wyglądała na mocno zirytowaną jej obecnością w tym miejscu. Nie rozumiała słów wypowiedzianych przez kobietę, ale potrafiła zrozumieć, że tamta odczuwa zazdrość.

– Karen, kotku, co ty tu robisz? – Marek zapytał po niemiecku.

– Już zapomniałeś, że dałeś mi ostatnio klucze? – Karen była wściekła. – Kto to jest?

– To dziewczyna, którą przypadkiem spotkałem, Polka, nie ma gdzie spać... – Marek zaczął tłumaczyć.

– Więc postanowiłeś przenocować tę nieletnią, ty zbrojeńcu! – wykrzyknęła Karen i zanim Marek zdołał cokolwiek odpowiedzieć, wymierzyła mu siarczysty policzek, chwyciła wiszący przy drzwiach płaszcz, wybiegła z mieszkania i trzasnęła drzwiami.

– Pierdolony pedofil! – rzuciła jeszcze na odchodnym.

Marek stał jak zbaraniały.

– Czy to była twoja żona? – zapytała zaniepokojona Kaja.

– Nie – warknął Marek.

– To co robiła tutaj naga w twoim domu? – Kaja uśmiechnęła się podejrzliwie.

– Ostatnio dałem jej klucz. Nie przyszło mi do głowy, że akurat dziś z niego skorzysta – odpowiedział Marek.

Nastąpiła dłuższa chwila niezręcznej ciszy.

– Możesz zostać, jak chcesz. – Pierwszy ciszę przerwał Marek. – Nic ci tu nie grozi.

– Jeżeli jesteś kapłanem Chrystusa, to na pewno nie jestem tu bezpieczna.

Kaja nie pamiętała szczegółów ze swojego życia, ale szybko wracały do niej emocje związane z nazwami i postaciami.

– A dlaczego tak boisz się księży? Kim ty jesteś, dziewczyno? Czarownicą? Kapłanką Lucyfera? – Marek kpił sobie z Kai.

Imię wypowiedziane przez Marka wywołało w dziewczynie dreszcz. Przed oczami stanął jej obraz świetlistego anioła. Przypomniała sobie jego głos. Drżała. Zobaczyła obraz mężczyzny rzucającego się z mieczem nad ogrodzeniem prosto w świetlistą postać anioła.

– Nie jestem czarownicą – rzekła po chwili zamyślenia Kaja. – Nie pamiętam, kim jestem, ale nie jestem ani czarownicą, ani tym bardziej kapłanką Luxferrusa.

– Lucyfera – poprawił ją Marek, spoglądając podejrzliwie. Wciąż czuł się dziwnie po tym, jak wykonał jej polecenie, choć wcale tego nie chciał. – Mówiłem o Lucyferze, czyli diable.

– Ja też właśnie o nim mówiłam – potwierdziła Kaja. – Sama nie wiem, kto lepszy, czy służy waszego Chrystusa, czy waszego diabła.

– Nie należę ani do jednych, ani do drugich – poinformował Marek. – Możesz być o to spokojna.

Kaja spojrzała na mężczyznę nieco nieobecny, choć przeszywającym wzrokiem. Zdziwił ją fakt, że patrząc w ten sposób, nabyła pewności, że Marek mówi prawdę.

– Zostanę u ciebie jakiś czas, jeśli mogę – powiedziała.

Marek poczuł się dziwnie pod wzrokiem dziewczyny. Zaczął się zastanawiać, czy nie pakuje się właśnie w jakieś problemy, ale z drugiej strony wyglądała tak niepozornie i niewinnie. Musi jej chociaż zorganizować jakieś buty, bo nie może tak chodzić po ulicach na bosaka.

– Możesz. To będzie twój pokój. – Marek wskazał pomieszczenie, z którego kilka chwil wcześniej wyszła Karen.

---

1 *Wer ist das, Mark? Was macht sie hier?* (niem.) – Kto to jest, Marku? Co ona tu robi?

*Trzeci zaś poczet ludzi czarom niepodlegający jest nayosobliwszy  
To jest pilną strażą Anielską obwarowany  
Wewnątrz y zwierzchu.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum* (*Młot na czarownice*),  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.



## Rozdział 5.

### Podstęp

Biskup Jan Muskata wmusił w siebie cały suchy chleb, który otrzymał tego ranka. Wypił też chyba po raz pierwszy całą miskę wody. Wstąpiła w niego nowa nadzieja. Czy to możliwe, aby mógł rzeczywiście uzyskać pomoc? Czy to możliwe, że jeszcze nie wszystko stracone? Czy naprawdę Magnus von Rappard nie żyje? Czy to aby na pewno nie był sen? Wciąż zadawał sobie pytania.

Odczuwał obawę przed wizytą zapowiedzianego przez czarownicę hrabiego de Millow, ale z drugiej strony oczekiwał jej, bo byłaby ona potwierdzeniem, że nocna rozmowa z Aishą wydarzyła się naprawdę, a nie były to tylko zwidy umęczonego umysłu. Przez niemal księżycowy miesiąc nikt go nie odwiedził w celi. Jeżeli dziś ktoś przyjdzie i będzie to rzeczywiście de Millow, będzie to dowód prawdziwości słów Aishy. Chciał, żeby nocna rozmowa okazała się prawdą. Chociaż w takim przypadku będzie musiał przecież przetrwać rozmowę z tym okrutnikiem. Znał jednak ten typ ludzi. Dużo informacji otrzymał też od czarownicy. Wierzył, że sobie poradzi. Wiedział, że nie może okazać strachu, a nawet musi sprawić, by to de Millow poczuł strach. Najlepiej będzie, jak jego rozmówca poczuje strach od samego początku rozmowy. Tylko pod tym warunkiem nie odważy się nawet myśleć o torturach. U takich ludzi strach wywołuje szacunek. Najpewniej taki to jest typ człowieka.

Minął poranek i południe. Po nikłym świetle wpadającym przez małe okno celi domniemywał, że niedługo już zapadnie noc. Gdy zaczynał już tracić nadzieję, że cokolwiek jeszcze tego dnia się wydarzy, usłyszał kroki na schodach

i cichą rozmowę. Nie czuł strachu. Wiedział, co ma robić. Mniej więcej wiedział, jak zacząć. Potem będzie musiał improwizować.

Biskup Muskata usiadł na posadzce z godnie wyprostowanymi plecami twarzą do muru, a ostentacyjnie plecami do drzwi celi. Usłyszał głośny szczepek zasuwu i pisk zawiasów, ale nawet nie drgnął. Usłyszał kroki dwóch osób wchodzących w milczeniu do celi. Gdy tylko drzwi zamknęły się za wchodzącymi, zdecydował się zacząć przedstawienie. Musiał przejąć inicjatywę.

– Witaj, hrabio. – Biskup nadał swojemu głosowi spokojny ton. Nadal patrzył w mur odwrócony tyłem do rozmówców. – Czekałem dziś na ciebie już od południa, odkąd wróciłeś do Rzymu. Nie spieszyłeś się do mnie. Sądziłem też, że przyjdiesz sam. Powinienem zapewne kurtuazyjnie zapytać, czemu zawdzięczam tę wizytę... Ale nie zapytam, bo wiem, hrabio de Millow.

Biskup po wypowiedzeniu tych słów starał się spokojnie oddychać, by nawet językiem ciała nie zdradzić napięcia. Długo czekał na odpowiedź, ale w końcu usłyszał głos, w którym z zadowoleniem odnotował nutkę zaskoczenia.

– Znasz mnie, biskupie? – Muskata usłyszał pytanie i poznał ten głos. Należał do człowieka przebranego za oficera gwardii szwajcarskiej, który powitał go przy bramie Porta del Popolo. A więc słowa Aishy zgadzały się co do joty.

– Oczywiście, hrabio de Millow. Wiem od dawna, kim jesteś. – Biskup zadbał ponownie o to, by jego głos brzmiał mocno. – I oczywiście poznałem, że to ty czekałeś na mnie przy bramie...

– Skoro mnie poznałeś, to dlaczego dałeś się zaskoczyć, biskupie? – W głosie hrabiego zabrzmiała nieufność.

– To proste, de Millow – twardo odpowiedział biskup. – Pozwoliłem ci się ująć, by na cmentarzu Stolberg dokonano się to, co miało się dokonać. Nie masz pojęcia, z jakimi siłami się mierzysz, de Millow. Powinieneś być rozsądny, hrabio. Zastanów się. Lepiej chyba być po stronie zwycięskiej potęgi... – Zagadkowo rzucił biskup i dopiero wtedy odwrócił się od muru, usiadł

naprzeciwko stojących dwóch postaci i odważnie spojrział w twarz lepiej ubranego mężczyzny.

– O jakich siłach mówisz? O jakiej potędze? – W głosie tego lepiej ubranego mężczyzny, w którym dopiero teraz biskup rozpoznał owego oficera gwardii szwajcarskiej, zabrzmiało zainteresowanie i niepokój.

– Bądź rozsądny, de Millow. Chcesz rozmawiać o tych sprawach przy świadku? – zapytał biskup Muskata i wymownie spojrział na drugiego mężczyznę, którego ubiór bardzo przypominał strój kata.

Hrabia lustrował postać biskupa, zastanawiając się, co zrobić. Biskup milczał wymownie. Wytrzymał spokojnie natarczywe spojrzenie de Millowa.

– Henryku, oddał się. Poślę po ciebie, jak będziesz potrzebny – powiedział po dłuższej chwili hrabia.

Muskata odprowadził wzrokiem wychodzącego kata. Starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Skąd wiesz o tym wszystkim, biskupie? – W głosie hrabiego biskup wyczuł niepewność.

– Uwierz mi, że lepiej, żebyś wszystkiego nie wiedział, de Millow, bo podobnie jak Magnusa może cię spotkać nieszczęście – powiedział twardo Muskata. Myślał przez moment, że przeholował, ale w oczach hrabiego dostrzegł strach. – Powiem ci, co nakazano mi ci powiedzieć, gdy się w końcu pojawisz w Rzymie z wiadomością o śmierci papieża... – Tu biskup zawiesił głos dla lepszego efektu.

– Słucham, Ekscelencjo! – Ton głosu hrabiego stał się grzeczny.

– Wiemy, de Millow, że chcesz, żeby papieżem został Luigi Ambrosio. Wiemy, że chcesz się do niego zbliżyć. – Muskata obserwował uważnie twarz hrabiego i po nieznacznym mrugnieniu zaskoczenia poznał, że trafił w sedno swoimi stwierdzeniami. – My też tego chcemy, hrabio, i chcemy, żebyś w tej kwestii z nami współpracował.

– Mówiąc „my”, Ekscelencjo, kogo konkretnie ma na myśli? – usłużnym tonem zapytał de Millow.

– O to właśnie nie powinieneś w tej chwili pytać, de Millow. W tej chwili dla ciebie to bardzo niebezpieczna wiedza – odpowiedział stanowczo biskup. – Ale gdy się sprawdzisz, de Millow, wówczas osiągniesz wyższy stopień wtajemniczenia i wiedza zostanie ci ujawniona. Rozumiesz?

– Tak, Ekscelencjo! – gorliwie potaknął hrabia.

– Na razie mogę ci tylko powiedzieć, że siły, o których mówię i którym służę, a one służą mi, zdobyły pamiętnik Rebekki, pokonały demona służącego von Rappardowi i samego von Rapparda oraz celowo pozwoliły ci przeczytać ten pamiętnik. Nie ma też przypadku w tym, że ujrzałeś moc naszych sił na cmentarzu Stolberg. Miałeś je zobaczyć, bo chcemy, byś nam pomógł, a my potrafimy się odwdzięczyć, de Millow.

– Von Rapparda zabiły moce pogańskie, biskupie. Masz coś z nimi wspólnego? – dopytał hrabia niepewnym głosem.

– To miało wyglądać na działanie pogan, de Millow. – Muskata wkładał dużo starań w to, by jego głos brzmiał pewnie. – Więcej nie mogę ci na razie powiedzieć. Jeżeli nam pomożesz, potrafimy się odwdzięczyć.

– Rozumiem, Ekscelencjo. – Hrabia ukłonił się grzecznie biskupowi. – A o jakim odwdzięczeniu się mówisz, Ekscelencjo?

– A czego pragniesz, de Millow? – Biskup odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A co możecie mi dać? – zapytał chytrze hrabia.

– Wszystko możesz mieć, dopóki będziesz wierny naszemu stowarzyszeniu, de Millow. Możesz otrzymać wielkie bogactwo, możesz otrzymać władzę, a jeżeli zasłużysz, możesz otrzymać też demona na twoje usługi. – Biskup wypowiadał te słowa, patrząc prosto w jego twarz. Widział w niej niepokonaną ambicję i chciwość.

– Takiego demona, jakiego miał von Rappard? – zapytał hrabia i oczy mu się zaświeciły.

– Nawet o wiele potężniejszego, hrabio – rzekł Muskata. – Jeżeli zasłużysz.

W tym momencie jak na zawołanie w całym Rzymie zaczęły bić dzwony, podkreślając jakby obietnicę złożoną przez biskupa.

– A teraz zadbaj o to, bym dostał skóry, bo nie chcę spać na gołej posadzce – dodał biskup rozkazującym tonem. – Chcę ciepłe ubranie i lepszą strawę. Na razie mogę tu jeszcze zostać przez kilka nocy, a potem mnie wypuścisz.

– Oczywiście, Ekscelencjo, ale jakie właściwie będzie moje zadanie? – zapytał sprytnie hrabia. – Chciałbym też dokładnie wiedzieć, na jaką kwotę mogę liczyć. Rozumiesz, Ekscelencjo, że ja muszę też płacić moim ludziom.

– Jeżeli będziesz posłuszny, to w dniu najbliższego konklawe otrzymasz od naszego stowarzyszenia dwa tysiące dukatów – powiedział poważnym tonem Muskata i widział, że ta kwota zrobiła wielkie wrażenie na oficerze. – Konkretnie zadania przekażę ci za dwa dni, na dziś to już wszystko, zadbaj o jedzenie i ubrania dla mnie, de Millow – wydał rozkaz biskup.

– Ambrosio potrzebuje czarownicy. Jeżeli znajdę mu potężną czarownicę, to stanę się jego najbliższym współpracownikiem, Ekscelencjo, a to znacznie zwiększy nasze możliwości – niespodziewanie stwierdził hrabia. – Jest taka jedna potężna, która służyła Benedictusowi XI i von Rappardowi. Ma na imię Lilith.

– Możesz mu obiecać, de Millow – powiedział biskup – że dostanie potężną czarownicę. Poszukamy tej Lilith. Przed nami nikt się nie ukryje, de Millow.

– Dziękuję, Ekscelencjo!

Biskup z zadowoleniem zauważył, że ukłon hrabiego był bardzo głęboki i pełen szacunku. Następnie zobaczył, że de Millow odwraca się, puka w drzwi celi i po chwili ją opuszcza.

Biskup Jan Muskata odetchnął z ulgą.

## Rozdział 6.

### Kobieta i mężczyzna

Wędrowiec nie zatrzymywał się ani na chwilę. Mimo pokus tego miejsca wciąż przemierzał miękki dywan zielonej równiny. Ciepło powietrza, miękkość zielonego podłoża i wszechobecny wokół magiczny spokój próbowały wciąż nim zawładnąć. Znajdował jednak w sobie wciąż coraz większą determinację by iść dalej, by czegoś szukać. Tylko czego on właściwie szukał?

Co jakiś czas widział z oddali opadające z wysoka mgliste skrzydlate postacie nowych mieszkańców tego miejsca. Często opadały łagodnie w miękki dywan i już się z niego nie podnosiły. Krótki czas temu udało mu się dotrzeć do takiego nowego mieszkańca tej krainy wkrótce po tym, jak opadł na dywan zielonych traw.

– Kim jesteś? – zapytał wówczas tego mieszkańca.

– Mam na imię... Jagoda... chyba... – odpowiedziała mglista skrzydlata postać.

– Co tutaj robisz? – spytał wędrowiec.

– Nie wiem... Chyba chcę odpocząć... Przed chwilą się topiłam w rzece... Prosiłam bogów o pomoc... Teraz chcę odpocząć...

Po tych słowach postać zanurzyła twarz w gęstej, miękkiej trawie.

– Poczekaj, jeszcze tego nie rób! – krzyknął wędrowiec, ale na twarzy Jagody już pojawił się błogi uśmiech.

– Jest cudownie – odpowiedziała tylko i były to ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał. Już oddała się cała temu miejscu. Ono bardzo szybko nią zawładnęło.

Wędrowiec czuł, że musi ruszyć dalej, że nie może stać dłużej w miejscu, bo to miejsce jego również pokona. Ruszył dalej przed siebie. Słowo „bogowie” poruszyło w nim jakieś struny. Wiedział, że on też ma coś z nimi wspólnego.

Wędrowiec powtarzał wielokrotnie w myślach tę rozmowę. Starał się dobrze ją zapamiętać, bo obawiał się, że to miejsce odbierze mu nabytą wiedzę. Powtarzając w myślach wszystkie słowa, które padły, uświadomił sobie w pewnej chwili, że Jagoda była kobietą. Jednocześnie nadeszła pewność, że on jest mężczyzną. Wraz ze świadomością istnienia kobiet i mężczyzn w jego myślach pojawił się obraz innej kobiety. Poczul tęsknotę. Zrozumiał, że to do niej wciąż podąża. To jej obiecał, że ją odnajdzie. Przyspieszył. Poszybował szybciej nad trawami.

*Potrzeba wiedzieć iż omamienie abo wczarowanie smysłów iest dwojakie  
Pierwsze smysłów zwierzchownych tylko.  
Drugie smysłów wewnętrznych pochodzące aż do zwierzchownych.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum* (Młot na czarownice),  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.



## Rozdział 7.

### Spotkanie

Biskup Luigi Ambrosio siedział w drewnianej, kościelnej ławce jednej z bocznych naw Arcybazyliki *Sacrosancta lateranensis ecclesia omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput* na Lateranie. Przed nim na ścianie wisiał portret Świętego Piotra. Święty spoglądał skupionym rozmodlonym wzrokiem w dół na puste ławy kościelne. Namalowany prosty rybacki strój mocno kontrastował z bogato zdobioną pozłacaną ramą. Święty Piotr swoim zwyczajem trzymał klucze do bram Kościoła.

Biskup Ambrosio nie przyszedł tu się modlić. Przyszedł w spokoju pomyśleć. Na terenie Lateranu wszędzie panował ścisk i trudno było znaleźć spokojne miejsce, żeby nie spotykać innych duchownych. Tylko do arcybazyliki poza czasem mszy świętej mało kto przychodził. Tutaj mógł spokojnie się zastanowić. W ostatnich dniach dużo działo się na terenie pałacu papieskiego na Lateranie. Magnus von Rappard, czyli papież Klemens V, nie zdążył wyznaczyć nowego kamerlinga, dlatego ten urząd zgodnie z przepisami objął ponownie kardynał Giovanni d'Anagni. Kardynał uchodził za duchownego umiarkowanego i zdecydowanie chętniej widziałby na tronie Piotrowym papieża również o umiarkowanych poglądach, a nie kogoś z frakcji Rycerzy Chrystusa, pragnących krucjaty przeciw pogaństwu. Na jego wsparcie zatem nie ma co liczyć. Ambrosio obawiał się również, że po awanturze podczas ostatniego konklawe, w której wziął aktywny udział, kardynał d'Anagni będzie zdecydowanie niechętny jego kandydaturze. Ambrosio dostrzegł już pierwsze przejawy tej niechęci. Kardynał niechętnie odniósł się do jego wniosku, aby w trybie przyspieszonym *Sancto*

*Subito* przeprowadzić proces beatyfikacyjny Magnusa von Rapparda. Wniosek oczywiście przeszedł większością głosów, ale wskazani przez niego członkowie komisji wcale takiego szybkiego procesu nie gwarantowali, a przecież ten proces ma być trampoliną do jego kandydatury. Ma być sposobem na promocję kandydatury Ambrosio na papieża, bo przecież to on złożył ten wniosek i był najgorętszym zwolennikiem zmarłego papieża. Proces beatyfikacyjny to również sposób na ukazanie okrucieństwa demona pogańskiego i zwiększenie poparcia dla krucjaty. Na razie robił, co mógł, używając zarówno swoich wpływów, jak i wpływów hrabiego de Millow, by beatyfikacja Magnusa nastąpiła jeszcze przed konklawe. Po cichu zbierał też zwolenników. Spośród biskupów popierających ideę krucjaty na razie on, Ambrosio, miał najwyższe notowania, ale obawiał się jakichś zakulisowych działań innych potencjalnych kandydatów, na razie pozostających w cieniu. Myślał, co jeszcze można zrobić, by zwiększyć swoje poparcie. Naprawdę chce być papieżem. Chce, by mówiono do niego „Jego Świątobliwość”. Już przyzwyczał się do tej myśli. Już nawet wybrał sobie nowe imię.

Jego rozmyślania przerwała świadomość, że nie jest już sam przed obrazem świętego. W jego ławeczce, na samym jej końcu, siedziała siwa, długowłosa kobieta. Zdziwił się jej obecnością, bo nie słyszał jej kroków, gdy się zbliżała. Powinien był je słyszeć, przecież dźwięk zawsze tak się niesie po arcybazylice. Kobieta nie modliła się, tylko mu się przyglądała, co też go zdziwiło.

Miała bardzo szczupłą twarz, ostre rysy twarzy i siwe, posklejane włosy. Ubrana była w całkiem przyzwoitą długą czerwoną suknię, spod której wystawały bosc, niezadbane zupełnie stopy.

– Chciałem być sam, kobieto! – obcesowo zareagował biskup, sądząc, że przepędzi tymi słowami staruszkę. Ona jednak dalej przyglądała mu się swoimi szaro-niebieskimi oczami.

– Chciałeś być sam, biskupie Ambrosio? To po co mnie szukałeś? – odpowiedziała zagadkowo nieznamyma.

– Znasz mnie? – Zdziwiony biskup szukał w pamięci rysów twarzy tej kobiety, ale nie przypominał ich sobie zupełnie. Jedyne oczy wydawały mu się znajome.

– Szukałeś mnie. Jestem więc. Zrobię coś dla ciebie, jeżeli mi zapłacisz. – Staruszka nadal odważnie patrzyła prosto w oczy biskupa.

– Cóż ty mi możesz dać, kobieto? – zirytował się Ambrosio. – Odejdź stąd. Nie szukałem cię.

– Czyżby ta rudowłosa, szaro-niebieskokooka piękność oszukała mnie? – O dziwo, w ustach staruchy błysnęły zdrowe zęby, gdy się uśmiechnęła.

– Greta? – Od razu skojarzył po tym krótkim opisie, o kim mówi kobieta. – Ona cię tu sprowadziła?

– Mnie nie można sprowadzić, biskupie. Mnie można co najwyżej zaprosić. – Wzrok staruchy był zimny. – Można też kupić moje nieocenione usługi za godziwą zapłatę.

– Czy ty jesteś...? – Ambrosio niespokojnie przełknął ślinę. – Czy ty masz na imię Lilith?

– Tak, biskupie. Tak się nazywam od dnia mojego stworzenia.

– Czy ty pomagałaś swoimi zdolnościami dwóm ostatnim papieżom? – upewniał się Ambrosio.

– Dwóm ostatnim również, gołąbeczku. – Staruszka znów pokazała mu zęby w uśmiechu. – Sowiec zapłacili.

– Czy dostali od ciebie to, czego chcieli? – Uważnie lustrował teraz twarz czarownicy.

– Dostali wszystko, czego żądali. Oczywiście za odpowiednią cenę. Szkoda tylko, że Magnus nie posłuchał mojego ostrzeżenia. – Twarz kobiety nie wyrażała szczególnego smutku.

– Przed czym go ostrzegąłeś, kobieto? – zainteresował się Ambrosio.

– Informacje mają swoją cenę, biskupie. Jeszcze mi nic nie zapłaciłeś, gołąbeczku. – Lilith patrzyła prosto w oczy biskupa.

– Jaka jest cena twoich usług? – Biskup już wiedział, że da jej każdą kwotę, jakiej zażąda.

– Chcę dużo złota, gołąbeczku. Daj mi je, a dostaniesz wszystko, czego pragniesz.

– Ile złota chcesz, czarownico?

– Wystarczy mi na początek sto dukatów w złocie...

– Dostaniesz! – Biskup nie zaczekał, aż kobieta dokończy zdanie.

– Wystarczy mi na początek sto dukatów w złocie skropionych twoją krwią, biskupie – dokończyła spokojnie czarownica.

– Po co ci moja krew? – Perspektywa skrapiania własną krwią złota dla czarownicy zupełnie mu się nie spodobała.

– Do eksperymentu – odpowiedziała poważnym głosem czarownica – który może uratuje twoją duszę przed wiecznym potępieniem. Wszyscy o to pytacie.

– Mogę dać ci nawet dwieście dukatów w złocie, ale bez krwi! – zdecydował biskup.

– Daję ci tydzień na zastanowienie. Chcę sto dukatów w złocie spryskanych twoją krwią, Ambrosio. Pamiętaj, że inni też szukają mojej pomocy i nie zawahają się dać mi tego, czego żądam. Pojawię się w tym miejscu dokładnie za tydzień. Jeżeli wówczas odmówisz, to nie spotkamy się więcej – usłyszał Ambrosio i po tych słowach ławeczka obok niego już była pusta.

Ambrosio miał wrażenie, że przysnął na krótki moment, a gdy się ocknął, kobiety nie było. Rozejrzał się gorączkowo wokoło. Arcybazylika była pusta. Tylko Święty Piotr patrzył na niego jakby z politowaniem.

\*

Hrabia Harold de Millow czekał w długim korytarzu przed gabinetem biskupa Ambrosio. Sekretarz biskupa poinformował go chwilę wcześniej, że biskup modli się w arcybazylice i zdecydowanie zabronił sobie przeszkadzać. Oficer postanowił poczekać przed gabinetem. Biskup zapewne wróci niebawem. Hrabia miał dla

niego ważne informacje. Spodziewał się, że biskup będzie zadowolony z jego ustaleń. Być może dostanie nawet jakiś dodatek do swojego i tak sówitego wynagrodzenia. Na pewno też uda mu się odsunąć na dalszy plan tę przybłądę Gretę, której, nie wiedząc dlaczego, zaufał Ambrosio.

De Millow usłyszał kroki w korytarzu. Odwrócił się i z zadowoleniem zauważył idącego w jego kierunku biskupa Ambrosio. Szedł dość szybkim krokiem, zamyślony, wpatrzony w podłogę.

– Ekscelencjo!

Biskup nie doszedł jeszcze nawet do połowy korytarza, a już za nim pojawiła się Greta.

Ambrosio odwrócił się, słysząc znajomy głos, i z przyjemnością zawiesił oko na zgrabnie podbiegającej do niego dziewczynie. Nie omieszkał zauważyć, że błękitna suknia Greta ma bardzo intrygujące rozcięcie z przodu i że podczas biegu światło dzienne oglądają jej bardzo zgrabne łydki i kolana.

– Słucham, gołąbeczko! – Ambrosio uśmiechnął się na jej widok.

– Ekscelencjo, ja tylko na dwa słowa. – Greta spojrzała na biskupa spod długich rzęs. – Widzę jednak, że jego Ekscelencja ma gościa.

Dopiero teraz Ambrosio zauważył hrabiego i spojrzał na niego z niechęcią.

– Coś ważnego, de Millow? – zapytał nieco obcesowo.

– Tak, Ekscelencjo. – Oficer nie zamierzał odpuszczać.

– Dobrze, wejdźcie oboje.

Biskup zawiesił dłuższe spojrzenie na imponującym dekolcie Greta i otworzył przed nią drzwi. Ruszyła, zgrabnie poruszając biodrami. Za nią do pomieszczenia wszedł biskup, a na końcu hrabia.

Biskup zdecydowanym ruchem dłoni wyprosił z gabinetu swojego sekretarza, brata Lorenzo. Nie ufał mu na tyle, że by powierzać mu sprawy, o których rozmawia z Gretą i de Millowem. Gabinet biskupa był jednoizbowy, niewielki. Nie narzekał jednak, bo dla niektórych biskupów, którzy pozostali w Lateranie jeszcze po poprzednim konklawe, nawet nie znalazła się indywidualna izba. Nie

był to jednak taki gabinet, jaki miał w swojej diecezji w Neapolu. Tam urządził się z niezwykłym przepychem. Na pewno tamten jego gabinet zrobiłby na Grecie wrażenie.

– Mów, co masz, de Millow. – Biskup najwyraźniej chciał szybko załatwić sprawę z hrabią, by dłużej porozmawiać z dziewczyną.

– Ekscelencjo, byłem w karczmie Roma i pytałem karczmarza oraz cały personel o obecną tu Gretę. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że takowa u nich nie pracowała i nie pracuje – powiedział hrabia i uważnie spojrzał na dziewczynę.

– Boże, de Millow... – zirytował się Ambrosio. – Może znają ją pod innym imieniem. Greta wspomniała nam wcześniej, że tak naprawdę ma inaczej na imię.

– Nie pracuje i nie pracował tam też nigdy nikt o takim rysopisie, Ekscelencjo. Dokładnie ją wszystkim opisałem...

– Ale przecież my sami widzieliśmy, że ona tam pracuje! – Poziom irytacji biskupa wzrósł. – Co w ogóle sugerujesz, de Millow?

– Ona może być szpiegiem, Ekscelencjo. Ktoś mógł nam ją podstawić. Dużo wie. Jest urodziwa i sprytna, a my nawet nie wiemy, jak się nazywa. Proszę na nią uważać, Ekscelencjo.

Biskup spojrzał na dziewczynę i zobaczył, że stoi spokojnie i z uśmiechem przysłuchuje się słowom hrabiego. W jej spojrzeniu ani zachowaniu nie było widać żadnego niepokoju.

– Jak to wytłumaczysz, Greto? – zapytał spokojnie biskup.

– Pan hrabia, jak widzę, nie przyłożył się tym razem do swojej pracy. – W głosie Grety był absolutny spokój, a jej niewinne spojrzenie spod czarnych rzęs spoczęło na oczach biskupa. – Gdyby hrabia de Millow porozmawiał z panią karczmarzową, toby się wszystkiego o mnie dowiedział, bo *de facto* ona mnie zatrudniła. A jeżeli chodzi o inne posługaczki, to nie utrzymywałam z nimi żadnych kontaktów. Nie lubiły mnie.

– Sprawdzę to jeszcze dziś. – Hrabia zabrzmiał groźnie, ale nie zrobiło to na dziewczynie żadnego wrażenia. – Chcę też wiedzieć, jak się nazywasz.

– Moje imię wyjawię tylko Jego Ekscelencji. – Przez dłuższą chwilę dziewczyna mierzyła się wzrokiem z oficerem.

– Daj spokój, de Millow! – Biskup przerwał tę rywalizację na spojrzenia. – Masz dla mnie coś jeszcze?

– Tak, Ekscelencjo. Będę miał dla ciebie wkrótce czarownicę! – z dumą zakomunikował hrabia.

– Czarownica o imieniu Lilith, która współpracowała z Magnusem, już się ze mną skontaktowała. Dosłownie przed chwilą i, co jeszcze bardziej niewiarygodne, zrobiła to na terenie arcybazyliki. – Ambrosio spojrzał z podziwem i wdzięcznością na dziewczynę. – Powiedziała, że przyszła do mnie na twoje zaproszenie, Greto.

Na twarzy hrabiego pojawił się grymas rozczarowania i irytacji. Ambrosio to dostrzegł.

– Coś jeszcze, de Millow? – zapytał.

– To wszystko na razie, Ekscelencjo. – W głosie hrabiego słychać było poczucie porażki.

– Jeżeli Ekscelencja pozwoli, to ja teraz mam jedno pytanie do pana hrabiego. – Słowa „pana hrabiego” dziewczyna wypowiedziała z naciskiem i kpiną.

– Oczywiście, gołąbeczko. – W głosie biskupa słychać było nutkę rozbawienia. – Pytaj, o co chcesz.

– Chcę zapytać pana hrabiego, co przed nami ukrywa i kogo takiego ważnego więzi w piwnicach pałacowych... – Padło pytanie, a de Millow aż się zakrztusił, gdy je usłyszał.

Biskup dostrzegł zmieszanie i niepokój hrabiego.

– Odpowiedz, de Millow! – zażądał Ambrosio, uważnie obserwując oficera.

– W celach są tylko ci, których kazał tam umieścić Magnus von Rappard, Ekscelencjo. – Hrabia szybko ochłonął po zaskoczeniu i teraz się postarał, by jego głos zabrzmiał pewnie. – A dlaczego interesują cię więźniowie papieża? Mogę wiedzieć? – zwrócił się do dziewczyny.

– Musi tam być ktoś ważny dla ciebie, hrabio, bo kazałeś zanieść do jednej z cel posiłki z głównej kuchni pałacowej. – Na oficerze spoczął uważny, pytający wzrok biskupa i Grety.

– Imię tego więźnia wyjawię tylko Jego Ekszelencji. – Ponownie przez dłuższą chwilę dziewczyna i oficer mierzyli się wzrokiem.

– No dobrze, de Millow. – To wzrokowe starcie przerwał biskup. – Zostaw nas teraz samych.

Oficer z ulgą opuszczał pomieszczenie. Rozmowa nie przebiegła po jego myśli. Czuł się niepewnie. Nie ufał za grosz tej dziewczynie, tej przybłędzie. Skąd ona zdobywa te informacje? Jak udało jej się dotrzeć do tej czarownicy? Był więcej niż pewien, że to właśnie on, hrabia Harold de Millow, sprowadzi czarownicę dla Ambrosio dzięki kontaktom z biskupem Muskata. A może... ten Muskata i Greta współpracują ze sobą? Obydwoje wiedzą tak dużo. Ta gwałtowna myśl spowodowała, że aż się zatrzymał na korytarzu. Tak, to bardzo prawdopodobne. Jutro wycisnie tę informację z więźnia. Nie pozwoli się wodzić za nos.

\*

Gdy drzwi zamknęły się za hrabią, biskup Ambrosio ciężko rozsiadł się na krześle, a Grecie wskazał miejsce na brzegu biurka. Dziewczyna zgrabnie się usadowiła na blacie i zaczęła dziecinnie machać nogami. Biskup przez dłuższą chwilę z uśmiechem kontemplował jej zgrabne łydki.

– Wiesz, że jestem spostrzegawcza, Ekszelencjo, i lubię obserwować ludzi – zaczęła dziewczyna i uśmiechnęła się zalotnie. – Zauważyłam, że siedzisz tak, jakbyś doświadczał bólu pleców. Czy mam rację? – Teraz w głosie dziewczyny zabrzmiała głęboka troska.

– Czy to aż tak widać? – zapytał zaskoczony biskup, który nie chciał przed młodą dziewczyną odgrywać starca, tylko raczej młodzieńca.



– Widać, drogi biskupie. Siedząc, często zmieniasz pozycję, jakbyś szukał takiej, w której mniej boli. – Greta zeskoczyła z biurka, stanęła za krzesłem biskupa i dłońmi dotknęła jego napiętego karku.

– Och, gołąbeczko... – mruknął z zadowoleniem Ambrosio. – Kontynuuj, proszę.

Biskup czuł, jak delikatne dłonie dziewczyny zagłębiają się w jego mięśnie. Te dłonie przynosiły natychmiastową ulgę. Czuł, jak rozgrzane tym niespodziewanym dotykiem mięśnie się rozluźniają.

– Teraz ciut niżej, gołąbeczko, między łopatki. – Ambrosio zamknął oczy, by dokładniej delektować się boskim dotykiem dziewczyny.

– Dobrze, mój drogi Luigi – wyszeptała bezwstydnie dziewczyna, zbliżając bardzo usta do jego ucha oraz przesuwanając dłonie dokładnie tam, gdzie chciał.

– Och, tam mnie dotykaj, gołąbeczko. Idealnie. A potem... w innych miejscach też... – rozochocił się Ambrosio i sięgnął dłońmi do tyłu, dotykając gładkich łydek masażystki. Nie broniła mu tego. Zrobiło mu się bardzo gorąco. Przesunął swoje dłonie po jej gładkiej skórze tak wysoko, jak mógł w tej pozycji.

– Czy chcesz wiedzieć, mój drogi Luigi, jak mam naprawdę na imię?

Biskup czuł jej gorący oddech na policzku.

– Jak? – zapytał Ambrosio, choć w tej chwili zupełnie nie miało to dla niego znaczenia. Chciał już zacząć w końcu rozbierać swoją nową podwładną.

– Ja również mam na imię Lilith... – usłyszał gorący szept.

Wstał szybko z krzesła, nie doświadczając, o dziwo, żadnych zwykle towarzyszących mu w takich sytuacjach dolegliwości. Chwycił dziewczynę dłońmi pod pośladki i posadził ją z powrotem na swoim biurku.

## Rozdział 8.

### Wołanie

Tego dnia Kaja została sama w mieszkaniu Marka. To był trzeci dzień jej pobytu w tym dziwnym świecie przyszłości. Czuła, że do niego nie należy. Po wczorajszym incydencie w ogrodzie u państwa Muller dziś już Marek nie chciał zabrać jej do pracy. Najwyraźniej bał się, że znów coś dziwnego się wydarzy. Mężczyzna wyszedł o świcie i od tamtej pory Kaja siedziała przy oknie. Siedziała i patrzyła na jesienny świat z betonu. To nie był jej świat. Próbowwała sięgać myślami dalej, poza ten beton miasta. Czuła, że gdzieś dalej za nim jest las. Są zdrowe drzewa. Coś ją stamtąd przywoływało. Ten głos nie wołał jej po imieniu Kaja. Wołał Rowennę i Bezcielesną. Wiedziała już jednak, że chodzi o nią.

Wczoraj Marek zabrał ją do pracy. Zabrał ją, gdyż bał się pozostawić bądź co bądź nieznaną osobę na tyle godzin w swoim mieszkaniu. Od dwóch dni ich firma porządkowała teren dużego ogrodu w stylu angielskim otaczającego wille państwa Muller. Ogród był nieprawdopodobnie zaniedbany, gdyż pan Muller, znany lokalny przedsiębiorca, praktycznie nie bywał w domu i nie miał czasu zajmować się ogrodem. Skończyła się jednak cierpliwość małżonki owego przedsiębiorcy i zażądała ona od męża rzeczywistych działań w ogrodzie, gdyż jego wygląd zaczynał już przynosić jej wstyd. Efektem jej protestu była obecność na terenie ich posesji pracowników firmy ogrodniczej, w której pracował Marek. Jesień nie była najlepszą porą roku na rewolucje w ogrodzie, ale czego się nie zrobi, jak klient wymaga.

Na posesję Mullerów dotarli firmowym busem. Był to dla niej pierwszy przejazd wozem poruszającym się bez koni. Była cała spięta

i w niewytłumaczalny sposób jej nastrój udzielał się innym pasażerom. Przez całą drogę nikt nie powiedział ani słowa, co było zupełnie nietypowe dla ich wesołej ekipy. Nawet Klaus, kolega Marka, któremu zazwyczaj usta się nie zamykały, milczał.

Marek powiedział Kai, że wcześniej umówił się ze swoim szefem, że ona za swoją dniówkę otrzyma połowę standardowej stawki. Te pieniądze zupełnie jej jednak nie interesowały. Marek mówił, że pan Weber przystał na tę propozycję bardzo chętnie, gdyż pracy u Mullerów było dużo, a pracownik za pół stawki minimalnej to czysty zysk. Kaja otrzymała od Marka kombinezon, stare sportowe buty i rękawiczki ogrodnicze. Uważała, że wygląda dziwnie w tym ubraniu. Marek miał w mieszkaniu lustro, w którym można było się przejrzeć. Lustro było jak zamrożona tafła kryształowej wody, tylko nietopiąca się w ciepłe. Niezwykły wynalazek.

Kaja z ulgą wysiadła z busa i rozejrzała się po ogrodzie. Był przepiękny różnymi roślinami. Dziesiątkami gatunków. Wiele z tych roślin cierpiało. Mówiły do niej, że mają albo za mało słońca, albo nieodpowiednią glebę, albo nieodpowiednie sąsiedztwo, by mogły rosnąć, kwitnąć, owocować, rozmnażać się. Od razu zrozumiała, że liczne gatunki drzew, krzewów i mniejszych roślin zostały tu przeniesione z innych części świata dla wizualnego efektu, jednak nie pasowały do panujących tu warunków. Miała ochotę dotknąć wszystkich tych roślin, dać im siłę. Tylko czy to jeszcze potrafi?

Weber przywitał się z panią Muller. Kaja słyszała, jak w nieznanym jej języku tłumaczy ogrodnikowi, czego spodziewa się po ich pracy. Zauważyła, że brak znajomości języka nie przeszkadza jej już w rozumieniu myśli mówiącego. Uświadomiła sobie też, że wówczas gdy wołano na nią Bezcielesna, potrafiła świetnie wychwytywać treść myśli innych ludzi, nawet gdy milczeli.

– Mark! – krzyknął po niemiecku Weber do jej opiekuna. – Powiedz tej swojej dziewczynie, żeby zaczęła usuwać mech spomiędzy kostek chodnika. Daj jej jakieś wiaderko i pokaż, jak to się robi. Ma to robić porządnie, bo nie zapłacę. Nikt po niej nie będzie poprawiał.

Nie czekając na Marka, wzięła z busa wiadro i ruszyła na początek chodnika. Wyłowiła zdziwione spojrzenie Marka. Najpewniej nie rozumiał, dlaczego nie musiał jej przetłumaczyć polecenia przełożonego. Kaja dotknęła wtedy mchu i trawy. Zanim jeszcze pierwszy raz użyła haczki, wzięła w ręce źdźbła trawy. Zdjęła rękawiczki, by lepiej je czuć. Dotykając ich, słyszała to samo nawoływanie zachęcające, by dotarła do lasu. Nie bardzo rozumiejąc, co robi, zsunęła ze swoich stóp zbyt duże, sportowe buty, które otrzymała od Marka, i stanęła boso w trawie obok chodnika.

– *Scheise! Mein Gott!* – usłyszała okrzyk zdziwienia stojącego niedaleko od niej Klause.

Początkowo wokół nich, a następnie również dalej, ogród zaczynał zakwitać. Na ich oczach zakwitły białe kwiaty jabłoni i grusz, jasnoróżowe kwiaty śliwy i jasnofioletowe kwiaty brzoskwiń. Pojawiło się mnóstwo kwiatów. Ogród jesienny wypełnił się zapachem wiosny.

– Boże, jak pan to zrobił, panie Weber! – wykrzyknęła zaskoczona pani Muller. – Jest pan cudotwórcą.

Weber stał jak zbaraniały i rozglądał się wokoło, szukając pomocy. Przecierał oczy ze zdziwienia, a nawet szczypał się w policzki, jakby chcąc się obudzić.

Kaja spojrzała na idącego w jej kierunku Marka.

– Co ty robisz najlepszego? – zapytał najwyraźniej przestraszony. – Chcesz, żeby mnie wywalili z pracy?! I dlaczego, do cholery, zdjęłaś buty?

– Ktoś mnie woła... – odpowiedziała Markowi i wyczuła w jego myślach, że zupełnie nie rozumie jej odpowiedzi.

To wszystko wydarzyło się wczoraj, a dziś w związku z tymi wydarzeniami Marek zostawił ją samą w mieszkaniu. Czuła, że gdzieś dalej jest las. Są zdrowe drzewa. Coś ją stamtąd przywoływało. Słyszała imiona Rowenna oraz Bezcielesna. Wiedziała już jednak, że chodzi o nią. Ale kto pamiętający te imiona może jeszcze istnieć po kilkuset latach?

Imię Rowenna otrzymała w wieku dziesięciu lat, gdy została kapłanką Peruna, najpotężniejszego z bogów, władcy piorunów, słońca i powietrza, współtwórcy świata. Wówczas przestała używać imienia Kaja, które pamiętali tylko jej najbliżsi. Z ukrytych zakamarków pamięci wydobyła też, skąd się pojawiło określenie „Bezcielesna”. Przed jej oczami znów zobaczyła moment, gdy rycerze z krzyżami na piersi wpadli do chramu, świątyni Peruna, zarzucili jej worek na głowę i uprowadzili ją. Potem ujrzała swoją egzekucję na stosie, której przyglądał się biskup Cracovii, Jan Muskata. Była wówczas wierna bogom i została za to nagrodzona przez swojego ulubieńca Peruna oraz przez Walesa, jego pierwotnego odpowiednika ze świata podwodnego i podziemnego. Przywrócono ją wówczas dla świata i obdarzono mocami, których jeszcze sobie do końca nie przypominała. Najwyraźniej imię Bezcielesna oznaczało, że potrafiła przetrwać bez ciała. Tylko co zostało z jej mocy obecnie? Co zostało z jej świata i bogów po tym, jak przewęgetowała na obcej ziemi tyle stuleci?

Pomyślała o Perunie, swoim bogu i opiekunie. Czy potrafi się jeszcze z nim skontaktować? Kiedyś robiła to często. Czy odpowie jej po tylu latach?

– *Wielki Perunie, boże powietrza i piorunów, potrzebuję Twojej pomocy!* – Kaja wysłała myśl w niekończącą się przestrzeń. Nasłuchiwała odpowiedzi długo, ale nie nadeszła. – *Wielki Perunie, boże powietrza i piorunów, potrzebuję Twojej pomocy!* – powtórzyła wołanie, lecz ponownie nie otrzymała odpowiedzi.

Przypomniała sobie jedno z najbardziej aktualnych wspomnień ze swoich czasów. Leżała na ziemi na chrześcijańskim cmentarzu. Była na skraju życia. Wołała wówczas Peruna dwukrotnie. Również się nie odezwał. Czyżby nie była godna? Może to przez nią świat wygląda tak, jak wygląda? Może dlatego, że wtedy pozwoliła złapać się w pułapkę Luxferrusa i poniosła porażkę. Wówczas, będąc na skraju rozpacz, zawołała Walesa, boga świata podwodnego i podziemnego, który pomógł jej przetrwać, mimo że często bywał adwersarzem Peruna. Dziś nie ma odwagi wołać Walesa. Nie jest w aż takiej desperacji.

Spojrzała przez okno na betonowy świat. Spojrzała na słońce na wschodzie. Stamtąd wołał głos. Tam był las. Czuła, że dobiegnie tam przed zachodem słońca.

Nie było na co czekać. Włożyła swoją prostą lnianą sukienkę. Nie włożyła butów. Otworzyła drzwi i wybiegła. Nasłuchiwała wołania. To był kobiecy głos. Ludzki głos.

\*

Ekipa skończyła dziś pracę kilkanaście minut wcześniej niż zwykle, bo szef się gdzieś spieszył. Marek cieszył się z tego bardzo, bo był zmęczony. Nie wyspał się tej nocy, więc teraz, gdy usiadł w ciepłym busie, głowa szybko opadła mu na szybę. Nie wiedzieć dlaczego, gdy już niemal wpadał w objęcia snu, przypomniał sobie cygankę, którą spotkał kiedyś na jednej z ulic Aachen, i wzrok tej kobiety, gdy dłuższą chwilę patrzyła w milczeniu na jego twarz, a jednocześnie gdzieś w dal. Przypomniał sobie też słowa wróżby wypowiedziane beznamiętnym głosem:

– Biedny byłeś... Biedniejszy jeszcze będziesz... Samotny byłeś... Samotniejszy jeszcze będziesz... Nie będzie łatwo, chłopcze... Aż mi cię, chłoptasiu, szkoda... Ale na koniec czeka cię... przygoda.

Marek ocknął się i ze zdziwieniem zobaczył, że są już na miejscu, pod dworcem w Aachen. Wsiadł z busa i ruszył w kierunku mieszkania. Po chwili się zatrzymał.

– O losie, po co mi przygoda? – rzekł do siebie i ruszył w zupełnie innym kierunku.

Ostatnie wydarzenia wprowadziły w jego życie pewien niepokój. Nabral podejrzeń, które mimo że były zupełnie absurdalne, to bezpieczniej jednak je sprawdzić. Skierował swoje kroki do budynku Biblioteki w Aachen. Często siadał tutaj w czytelni, by się dokształcić, ale również by poczytać coś dla przyjemności. Tym razem musi dokładniej poszperać w katalogu.

Marek usiadł przy komputerze i przez chwilę wpatrywał się w puste okienko wyszukiwarki. Po chwili zastanowienia wpisał w okienko po niemiecku hasło „jak rozpoznać czarownicę”. Wyskoczyła tylko jedna propozycja książkowa.

Tytuł : Malleus Maleficarum

Autor: Heinrich Kramer, Jacob Springer

Rok wydania: 1487

Biblioteka w Aachen miała to dzieło w zasobach cyfrowych. Marek słyszał już wcześniej o tej księdze. W Polsce tytuł tego dzieła przetłumaczono jako *Młot na czarownice*. Napisał je fanatyczny dominikanin i inkwizytor Heinrich Kramer. Na podstawie własnych doświadczeń oraz zebranej wiedzy opisał, jak wykrywać, sądzić i eliminować czarownice. Dzieło na ponad sto lat stało się obowiązkowym podręcznikiem dla różnych oficjalnych i mniej oficjalnych łowców wiedźm. Tyle wiedział o tej książce.

Otworzył okno ze skanami stron dzieła.

– To nie będzie łatwe – szepnął, gdy uświadomił sobie, że będzie musiał przebrnąć przez łaciński tekst. Godzinę zajęło mu zorientowanie się, że informacje, jak rozpoznać czarownicę, znajdzie dopiero w trzeciej części dzieła.

Gdy dwie godziny później opuszczał bibliotekę, już wiedział, jakim próbom podda Kaję. Odrzucił oczywiście te najbardziej brutalne. Nie zamierzał próbować wrzucać dziewczyny do wody i sprawdzać, czy się topi, ani torturować, by przyznała się do winy. Po drodze do domu wskoczył jeszcze do apteki i do kościoła. Wreszcie był gotów. Naprawdę liczył, że Kaja przejdzie te próby i nie okaże się czarownicą. Odetchnie wtedy z ulgą. Musi to wiedzieć. Bał się tej dziewczyny. Ona zupełnie wymykała się jego racjonalnemu umysłowi.

## Rozdział 9.

2 czerwca 1979 roku

Stali na placu od rana. On, Janek, szesnastoletni licealista, i jego mama, która często wyglądała na zmęczoną i smutną, dziś jednak zauważał w niej jakby nowe siły. Jego ojciec, który na tę okazję wyjątkowo sam wyprasował sobie koszulę. Stało z nimi również całe jego młodsze rodzeństwo, zwykle niesforne i ruchliwe, dziś jednak wyjątkowo grzeczne i skupione.

Obok nich stał wujek Edek, który z racji swojej pracy w wojsku rzadko bywał w kościele. Dziś stał tu jednak również. Stał wraz z ciotką oraz wszystkimi swoimi dziećmi. Nawet czteroletnim Wojtusiem.

Za nimi stali ich sąsiedzi. Konarzewscy, Wasilewscy, Smętek, Tokarscy. Stała starsza pani Wiśniewska, której pomógł tu dotrzeć jakiś harcerz. Stali tu zatem obok nich niemal wszyscy mieszkańcy ich kamienicy. Widział wielu sąsiadów mieszkających dalej, panie ze spożywczego z rodzinami, nauczycielki z jego szkoły, trenerów z jego klubu. Większości osób z tego nieprzebranego tłumu nie znał. Ludzie zeszli się z całego miasta, z okolicznych miejscowości. Wielu dojechało pociągami lub autobusami.

Stali w tłumie, jakiego nie widzieli nigdy wcześniej. Na placu Zwycięstwa nie było już ani centymetra miejsca więcej. Ten plac nie widział nigdy wcześniej takiego tłumu. Morze ludzi wylewało się nawet na sąsiednie ulice.

Stali i śpiewali w oczekiwaniu. Pieśń *Boże, coś Polskę* niosła się po całym placu i mieli wrażenie, że dociera do całej Warszawy. Wszyscy w tłumie wiedzieli, że On już wylądował na Okęciu i wysiadł z samolotu Alitalia. Kilka minut po dziesiątej wysiadł z samolotu i ucałował polską ziemię. Powinien już



niedługo tu być. Do tłumu docierały kolejne informacje, że już jedzie z lotniska, że widziano papamobile na Nowym Świecie, że był przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Czuli, że jest już blisko.

Był drugi czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, popołudnie, godzina już niemal szesnasta. Przy specjalnie wzniesionym na tę uroczystość wielkim ołtarzu zwieńczonym wysokim drewnianym krzyżem stało w ciszy wielu hierarchów kościelnych. Janek, mimo że był dość wysoki, widział ołtarz tylko wtedy, gdy stawał na palcach.

W pewnej chwili pieśni nagle zamilkły. Zrobiło się cicho. Janek czuł, że tam z przodu dzieje się coś ważnego. Do jego uszu dotarły brawa. Mimo że stawał na palcach, nic nie mógł zobaczyć. Wszyscy po prostu wyciągali głowy. Mężczyźni brali dzieci na barana.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Placem zawładnął Jego znajomy, radosny głos.

Rozległ się aplauz rozradowanego tłumu, który trwał i trwał. Doczekali się w końcu. Tak długo czekali.

– Umiłowani rodacy, drodzy bracia i siostry, uczestnicy eucharystycznej ofiary, która sprawuje się dziś w Warszawie na placu Zwycięstwa! – Jego spokojnie wypowiedane słowa niosły się po Warszawie, po Polsce, a serca słuchaczy przepełniła radość. – Razem z wami pragnę wyśpiewać pieśń dziękczynienia dla Opatrzności, która pozwala mi dziś jako pielgrzymowi stanąć w tym miejscu.

Wszyscy słuchali Go w skupieniu – Janek, cała jego rodzina, wszyscy jego sąsiedzi, znajome panie sprzedawczynie ze sklepów, pracownicy wszystkich zakładów, milicjanci i żołnierze pilnujący porządku, funkcjonariusze służby bezpieczeństwa zmieszani z tłumem wiernych, urzędnicy, władze niższego i najwyższego szczebla, słuchała Polska, słuchała Europa.

– Wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. – Głos docierał daleko i głęboko, do ludzi, do umysłów. – Wołam z całej głębi tego

Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami  
wszystkimi: niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze  
ziemi! Tej ziemi!

\*

Budziła się nadzieja. Magia się dokonywała.

*Choroby zaś cielesney iż nie masz żadney,  
któreyby czarownice za Bożym dopuszczeniem sprawić nie mogły  
bądź by trąd, bądź kaduk, bądź by insza główna choroba była, wątpić nie potrzeba.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum* (Młot na czarownice),  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowicz, 1614 r.

## Rozdział 10.

### Trucizna

Biskup Jan Muskata nie leżał tym razem na nagiej, zimnej posadzce, ale na przyjemnej w dotyku, dobrze wyprawionej skórze krowy polskiej. Drugą, podobną skórę otrzymał, by się okryć. Pierwszy raz zasypiał bez uczucia chłodu. Widać przedstawienie, które odegrał, zrobiło wrażenie na hrabi Haroldzie de Millow. Po raz pierwszy zasypiał najedzony, bo oprócz śniadania strażnik wsunął mu o zmierzchu miskę z ciepłą kaszą. Myślał o Aishy. Na pewno jest już bardzo blisko Rzymu, a to zwiększa jego szanse na przeżycie. Mógłby też spróbować zażądać od hrabiego uwolnienia, ale nie był do końca pewien, czy takie zagranie się powiedzie. Mógłby wzbudzić podejrzenia. De Millow pewnie zażądałby najpierw jakichś gwarancji lub Bóg jeden wie, czego jeszcze. Ale może jednak powinien spróbować. Postanowił, że jeżeli de Millow się pojawi, to zażąda uwolnienia i jednocześnie złoży obietnicę sowitego wynagrodzenia za usługi.

Biskup Muskata naprawdę uwierzył, że będzie wolny, nawet zastanawiał się, co zrobić po uwolnieniu. Miał silną pokusę, żeby ukryć się przed całym światem, przed zwolennikami von Rapparda, przed tym psychopata de Millowem i wszystkimi propagatorami krucjaty przeciw pogaństwu. Zdecydowanie przestał być jej zwolennikiem, choć jeszcze niedawno sądził zupełnie inaczej. Zaangażowanie sił piekielnych po stronie Magnusa von Rapparda jednak zupełnie zdyskredytowało tę ideę. Teraz widział w niej jedynie zło. Kochał Chrystusa całym sercem, ale już nie mieczem chciał powiększać jego królestwo. Nie może go zawieść. Musi pokazać światu, kim był naprawdę von Rappard. Tylko jak to

zrobić, gdy już nie jest formalnie biskupem? Już ktoś inny zarządza diecezją z Cracovii. Co on teraz może zrobić?

Ostatnią myślą, którą zapamiętał przed odpłynięciem w sen, było pytanie, czy tej nocy odezwie się do niego Aisha. Poprzedni kontakt z nią zupełnie zmienił jego sytuację. Miał teraz ciepło, miał stawę. Czuł, że jej również zawdzięcza lepsze zdrowie. Nie doświadczał już gorączki ani dreszczy. Kaszel już był sporadyczny i nie utrudniał zasypiania. Chciał z nią porozmawiać i podziękować za jej ostrzeżenie i pomoc.

Muskata odpłynął w sen. Spokojny odpoczynek byłego biskupa trwał długo. Niemal do świtu. Tuż przed brzaskiem usłyszał znajomy głos.

– *Witaj, biskupie Janie!*

Głos jak zwykle odezwał się niespodziewanie i Muskata dłuższą chwilę musiał poświęcić na powrót do głębokiego snu.

– *Jestem, choć jak wiesz, już nie jestem biskupem, Aisho* – odpowiedział w myślach, gdy już poczuł, że tkwi we śnie odpowiednio głęboko.

Te senne rozmowy nie były łatwe. Słyszane myśli wywoływały emocje, a emocje bardzo łatwo wybudzały ze snu i rozmowa ulegała przerwaniu. Muskata starał się nie odbierać słów emocjonalnie. Zrozumiał, że najlepiej traktować je jak sen.

– *Dla mnie cały czas jesteś prawdziwym biskupem i tak też cię będę nazywać.* –

Myśl kobiety była zdecydowana. – *Doskonale radzisz sobie z sennymi połączeniami, biskupie Janie. Czynisz bardzo szybkie postępy* – usłyszał Muskata i wyczuł w myślach Aishy zadowolenie. – *Nawet jesteś w stanie już odbierać moje emocje* – zauważyła czarownica i biskup ponownie wyczuł napływającą od niej satysfakcję.

– *Aisho, chciałem ci podziękować.* – Biskup przeszedł od razu do najważniejszej dla siebie kwestii. – *Dzięki tobie mam teraz dużo lepsze warunki odsiadki* – zażartował.

– *Cieszę się, biskupie Janie. Wiem, że dobrze odegrałeś swoją rolę. Przed chwilą przejrzałyśmy z Rebeccą myśli de Millowa. Niestety, nie mam teraz czasu wypytać cię o szczegóły rozmowy, bo do świtu blisko. Muszę cię ponownie ostrzec, zanim się obudzisz, biskupie Janie.*

Muskata, słysząc to, odczuł niepokój rozmówczynie oraz swój własny. Ten własny omal nie wyrzucił go poza strefę połączenia.

– *Mów, Aisho.* – Wysłał myśl, gdy tylko był gotów do kontynuowania rozmowy.

– *Hrabia de Millow przestał ci wierzyć, biskupie Janie, a przynajmniej nie wierzy ci już w takim stopniu, by nie chcieć sprawdzić twojej prawdomówności. Jakaś Greta zasiała w nim wątpliwości.* – Biskup dostrzegł w myślach czarownicy obraz pięknej, rudowłosej dziewczyny.

– *Greta? Nie znam tej kobiety. Kim ona jest?*

– *To dziwna sprawa, bo według hrabiego to jakaś posługaczka, ale ta posługaczka ma wielki wpływ na biskupa Ambrosio. Co więcej, podobno dzięki niej nawiązał kontakt z potężną czarownicą.*

– *Może warto zajrzeć we śnie do głowy tej Grety?* – zaproponował biskup.

– *Całą tę noc szukałyśmy z Rebeccą jej snu, biskupie Janie, i nie znalazłyśmy. Ona chyba w ogóle nie śpi.* – Biskup wyczuł w myślach Aishy zdumienie.

– *Może spędziła tę noc bardzo aktywnie. Na przykład z biskupem Ambrosio – zażartował Muskata.*

– *Ambrosio spał jak zabity i śnił o niej. A właściwie to bardziej... wspominał, niż śnił.*

Do biskupa dotarł obraz nagich, rytmicznie poruszających się dorodnych piersi leżącej na stole z rozchyłonymi udami rudowłosej Grety.

– *Rozumiem* – rzekł nieco zażenowany obrazem Muskata.

– *Ale dosyć teraz o Grecie. Ważne jest, że hrabia wymyślił znów, że musi cię przesłuchać, biskupie Janie.* – Muskata w myślach czarownicy wyczuł troskę.

– *Może powiem, że ta Greta pracuje dla potężnych mocy związanych ze mną. Dam sobie radę, Aisho* – próbował uspokoić kobietę Muskata.

– *Biskupie Janie, on nie uwierzy już w twoje słowa. Boi się ciebie, bo do końca nie wie, kogo reprezentujesz, dlatego nie myśli tym razem o torturach. Myśli tym razem o truciznie.*

– *Truciznie?!*

Emocje związane z tym, co usłyszał, wybudziły go ze snu. Wiedział, że żeby dowiedzieć się więcej, musi szybko zasnąć. Powiedział sobie, że to mu się tylko śniło. Postarał się bardzo w to uwierzyć. To uspokoiło go i powoli zaczął ponownie zapadać w sen, mimo że pod powiekami widział już pierwszą jasność świtu.

– *Jestem, Aisho!* – Wysłał myśl, gdy był już gotów do kontaktu.

– *Powiem szybko, Janie, bo nie wiem, ile snu ci zostało.* – W głosie czarownicy ponownie wyczuł niepokój. – *Nie jedz porannego posiłku, Janie. Najlepiej nie jedz nic ani nie pij przez cały dzień. Posiłek będzie zatruty. On nie chce cię zabić. To będzie belladonna, trucizna, która cię oszołomi, złamie twoją wolę i ułatwi mu przesłuchanie. Jeżeli mu się uda wyciągnąć od ciebie prawdę, to się dowie, że nie stoi za tobą żadna wielka potęga Kościoła ani możnych tego świata. Zabije cię wtedy bez mrugnięcia okiem i zapewne nie będzie to lekka śmierć, biskupie Janie. Jeżeli poniesiesz porażkę, to najpewniej wydasz i mnie. Gdy jutro pojawię się w Rzymie, zostanę od razu aresztowana i wrzucona do lochu. Nasz los jest w twoich rękach...* – Myśli czarownicy napływały szybko. Spieszyła się, by przekazać wszystkie informacje. Muskata powstrzymywał emocje. Słuchał.

– *Chyba musisz odegrać rolę oszołomionego trucizną, biskupie Janie...* – Napłynęła do niego propozycja czarownicy.

– *Przemyślę to jeszcze.* – Muskata potrzebował namysłu. Strategia jest tu kluczowa. Znów nie będzie tutaj miejsca na błąd.

– *Czy mówi ci coś imię Lilith?* – napłynęło do niego pytanie. – *Tak nazywa się ta czarownica, która pomagała dwóm ostatnim papieżom i najpewniej zacznie*

*pomagać biskupowi Ambrosio. Moja siostra Rebecca nic o niej nie wie, co jest dziwne. Zdradzam ci tu teraz pewien sekret, biskupie Janie. Czarownice, te prawdziwe czarownice, są, jak by to powiedzieć... zrzeszone. To zapewnia im większe bezpieczeństwo. Mają swoje zgromadzenia, zwane często „sabatami”. Czarownica Lilith od zawsze jest sama. Żadne zgromadzenie o niej nie słyszało.*

*– O czarownicy Lilith słyszałem jedynie od ciebie, Aisho. –* Muskata odpowiedział zgodnie z prawdą. *– Nie znam też nikogo innego o tak szczególnym imieniu. Natomiast samo imię mówi mi oczywiście bardzo dużo. To imię od hebrajskich ludów pochodzi. Tak miała na imię według podań starotestamentowych poprzedniczka biblijnej Ewy.*

*– To przed Ewą biblijny pierwszy mężczyzna, Adam, miał inną kobietę? –* Ciekawość czarownicy napłynęła do umysłu Jana Muskaty.

*– Tak jest napisane. Stworzona została z ziemi jak Adam i uważała się za równego jemu, ponieważ powstała z ziemi, tak jak on. Nie była posłuszna Adamowi i odeszła, więc Bóg stworzył mu wtedy Ewę z jego żebra i ta była mu poddana.*

*– Dużo wiesz, biskupie Janie. –* Muskata wyczuł szacunek w myślach czarownicy. *– Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy.*

Zgrzyt otwieranego okienka w drzwiach jego celi wyrwał biskupa Jana Muskatę gwałtownie ze snu. Ktoś wsunął przez nie miskę ze strawą i jego loch wypełniła woń kaszy i gotowanego mięsa. Dawno już nie czuł tak pięknego zapachu. Podczołgał się do drzwi. W misce z jedzeniem znajdował się aromatyczny kawał gorącego mięsa oraz solidna porcja kaszy. Druga miska wypełniona była po brzegi krystaliczną wodą.

Biskup Muskata patrzył na jedzenie i myślał. W pewnej chwili usłyszał szelest za drzwiami. Domyślił się, że ktoś obserwuje przez wizjer, co robi z jedzeniem.

*– Naprawdę dobrze tu karmią –* powiedział na głos niby do siebie. W rzeczywistości odbiorcą tego komunikatu miała być osoba podsłuchująca. Muskata zgarnął miski, odszedł w dalszą część celi, odwrócił się plecami do drzwi i zaczął udawać, że spożywa śniadanie. Mlaskał przy tym i mruczał



z zadowoleniem. Cały posiłek zamiast w jego ustach znalazł się jednak na posadzce, przykryty krowią skórą. Obok wylał też całą wodę z miski.

Biskup Muskata czytał kiedyś *Herbarius* jednego ze znamienitych niemieckich znawców ziół. Szczęśliwie pamiętał objawy przedawkowania tej jagody. Siedząc wciąż tyłem do drzwi, zaczął teatralnie, głęboko oddychać, po czym zdjął z siebie koszulę i siedział przez chwilę półnagi mimo chłodu. Po kilku minutach osunął się na posadzkę i przestał się poruszać. Gdy tylko to zrobił, usłyszał szybkie kroki oddalające się od drzwi jego celi. Muskata domyślił się, że ktoś pobiegł po hrabiego. Miał zapewne tylko kilka pacierzy, żeby wszystko przemyśleć. Musi rozegrać to dobrze.

Upłynął zaledwie jeden pacierz, zanim ponownie usłyszał kroki na korytarzu. Tym razem było ich więcej. Do jego celi pospiesznie zbliżały się trzy osoby. Biskup Jan Muskata leżał na boku odwrócony tyłem do drzwi, dokładnie w tej samej pozycji jak pacierz wcześniej. Za drzwiami jego celi padła jakaś krótka komenda, której nie dosłyszał, po czym ktoś odsunął klapkę wizjera. Chwilę później odezwał się głośny szcęk zasuw i do jego celi weszły dwie osoby.

– Miło pana znów gościć, panie hrabio de Millow. Miło i pana gościć, kacie Henryku. – Biskup nie czekał, tylko od razu sam przejął inicjatywę w rozmowie.

Założył, że do jego celi przyszedł hrabia w towarzystwie tego samego asystenta, co ostatnio. Biskup podniósł się ze swoich skór, usiadł i spokojnie odwrócił twarzą do gości. Z satysfakcją stwierdził, że trafił w punkt, jeżeli chodzi o tożsamość przybyłych osób. Na twarzach oficera i kata malowało się zdziwienie.

– Widzę, że działania naszej Greta spowodowały, że kolejny raz odwiedziłeś mnie, de Millow. – Biskup kontynuował wypowiedź, nie pozwalając przybyłym przejąć inicjatywy. – Co więcej, chciałeś wypróbować na mnie działanie jagódek belladonny... – Tu wybrzmiał śmiech biskupa. Muskata miał nadzieję, że sprawiał wrażenie niewymuszonego.

– „Naszej Greta”? – powtórzył zaskoczony hrabia. – O jakich jagódkach mówisz, biskupie? – dodał niepewnie.

– Mówię o jagódkach belladonna, które dodałeś do mojego porannego posiłku, drogi hrabio – twardo powiedział Muskata, unosząc krowią skórę przykrywającą leżące na posadzce śniadanie. – Ale nie obawiaj się, de Millow, ja dobrze wiem, że nie chciałeś mnie zabić. Chciałeś mnie jedynie przesłuchać, prawda?

– Oczywiście, Ekscelencjo! – zapewnił gorliwie de Millow. – Nie spadłby ci włos z głowy. Ja po prostu musiałem być pewien, że rzeczywiście istnieje ważna grupa ludzi, na którą się powołujesz.

– Czy już jesteś pewien, hrabio? – Biskup zadbał o to, by ton jego głosu był groźny.

Zauważył, że hrabia zawahał się i nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Oczywiście, Ekscelencjo – odparł w końcu, ale Muskata dostrzegł, że czas, który upłynął pomiędzy pytaniem a odpowiedzią, był o chwilę zbyt długi, by odpowiedź była prawdą.

– Coś ci powiem, mój drogi hrabio... – Biskup zdobył się na przyjazny tym razem ton. – Powiem ci to z sympatii i troski o ciebie. Otóż wiedz, że moi przełożeni lubią ludzi posłusznych. Nie lubią natomiast tych, którzy wykazują zbyt dużo własnej inicjatywy. Moi przełożeni też zdecydowanie zwalczają tych, którzy chcą o nich wiedzieć więcej, niż powinni... – W tym momencie Muskata znacząco spojrzał na hrabiego, a następnie kontynuował: – Jesteś człowiekiem bardzo inteligentnym, Haroldzie de Millow. Domyślasz się zatem, że bardzo dobrze się stało, iż nie udało ci się mnie podtruć i przesłuchać, bo wtedy wiedziałbyś za dużo, a co to oznaczałoby dla ciebie, na pewno dobrze wiesz. Co więcej, hrabio, już wiesz, że przed moimi przełożonymi nic się nie ukryje. Powiem ci też w sekrecie, że oni nas teraz słyszą.

Po tych słowach Muskata z zadowoleniem zauważył, że obaj jego goście rozejrzeli się pełni obaw.

– Jak to możliwe? – Głos hrabiego brzmiał niespokojnie.

– Za dużo ci nie mogę powiedzieć, de Millow, muszę być lojalny. – Biskup ściszył głos do szeptu. – Powiem ci tylko tyle, że służą nam moce nie z tego świata, co już zauważyłeś na pewno. Tyle mogę ci zdradzić teraz, hrabio, a trochę więcej powiem ci za chwilę w cztery oczy... – Tu wymownie spojrzął w kierunku towarzyszącego hrabiemu kata.

– Drogi Henryku, zostaw nas – polecił de Millow stanowczo i kat z miną wyrażającą rozczarowanie, nie spiesząc się, opuścił pomieszczenie.

Drzwi zamknęły się za nim z głośnym skrzypnięciem. De Millow odprowadził go wzrokiem, a potem pytająco spojrzął na biskupa.

– Myślę, że moi przełożeni mogą uznać, hrabio, że twój kat Henryk usłyszał za dużo. Czy jesteś do niego bardzo przywiązany? – zapytał ściszym głosem Muskata i z zadowoleniem dostrzegł przerażenie w oczach rozmówcy.

– Nie bardzo... – wydusił przez ściśnięte gardło oficer.

– To dobrze. Ty jesteś nam potrzebny, ale on nie – ciągnął biskup. – Mogę ci powiedzieć, hrabio, że Greta pracuje dla nas. Unikaj więc spięć z nią przy biskupie Ambrosio. Jej zadaniem było uwieść biskupa i już jej się to udało. Już znaleźli się razem w łóżnicy, o czym być może ci doniesiono. Znaleźliśmy czarownicę Lilith, z którą miałeś okazję kiedyś się spotkać w Akwizgranie. Chcieliśmy, by sukces odnalezienia czarownicy Ambrosio przypisał Grecie, i tak też się stało. Jesteśmy bardzo skuteczni w naszych działaniach, de Millow. – Muskata z zadowoleniem zauważył, że jest słuchany z wielką uwagą. – A teraz najważniejsze, hrabio. Mam ci przekazać, że za swoje usługi będziesz otrzymywał trzykrotność sum, jakie otrzymujesz od Ambrosio. Najdalej za dwa dni muszę być wolny, de Millow. Mam ważne kolejne zadania, więc niebawem mnie wypuścisz. Potem skontaktuje się z tobą człowiek, który powie ci, że jest spowiednikiem wysłanym ode mnie do ciebie. Będziecie rozmawiać w konfesjonale. Będziesz mu wszystko raportował, a on będzie się z tobą rozliczał. Rozumiesz wszystko, de Millow?

– A czy ten twój człowiek nie może się ze mną rozliczyć, zanim ciebie wypuszczę, Ekscelencjo? – Przytomnie, choć uniżonym tonem zapytał oficer.

Muskata spojrział na niego groźnie. Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Dobrze. – Ustąpił w końcu biskup. – Mój człowiek znajdzie cię jutro na terenie pałacu papieskiego. To wszystko, panie hrabio. – Mówiąc to, Muskata wstał i podał pewnym gestem rękę oficerowi.

Był to gest typowo biskupi. Hrabia bez namysłu przyklęknął, a ponieważ na dłoni biskupa nie było pierścienia, który mógłby ucałować, dotknął jedynie jego dłoni swoim czołem.

– Do zobaczenia, Ekscelencjo. Zapewniam o mojej lojalności – powiedział de Millow i po chwili był już za drzwiami celi.

Biskup Jan Muskata został sam. Odetchnął głęboko z ulgą. Miał nadzieję, że tej nocy Aisha dotrze do Rzymu i go uwolni. Jeżeli jej się to nie uda, a de Millow nie dostanie pieniędzy, wtedy trzecia rozmowa z tym psychopatycznym oficerem może już nie być taka udana.

– Boże, miej mnie w swojej opiece – poprosił na głos. – I ty, czarownico, też – dodał zaraz.

## Rozdział 11.

### Nawia

Wędrowiec znajdował w sobie coraz to nowe pokłady determinacji, by nie zatrzymać się ani na chwilę, by nie poddać się sile tego miejsca. Cisza próbowała go obezwładnić, lecz coraz lepiej sobie z nią radził. Przypomniawszy sobie nawet, że kiedyś doskonale panował nad urokami. Był kapłanem jakiegoś bóstwa. Nie pamiętał jego imienia, ale wiedział już, że miał do czynienia z ogniem. Własnego imienia również nie pamiętał i nawet nie bardzo próbował je sobie przypomnieć. Najwięcej wysiłku umysłowego wkładał w odzyskiwanie z pamięci szczegółów dotyczących kobiety, której obiecał, że ją odszuka. Pierwsze wróciły z zakamarków jego pamięci chwile, gdy ją przytulał. Obrazy te zrobiły na nim piorunujące wrażenie. Potem przypomniał sobie, jak wyglądały jej oczy. Wracało coraz więcej obrazów, coraz szybciej. Wpadł w euforię, gdy przypomniał sobie jej imię.

– Kaja! Kaja! – wołał na cały głos, zakłócając ciszę.

Nikt mu nie odpowiedział, ale nie spodziewał się tego. Wszyscy mieszkańcy pogrążeni byli w spokojnym śnie, z którego już nie mogli się wybudzić, nawet gdyby chcieli. Szukał w głowie nazwy tego miejsca. Coś mówiło mu, że powinien je znać, że kiedyś je znał. Czuł, że jeżeli przypomni sobie tę nazwę, to otworzy się przed nim cała wiedza o tym świecie.

W zamyśleniu dotarł do kolejnej skrzydlatej, mglistej postaci ułożonej wygodnie w niebiańsko miękkiej trawie. Wpatrywała się w idealnie niebieskie niebo. Mglistość tej postaci kojarzyła mu się z dymem. Dym wędrowiec znał bardzo dobrze, bo wcześniej miał na pewno dużo do czynienia z ogniem.

Przypomni sobie nieprzebrany ar, dym i ciemno, w ktrych walczy tu przed mierci i w ktrych umiera. Przypomni sobie krtki moment, gdy spojrze na swoje popalone martwe ciao jakby z zewntrz. To bya bardzo krtka chwila i szybko zosta zabrany do tego miejsca, w ktrym teraz sie znajdowa. Pamita ten uamek sekundy, w ktrym istota, ktra ktra pokonaa go w ostatecznej walce, chciaa wrzuci go w otchan swojego mroku, ale nie bya w stanie tego zrobi z jakiego powodu. Wtedy pojawi sie przeraajcy stwr, ktry go zabra. Wdrowiec przypomni sobie imie tego stwora. Nie pozwoli zabra duszy Wdrowca nikomu innemu, bo po mierci bya ona jego wasnoci.

Wtedy Wdrowiec uwiadomi sobie, e ju nie yje. Ju wiedzia, e jest teraz jedynie nawk, czyli skrzydlat dusz, ktra wrcia na ono zawiatw.

Podni wzrok. Przed nim rozciagaa sie bezkresna, zielona, hipnotyzujca aka. Przed nim roztaczaa sie Nawia, zawiaty potznego boga Walesa.

*Umysł ludzki na wygnaniu żywota tego  
ciężarem ciała obłożony y w tarasie tego zamknięty,  
rozmaitymi fantazyami bywa okutywany,  
o których się niżej powie.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowicz, 1614 r.

## Rozdział 12.

### Ucieczka

Około południa okienko w drzwiach celi uchyliło się i przez otwór wsunięto dwie nowe drewniane miski. Pomieszczenie wypełniło się ponownie zapachem gorącej kaszy i mięsa. Jan Muskata wstał ze swojego legowiska, podszedł do drzwi celi, zabrał naczynia z posiłkiem i wodą i odniósł w tę część celi, gdzie pod sufitem umieszczone było małe okienko. Nie miał zamiaru spożywać dziś żadnego posiłku ani pić wody. Nie ufał swojemu gospodarzowi. Pod oknem aromat posiłku szybciej wywietrzeje i nie będzie go irytował. Dla lepszego efektu wylał wodę i pustą miską przykrył parujące aromatyczne danie. Poczekaj na ratunek na czczo. Wierzył, że nadejdzie.

Nasłuchiwał. Za drzwiami celi co jakiś czas słyszał kroki strażnika, który najpewniej wstawał ze swojej ławeczki, by wyprostować nogi i zapewne spojrzeć na więźnia przez wizjer. Muskata zastanawiał się, czy są tutaj też inni więźniowie i czy także mają przydzielonego indywidualnego strażnika. Z nudów zaczął rozważać w myślach scenariusz, w którym zaczyna głośno wołać o pomoc. Strażnik na pewno nie otworzy celi, tylko pobiegnie po hrabiego. Zastanawiał się, co zrobiłby wtedy de Millow. Czy chciałby go uciszyć? Ciekawe, jak daleko po śmierci jego mocodawcy, papieża Magnusa von Rapparda, sięga władza hrabiego w papieskim lochu. Przecież teraz pałacem powinien zarządzać kamerling, a więc w jego władzy powinni pozostawać również więźniowie podziemi pałacowych. Nie miał oczywiście zamiaru wprowadzać w życie tego scenariusza. Był bowiem pewien, że człowiek za drzwiami jest opłacany właśnie przez Herolda de Millowa, a nie kamerlinga, i ten ostatni w ogóle nie wie o jego pobycie w tym lochu.



Zastanawiał się, jak Aisha planuje próbować go uwolnić. Czy będą to czary? Jeszcze do niedawna uznałby za niewłaściwe korzystać z czarów dla własnych korzyści, ale obecnie patrzył na czarostwo nieco inaczej. Wierzył, że choć już nie jest formalnie biskupem, stoi jednak po stronie dobra. Nawet gdy pomaga mu czarownica. Zamierzał ujawnić światu prawdę o ostatnim papieżu. Wciąż pamiętał wydarzenia opisane przez Rebeccę w pamiętniku. Magnus von Rappard był mordercą, tyranem, kłamcą i sługą diabła.

Rozmyślenia przerwał mu głuchy dźwięk uderzenia, który rozległ się tuż koło niego. Rozejrzał się po celi. Na podłodze pod oknem dostrzegł podłużny pakunek. Ktoś wrzucił mu coś przez jedyne w jego celi małe, zakratowane, umieszczone tuż pod sufitem okno. Na korytarzu rozległy się kroki. Zapewne strażnik też usłyszał ten dźwięk i postanowił spojrzeć przez wizjer, co go spowodowało. Muskata zerwał się z posadzki, podbiegł do pakunku i schował go za plecami. Stał teraz odwrócony twarzą w kierunku drzwi.

– Niech czort porwie to robactwo! – Biskup tupnął nogą w podłogę raz i drugi, a ta zadudniła głucho. Muskata nie był do końca pewien, czy w półmroku jego celi strażnik ma w ogóle możliwość dostrzec ten pakunek, ale wolał nie ryzykować.

Dźwięk oddalających się kroków uspokoił Jana Muskatę. Strażnik najpewniej wrócił na swoją ławeczkę. Na wszelki wypadek jednak wciąż trzymał pakunek za plecami i przesunął się na swoje legowisko. Aby bezpiecznie obejrzeć zawartość, usiadł tyłem do drzwi.

Pakunek był podłużny i – jak na swoje rozmiary – zaskakująco ciężki. Coś zawinięte było bardzo dokładnie w miękką jagnięcą skórę i obwiązane rzemieniem. Rzemyk był na tyle delikatny, że nie musiał go rozcinać, tylko mógł przerwać go w dłoniach. Nie namyślając się długo, zrobił to i rozwinął skórę.

– O Boże... – szepnął cicho Muskata, gdy jego oczom ukazał się długi nóż. Do noża dołączono kawałek złożonego pergaminu. Rozłożył go i odczytał zapisanych na nim kilka słów.

*To na wszelki wypadek.*

## A.

– Matko przenajświętsza... – Jeszcze raz westchnął Muskata. Zdecydowanie wolał wydostać się z lochu za pomocą czarów Aishy niż za pomocą tego noża. Oddychał głęboko i po chwili uspokoił kołatanie serca. Czyli Aisha była już na terenie Lateranu. Czyli do wieczora najpewniej coś się wydarzy. Miał przynajmniej taką nadzieję, bo zapewne późnym wieczorem do jego celi przyjdzie de Millow z pytaniem, dlaczego żaden spowiednik ze złotem się z nim nie skontaktował.

Muskata schował dokładnie nóż za pasem i okrył koszulą, by był niewidoczny. Siedział na skórach i czekał.

Czekał długo. Oświetlenie celi już znacznie się zmniejszyło, gdy znów usłyszał zbliżające się z oddali kroki. Ktoś szedł wolno po korytarzu. Zbliżała się jedna osoba. Do uszu Jana Muskaty dobiegły wypowiedane za drzwiami męskim głosem jakieś słowa, a potem odgłos uderzenia, jęk i odgłos kolejnego uderzenia. Potem przez dłuższą chwilę za drzwiami było cicho. Biskup wstał ze swoich rozłożonych na posadzce skór i upewnił się, że jego nóż tkwi nadal za jego pasem. Serce waliło mu jak młotem, gdy usłyszał szcęk zasuw. Drzwi uchylały się bardzo powoli. Muskata stał napięty do granic, wpatrując się w powiększający się powoli dobrze oświetlony pochodniami otwór drzwiowy.

W drzwiach stał Henryk, kat de Millowa. Odziany w tradycyjny strój katowski wyglądał strasznie. Głowę miał dziwnie pochyloną do przodu, a dłuższe, szpakowate włosy zasłaniały jego twarz. Kat mamrotał pod nosem coś niezrozumiałego. Muskata zrobił jeden krok w jego kierunku, a Henryk w odpowiedzi na jego ruch szybko uniósł głowę i spojrzał na biskupa. Pomimo że światło pochodni jedynie częściowo oświetlało twarz gościa, Muskata widział, że wzrok przybysza jest tępy i zogniskowany daleko za jego osobą. Z jego ust wypływała stróżka śliny. Kat był w transie. Mamrotał jakieś słowa, jakby sam się ze sobą kłócąc. Gdy biskup zrobił jeszcze jeden ostrożny krok w kierunku drzwi, dostrzegł przypięty do stroju kata kawałek pergaminu z napisem. Szybko go

przeczytał, ale ponieważ trudno było uwierzyć w jego treść, przeczytał go ponownie. Napis na pergaminie brzmiał:

*Szybko biegnij na dziedziniec. Wszystkie drzwi są otwarte.*

A.

Muskata, na wszelki wypadek trzymając dłoń blisko rękojeści noża, krok za krokiem obszedł nieruchomą i mamroczącą postać kata. W korytarzu musiał przeskoczyć nad leżącym ciałem strażnika, który się nie ruszał, a z jego czoła na podłogę powoli spływała krew. Obok na kamiennej posadzce ujrzał prostą drewnianą pałkę. Muskata z ulgą dostrzegł, że leżący oddycha. W dali korytarza zobaczył kilkanaście stopni schodów prowadzących w górę. Nie zwlekał już dłużej. Pobiegł. U szczytu schodów napotkał drzwi. Pchnął je. Ustąpiły z cichym zgrzytem. Ukazał mu się kolejny długi, pusty korytarz. Po jego obu stronach znajdowało się wiele wzmocnionych żelazem drzwi. Gdy biskup przemykał korytarzem, za niektórymi drzwiami słyszał przyciszone głosy, za innymi jęki. Korytarz kończył się kolejnymi drzwiami, które były uchylone. Ujrzał niewielki hol, a przez jego okna wpadało do środka światło dzienne. W holu stała ława, a na podłodze, pod ławą, co biskup dopiero teraz spostrzegł, na ziemi leżał kolejny strażnik z rozbitą głową. Zaczynał się właśnie ruszać. Muskata nie czekał, aż strażnik dojdzie do siebie, i czym prędzej ruszył w kierunku dużych dwuskrzydłowych, dębowych drzwi. Szarpnął za uchwyt, ale ku jego rozpaczy ani drgnęły. Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś od wewnątrz zamknął zasuwę. Odryglował drzwi i szarpnął ponownie. Tym razem ustąpiły. Oślepiło go światło. Spojrzał na brukowany dziedziniec. Znajdowało się tam kilka osób zajętych swoimi sprawami. Z lękiem dostrzegł, że jedna zobaczyła go i skierowała się w jego kierunku. Na szczęście była to kobieta. Nieznajoma zbliżyła się i odchyliła chustę.

– Witaj, biskupie Janie! – Aisha uśmiechnęła się szeroko i okryła go długim płaszczem z kapturem. – Musimy szybko dotrzeć do powozu.

*Przeto gdy do izby wchodząc wpuścił jej w usta soli święconey,  
Ona niewiasta (czarownica) ponuro nań wejrzała.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.

## Rozdział 13.

### Kurza łapka

Gdy Marek dotarł pod swój blok, było już zupełnie ciemno. Spojrzał w okna swojego mieszkania na trzecim piętrze. Światło było zgaszone. Zapewne Kaja lepiej się czuje w ciemności i nie włącza światła, choć nauczył ją, jak to się robi. A może spała? To byłoby nawet korzystne. Mógłby zrobić jej próbę na czarostwo podczas snu. Uniknąłby w ten sposób jej pytań i pretensji, a wszystkiego by się dowiedział. Tylko czy można wykonywać tę próbę podczas snu potencjalnej czarownicy? Heinrich Kramer, autor *Młota na czarownice*, nie napisał na ten temat ani słowa.

Marek powoli wspinał się po schodach, przyciskając do piersi torbę, w której miał akcesoria do przeprowadzenia próby. Jako człowiek twardo stąpający po ziemi odczuwał wstyd z powodu tego, co miał zamiar zrobić, ale znał siebie i wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki się nie upewni. Zbyt dużo było tych dziwnych wydarzeń. W jego torbie chlupotała woda święcona nabrana w kościele do plastikowej butelki po gazowanej wodzie mineralnej oraz grzechotały różnych rozmiarów sterylne igły do strzykawek. Na wszelki wypadek zaopatrzył się też w wodę destylowaną oraz jałowe opatrunki. To jest jakieś szaleństwo.

Marek wsunął klucz do zamka i ze zdziwieniem stwierdził, że drzwi nie są zamknięte na zamek. Nacisnął klamkę. Ustąpiły. W środku panowała ciemność.

– Kaja... – zawołał niezbyt głośno. Namacał dłonią włącznik i przedpokój napełnił się światłem.

Odpowiedziała mu jedynie cisza.

– Kaja, jesteś? – powtórzył wołanie, zdjął buty i zajrzał do pokoi.

Mieszkanie było puste. Rozejrzał się teraz dokładniej po pomieszczeniach. Szukał jakiejś wiadomości od dziewczyny, ale nic nie znalazł. Odetchnął z ulgą. Nie będzie musiał już robić tej próby na czarostwo. Odeszła. Próbował się czymś zająć w mieszkaniu. Wziął do ręki jakąś książkę. Zaczął czytać, ale nie rozumiał ani słowa. Zasnął w fotelu.

\*

Gdy się obudził, było już jasno. To był niedzielny poranek, a zatem jego jedyny wolny dzień w tygodniu. Z trudem wstał z fotela. Całą noc przespał w niewygodnej pozycji. Teraz miał wrażenie, że wszystko go boli. Rozejrzał się po mieszkaniu. Było puste. Dziewczyna nie wróciła, mimo że całkiem niechętny zostawił niezamknięte na klucz drzwi. Myślał o tym, dokąd mogła pójść. W ciągu tych trzech dni, kiedy gościł ją u siebie, kilkakrotnie mówiła, że chce dotrzeć do lasu, że stamtąd ktoś ją woła. Patrzyła w tych chwilach na wschód. Spojrzał na stare sportowe buty, które jej sprezentował. Zostawiła je w mieszkaniu, a więc poszła boso. Nie myśląc wiele, chwycił plecak i wrzucił do niego sportowe buty Kai. Dodał kawałek kiełbasy z lodówki, trochę chleba oraz butelkę dietetycznej coli. Po chwili wahania dołożył również swój zestaw do rozpoznania czarostwa. Zamknął drzwi na klucz. Zostawił w nich kartkę z napisem po polsku: „Wracam wieczorem”. Ruszył.

\*

Miasto było przytłaczająco wielkie. Minęło kilka godzin, zanim doszła do ostatnich zabudowań. Zeszła wtedy z drogi na łąki. Stopy z radością przywitały trawę. Na granicy horyzontu widziała drzewa. Stamtąd dobiegał głos.

\*

Marek wsiadł do autobusu i dojechał do ostatniego przystanku we wschodniej części miasta. Znajdował się na ulicy Schroufstrasse w miasteczku Brand, które

zostało wchłonięte przez wielką aglomerację Aachen. Ruszył wzdłuż pobocza na wschód. Nie dawał sobie wielkich szans na odnalezienie dziewczyny. Zabudowania ciągnęły się i ciągnęły, ale w końcu dotarł do jakichś łąk. Były piękne, ukwiecone. Na horyzoncie daleko majaczył las. Skąd ma wiedzieć, gdzie ona jest i którądy poszła? Po łące biegały jakieś dziewczynki, zrywały maki i krzyczały radośnie. Wtedy go olśniło. Szła tędy na pewno. Skąd kwiaty o tej porze roku? Pobiegł na przełaj przez łąki, słysząc chlupot wody święconej w plecaku. Na horyzoncie majaczyło zalesione wzniesienie. Już wiedział, gdzie jest Kaja. Jest na wzgórzu Schlangenberg.

\*

Ścieżka prowadziła pod górę. Ten las był bardzo zdeptany, zniszczony i zanieczyszczony. Na każdym kroku napotykała niezbyt higieniczne ślady ludzi. Czuła obecność kilku osób w okolicy. Nie było w lesie żadnych większych biegających zwierząt. Wszystkie już dawno stąd uciekły. Wiedziała jednak, że na szczycie wzgórza jest ktoś, kto na nią czeka i wciąż ją woła. Wsłuchiwała się w mowę lasu i już po chwili wiedziała, kto to jest, osłonięty przed wzrokiem zwykłych ludzi całą gamą uroków i czarów. Ale jak to możliwe? Na szczycie rozciągała się niewielka polana. Była pozornie pusta.

– *Ustąp!* – Kaja wydała rozkaz urokom. Wszystkie natychmiast ustąpiły. Kaje przywitał najpierw czarny kot, który od razu zaczął łaścić się do jej nóg.

– Jesteś, moje dziecko! W końcu! – Siedząca na pieńku, nieprawdopodobnie wychudzona staruszka wyciągnęła do niej obie ręce, wstała z trudem i zalała się łzami.

\*

Marek, wspinając się na wzniesienie ścieżką, minął kilka osób spacerujących z psami. Dwie spośród nich odważył się nawet zapytać, czy nie widzieli nastolatki w białej sukience. Uzyskał odpowiedź przeczącą, ale niezrażony wspinał się dalej,

sapiąc głośno. Przeklinał siebie za to, że nigdy nie znajdował czasu na systematyczną aktywność fizyczną. Byle wzniesienie tak go męczyło. To wstyd.

Nagle droga się skończyła. Stał na niewielkiej polanie. Stąd każda ścieżka prowadziła już tylko w dół.

– Marku! – usłyszał nagle głos Kai. – Co ty tu robisz?

Rozejrzał się, a następnie obrócił się kilkakrotnie, lecz nikogo nie zobaczył.

– Kaja? – zapytał niepewnie.

– Patrzysz i nie widzisz, Marku! – znów usłyszał wesoły głos dziewczyny. Dobiegał z bardzo bliska, jakby stała przed nim, a tymczasem widział tylko drzewa. – Zrób jeszcze dwa kroki do przodu.

Marek zrobił dwa kroki, ale nadal nikogo nie mógł dostrzec.

– A teraz spójrz w górę! – Usłyszał śmiech dziewczyny.

Spojrzał i oniemiał. Kilka metrów nad ziemią dostrzegł znajomą postać dziewczyny siedzącą w progu małego domku umieszczonego na drzewie. Siedziała sobie beztrosko w swojej białej sukience i machała bosymi nogami. Jak mógł jej wcześniej nie zauważyć? Albo tego dziwnego omszałego i obrośniętego bluszczem domku?

– No i mnie znalazłeś! – Dziewczyna znów się roześmiała. – Po co mnie szukałeś?

– Coś ci się mogło stać. Kobiety nie powinny chodzić same do lasu – wyjaśnił Marek. – Nie wiedziałaś o tym?

– Naprawdę nie powinny? – Kaja zaśmiała się ponownie.

– Jak tam weszłaś? – zainteresował się mężczyzna.

– Domek zrobił przysiad i mnie wpuścił. – Tym razem poważnym tonem odpowiedziała Kaja.

– Akurat! – Marek ruszył w kierunku drzewa, na którym był zbudowany domek. Zaczął rozplątywać gęste zwoje bluszczu. – Gdzie jest drabina?

– Drabina? – Kaja zdziwiła się i z uśmiechem obserwowała jego poczynania.



Marek uporał się w końcu ze zwojami bluszczu i oniemiał po raz drugi. Nie dość, że nie znalazł żadnej drabiny, to nie znalazł również żadnego drzewa. Domek stał na wielkiej, uzbrojonej w imponujące pazury ptasiej łapie. Zbaraniały Marek spojrział w górę w chwili, gdy Kaja zgrabnie zeskakiwała z progu domku na ziemię.

– Boże, co to za budowla? – Marek widział coś takiego po raz pierwszy w życiu.

– Domek na kurzej łapce. Nigdy o nim nie słyszałeś? – Kaja miała najwyraźniej dobry ubaw.

– Twój? – zapytał wciąż zszokowany Marek. – Zrobiłaś go?

– To mój dom, chłopcze! – Krok za plecami usłyszał chrapliwy głos.

Mężczyzna aż podskoczył zaskoczony.

– O Boże... – jęknął, gdy zobaczył anormalnie wychudzoną staruchę.

Wyglądała, jakby stała nad grobem. Miała gołe kości obleczone bladą, cienką, prześwitującą i nieprzeciętnie pomarszczoną skórą. Była całkiem łysa, a na nagiej czaszce i na nosie wyrastały jej liczne czarne brodawki. Nos miała duży, chudy i garbaty, a jedno oko pokryte bielmem. Starucha siedziała na pieńku, trzymała na rękach czarnego kota, który na jej bladym tle wyglądał upiornie czarno. Starucha czujnie przyglądała mu się uważnie zdrowszym okiem. Jej słowa, wypowiedziane chrapliwym głosem, były podobnie archaiczne jak język Kai.

– Pani tu mieszka? – Marek był tak przerażony jej nieprawdopodobnym wyglądem, że aż cofnął się o krok.

– Tak, chłopcze – odpowiedziała chrapliwym głosem, a następnie odkrztusiła i wypluła flegmę. – Śliczny jesteś. Mam na imię Jaga, chłopcze. Chcesz może zwiedzić mój domek?

– Nie, nie! – zapewnił bardzo szybko wystraszony mężczyzna i zaczął gorączkowo otwierać plecak.

– Przyniosłeś dla mnie jakiś prezent? – Starucha wyszczerzyła nagie, zepsute dziąsła. – Nie dość, że jesteś śliczny, to jeszcze miły.

Marek znalazł w końcu w plecaku to, czego szukał. Wyjął plastikową butelkę, drżącymi rękoma odkręcił nakrętkę, nalał sobie wody w ułożoną w miseczkę dłoń i oblał staruchę.

– A to nie było miłe, chłopcze – powiedziała spokojnym głosem. – Może rzeczywiście nie myję się zbyt często, ale mężczyzna nie powinien czynić kobiecie takich aluzji. Zwłaszcza na pierwszym spotkaniu. Dobrze mówię, Rowenno?

– „Rowenno”? – Marek niepewnie spojrzał na młodą dziewczyną, która stała spokojnie na bosaka dwa kroki od niego. – Nie masz na imię Kaja? Kim ty właściwie jesteś? – przeraził się i ścisnął otwartą butelkę z wodą święconą tak, że mocny strumień zmoczył całą jej sukienkę.

– O, dyngus! – zawołała radośnie dziewczyna. – Tylko muszę cię zmartwić, Marku, moje serce jest już zajęte. Ale to miłe z twojej strony. Choć zaskakujący jest dyngus niedługo przed pierwszymi śniegami.

– Nie jesteś czarownicą? – Mężczyzna patrzył zdziwiony na uśmiechniętą młodą kobietę.

– „Czarownicą”? – powiedziała starucha i zaniósła się takim śmiechem, że omal nie spadła ze swojego pieńka. – Kaju, to była woda święcona. Oblał nas wodą święconą.

– Woda święcona? – Usłyszał, że Kaja też zaczyna chichotać. – A ja myślałam, że uderzasz w konkury. A przez kogo poświęcona została ta woda?

– Przez księdza...

Marek stał jak zbaraniały. Czuł, że zrobił z siebie idiotę. W plecaku miał jeszcze igły sterylne do sprawdzenia, czy na ciele czarownic nie ma niewrażliwych na ból miejsc, co byłoby dowodem ich czarostwa. Już nie zastosuje tych igieł. Podejrzewał, że kobiety i tę próbę przejdą prawidłowo, a kłucie igłami może je niezbyt dobrze do niego nastroić. Czuł jakiś pierwotny strach przed Kają i tą staruchą, tylko nie miał pojęcia dlaczego.

– Marku, nie obawiaj się – usłyszał łagodny głos Kai, która najpewniej dobrze odczytała jego niepokój. – Nie jestem czarownicą w rozumieniu wyznawców Chrystusa. Nie mam żadnych konszachtów czy paktów z waszym diabłem. Ani ja, ani Jaga, Marku. Jaga jest boginką leśną, a ja jedynie kapłanką Peruna. Nic ci z naszej strony nie grozi.

– „Boginką leśną”? „Kapłanką Peruna”? – Mężczyzna powtórzył, choć niewiele rozumiał.

– Nie obawiaj się nas, Marku – kontynuowała Kaja. – Ja zresztą muszę ruszać na wschód. Daleko na wschód, aż za Łabę, za Odrę. Zatem nie musisz już się bać. Jaga wyczekiwała mnie w pobliżu cmentarza Stolberg, gdzie zniknęłam wiele lat temu, i wołała mnie. Czekala tyle lat, że aż trudno uwierzyć. Powiedziała mi, że tam, daleko na wschodzie, czeka na mnie pewna osoba, która widzi wszystko najlepiej. Ona może pomoże mi i mojemu światu. Muszę ruszać.

– Tak daleko na wschód to nie dojdziecie – zauważył Marek, którego lęk został momentalnie ukojony słowami i dźwiękiem głosu dziewczyny. – Dotrzecie jedynie do granicy. Dalej was nie przepuszczą bez specjalnego pozwolenia. To granica do krajów bloku wschodniego.

– Skąd wziąć to pozwolenie? – zapytała dziewczyna.

– Zdobycie legalnych dokumentów to będzie droga przez mękę – przyznał uczciwie. – Na paszport czeka się około trzy miesiące, ale w twoim przypadku będzie dużo dłużej, bo nie znamy twojej tożsamości. Władze muszą najpierw ustalić, jak się nazywasz, gdzie się urodziłaś i tak dalej. To może potrwać nawet rok.

– Rok? – Kaja wyglądała na bardzo zmartwioną. – Nie mogę tyle czekać. Przejdę bez pozwolenia.

– Nie możesz! Aresztują cię i trafisz do więzienia! Albo zabiją przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy!

– To pomóż mi. Czy jest jakiś sposób, by nie czekać na ten dokument? – zapytała dziewczyna.

– Dowiem się. Wszystko podobno można załatwić, tylko to kosztuje.

– Mam srebro!

– Srebro? – zdziwił się Marek. – Jakie znów srebro?

– Mam cały garniec srebrnych groszy praskich. Są zakopane w ziemi. Dokładnie tam, gdzie muszę dotrzeć – zapewniła dziewczyna poważnym tonem. – Wszystkie będą twoje, jak mnie tam doprowadzisz.

– Chcesz mi zapłacić za przemycenie cię do Polski? – Nie dowierzał. – Nie wyglądasz na bogatą... – Spojrzał krytycznie na jej prostą, sfatygowaną sukienkę.

– Mam dziesięć kop srebrnych groszy praskich. Dostaniesz je wszystkie. – Głos dziewczyny brzmiał bardzo poważnie. – To bardzo ważne. Jak nam się uda, świat będzie lepszy, Marku. Pomóż. Proszę.

– Dziesięć kop? To sześćset monet. Skąd masz taki skarb, dziewczyno? – zdziwił się.

Nie znał dokładnej wartości tych monet, ale domyślał się, że są warte majątek. O ile to prawda, że dziewczyna je ma. Może tylko chce go przekonać w ten sposób do tego, by jej pomógł. Czy to ważne zresztą... I tak zaraz zima i nie będzie pracy w ogrodach. Może wybrać się do kraju? Może to jest ta „przygoda”, którą wywróżyła mu cyganka?

– Zobaczę, co się da zrobić. Spróbuję – powiedział wreszcie.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Marku – odparła z wdzięcznym uśmiechem dziewczyna.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Nie wykorzystałeś przecież tych wszystkich igieł, które chowasz w plecaku – uśmiechnęła się i pokazała mu język, a następnie się roześmiała, widząc jego zadziwioną minę.

*Ten trojaki poczet ludzi wyjąwszy  
Żaden nie iest od czarownic bezpieczen  
Żeby z szesnastu niżej opisanych sposobów nie mógł być abo wczarowany  
Abo do czarowania pobudzony.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,  
1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.

## Rozdział 14.

### Zapłata

Przestronny gmach arcybazyliki spotęgował głos kardynała kamerlinga Giovanniego d'Anagni.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti!*

– Amen – odpowiedzieli chórem biskupi i kardynałowie o rozmodlonych twarzach.

Najwyżsi hierarchowie zasiedli licznie w ławach arcybazyliki. Zajmowali przynajmniej dziesięć pierwszych rzędów. Ciemna zieleń biskupia przeplatała się w tych rzędach z kardynalską purpurą. Kolejnych kilka rzędów zajęli zaproszeni przez kamerlinga goście. Liczną grupę wśród nich stanowili dominikanie. Zakonnicy nosili białe, proste habity z czarnym kapturem.

– W ciężkich chwilach Kościół nasz zawsze zwracał oczy w kierunku Boga Wszechmogącego – kontynuował kardynał kamerling. – Korzystając z tej okazji, że wszyscy duszpasterze diecezjalni, którym tylko zdrowie pozwoliło, są tutaj z nami, w naszej wspaniałej arcybazylice, prosimy Naszego Pana, by zwrócił swój miłościwy wzrok w kierunku naszym, natchnął nas swoim duchem i nas chronił. – Kamerling d'Anagni powiódł smutnym wzrokiem po zgromadzonych. – Potrzebujemy Jego opieki i szczególnej ochrony, bracia w Chrystusie. Dziś widzimy to szczególnie. Straciliśmy w ostatnim czasie tak wielu biskupów i kardynałów, straciliśmy w tym roku dwóch papieży. Widzę w tym, bracia, rękę diabła! – Kamerling zawiesił na chwilę głos, a ostatnie wypowiedziane przez niego słowo odbijało się echem od ścian arcybazyliki. – Jak pamiętacie, bracia, w tym roku straciliśmy najpierw biskupów Bogattiego i Lochetta uduszonych

w swoich własnych zakrystiach. Straciliśmy Ojca Świętego Benedykta XI, który zmarł nagle i niespodziewanie w czasie, gdy jego przewlekła choroba zaczęła się wycofywać. Straciliśmy kardynała de Cuntisa, uprowadzonego z drogi na konklawe, torturowanego i przeszytego strzałami. Straciliśmy kardynała Teodorico Ranieri, któremu dzień po ostatnim konklawe odcięto głowę w jego własnej sypialni w pałacu papieskim. Straciliśmy biskupa Jana Muskata, który zaginął na terenie Lateranu i jak dotąd się nie odnalazł. Straciliśmy papieża Klemensa V, czyli biskupa Magnusa von Rapparda, który stracił życie w niejasnych okolicznościach niedaleko Akwizgranu. Boże, miej nas w swojej opiece. Diabeł chce najwyraźniej unicestwić głowy Kościoła, bracia! – D’Anagni powiódł smutnym wzrokiem po zebranych.

Odpowiedziała mu cisza. Hierarchowie stali w ławach bez słowa.

– Usiądźcie, bracia – poprosił kamerling, a gdy wszyscy spełnili jego prośbę, kontynuował: – Wydarzenia te sprawiły, że postanowiłem zaprosić na to spotkanie naszych braci zakonników od Świętego Dominika. Dlatego też przenieśliśmy obrady tutaj, do gmachu arcybazyliki. W pałacu papieskim byśmy się wszyscy nie pomieścili. Witam was, bracia dominikanie! Powitajmy ich brawami! – zakrzyknął kardynał kamerling, a zakonnicy powstali ze swoich miejsc. Przywitały ich jednak jedynie sporadyczne, chłodne, kurtuazyjne brawa.

– Ależ bracia kardynałowie i biskupi! – Kamerling był rozczarowany chłodnym powitaniem jego gości przez gremium kardynalskie. – Nie możemy chować starych uraz. Obecnie Zakon Świętego Dominika wiernie służy papieżowi, a są tutaj, bo mają doświadczenie nie tylko w ściganiu herezji, lecz także są niezrównani w ściganiu wszelkiego czarostwa. – W głosie kamerlinga słychać było nadzieję. – Oni są nam potrzebni, bracia.

– A ile nas będzie kosztować ta ich pomoc, kardynale? – W głosie biskupa Avinionu, Gasberta de Valle, słychać było zupełnie nieukrywaną niechęć. – Może są znani z walki z czarami, ale oni nigdy nie robią niczego za darmo.

– Ależ bracie! – D’Anagni był zażenowany jego zachowaniem.

– Cóż nam tu może grozić, drogi Giovanni? – Tym razem poufale do kamerlinga zwrócił się siedzący w pierwszej ławie biskup Ambrosio. – Przecież jesteśmy w samym sercu chrześcijaństwa. Stąpamy po posadzkach, pod którymi są dziesiątki relikwii. Mamy tu w arcybazylice części krzyża Chrystusa. Cóż może nam tu grozić? Trochę wiary, kardynale!

– Biskupie Ambrosio! – Kamerling był zirytowany. – Chyba zapomniałeś, że dzień po konklawe, tu, na terenie Lateranu, ucięto głowę biskupowi Ranieri!

– Przecież jego głowę odciął jakiś człowiek, a nie diabeł, kardynale kamerlingu! Zgadzam się z biskupem de Valle. Niepotrzebni tu nam łowcy czarownic.

Kamerling rozejrzał się szerzej po ławach grona kardynalskiego w poszukiwaniu poparcia, ale go nie otrzymał.

– Wasza Ekscelencjo kardynale kamerlingu! – Z jednej z ostatnich ław wstał wysoki, starszy dominikanin, generał tego zakonu, brat Bernard de Jusix. – Jeżeli pozwolisz, nie będziemy się narzucać z naszą pomocą. Sam nas o nią prosiłeś, więc przybyliśmy, ale widzę, że wśród braci biskupów i kardynałów nie ma zapotrzebowania na nasze usługi – mówił jak wszyscy po łacinie, ale z bardzo wyraźnym francuskim akcentem. – A mojemu rodakowi, biskupowi de Valle, odpowiem, że nie zażądaliśmy żadnych pieniędzy za nasze wsparcie dla was.

– Nie wierzymy wam! Zawsze wystawiacie rachunek – wtrącił biskup Gasbert de Valle, zanim jeszcze kamerling zdążył odpowiedzieć zakonnikowi, i w ławach dominikanów podniósł się rwetes. Urażeni zakonnicy zaczęli opuszczać ławy i kierować się do wrót arcybazyliki.

– Poczekajcie, bracia! Nie odchódźcie! – Głos kamerlinga był niemal błagalny. – Czuję wpływ złego ducha podczas ostatniego konklawe. Nie zostawiajcie nas!

Jenerał zakonu Bernard de Jusix nie zatrzymywał swoich wychodzących podwładnych. Tylko jednego, przechodzącego obok niego uchwycił za łokieć i gestem nakazał mu pozostać na miejscu. Zatrzymany zakonnik okryty był



kapturem, nie było widać jego twarzy, był jednak bardzo wątej postury. Jenerał de Jusix poczekał, aż jego pozostali bracia wyjdą, i wtedy spojrzął prosto na kardynała kamerlinga.

– Nie jesteście tu mile widziani, Ekscelencjo kardynale kamerlingu. Odejdziemy, ale nie zostawimy ciebie bez pomocy. Zostawimy ci jednego z naszych braci, najzdolniejszego w kwestii znajdowania czarownic. – Jenerał pchnął subtelnie podwładnego o drobnej posturze w kierunku kamerlinga.

– Dziękujemy, jenerale de Jusix. – W głosie kamerlinga brzmiała głęboka wdzięczność. – A ty, młodszy bracie, proszę, podejdź i przedstaw się nam – zwrócił się do wybranego przez jenerała zakonnika.

Ten wykonał kilka nieśmiałych kroków w kierunku ołtarza i zdjął kaptur. Oczom zebranych ukazała się drobna, wychudzona, pokryta gęstym trądzikiem oraz piegami twarz rudego nastolatka.

– No to już czuje się bezpieczniej! – zakpił biskup de Valle i arcybazylikę obiegły stłumione chichoty.

– Zostawili nam szpiega! – Któryś z biskupów pozwolił sobie na głośną uwagę.

– Cisza! – ryknął wściekły z obrotu spraw kamerling. Tymczasem młody zakonnik wykonał kilka śmielszych kroków w kierunku ołtarza, stanął obok kamerlinga i przesunął palcami po przydługiej rudej czuprynie.

– Nazywam się Kramer. Heinrich Kramer.

Młody dominikanin Heinrich Kramer na polecenie kamerlinga został posadzony na krzeselku przy nawie bocznej, w miejscu, z którego mógł z boku obserwować zgromadzenie. Od razu zabrał się do pracy. Czujnym wzrokiem omiatał twarze i sylwetki biskupów w poszukiwaniu śladów kontaktów z diabłem lub czarownicami. Zza pasa wyciągnął swój notatnik, w którym zwykł był notować ważne spostrzeżenia. Jakiś czas temu postanowił, że kiedyś, gdy dobrze pozna zagadnienie, to na podstawie swoich notatek napisze wielkie dzieło o tym,

jak rozpoznać i jak zwalczać czarownice. Już wiedział nawet, jaki nada mu tytuł. Dzieło zatytułuje *Malleus Maleficarum*, czyli *Młot na czarownice*.

\*

Biskup Ambrosio siedział w pierwszym rzędzie i czuł na sobie wzrok młodego dominikanina. Dlaczego on tak się gapi? *Pewnie dlatego, że sprzeciwiałem się przyjmowaniu pomocy od jego zakonu.* Ambrosio próbował się skupić przed kolejnym ważnym punktem zebrania.

– Bracia w Chrystusie! – Z zamyślenia wyrwał go głos kamerlinga. – Jak już zostało to wcześniej ogłoszone, mamy przedyskutować wniosek obecnego tu biskupa Neapolu, Luiggiego Ambrosio, dotyczący szybkiej beatyfikacji świętej pamięci Ojca Świętego Klemensa V. W pisemnym uzasadnieniu swojego wniosku biskup Ambrosio wskazuje na liczne świadectwa dokonywanych cudów oraz rzekomo męczeńską śmierć papieża w walce z pogańskim demonem.

– *Santo subito! Santo subito! Santo subito!* Klemens V natychmiast świętym! – odezwał się głos kilkudziesięciu gardeł pod małymi oknami arcybazyliki. Nagłe krzyki spowodowały, że kamerling d’Anagni zgubił wątek. Ambrosio uśmiechnął się zadowolony. Wiedział, że de Millow czuwa i spełnia swoje zadania.

– No dobrze... – Kamerling zwrócił się do Ambrosia, a z jego oczu bił chłód. – Przyjmijmy, że warunek pierwszy, czyli „spontaniczne pragnienie szybkiej beatyfikacji wyrażane przez lud”, mamy spełniony. Nadal pozostają jednak inne warunki, niezbędne, aby wszcząć przyspieszoną procedurę.

– Znamy te warunki, Ekscelencjo kardynale kamerlingu – z przesadną grzecznością powiedział Ambrosio. – Mamy, jak powiedziałaś, pragnienie ludu: *santo subito*. Mamy liczne, potwierdzone i udokumentowane świadectwa cudów dokonanych w katedrze w Akwizgranie, jak i tutaj, w Lateranie. No i w końcu mamy również *fama sanctitatis*, czyli opinię świętości, kardynale. Stosowne dokumenty już otrzymałeś. Nic nie stoi na przeszkodzie, by wszcząć szybki proces.

– Na przeszkodzie stoją wymogi formalne. – Do wszystkich dotarł podniesiony głos kamerlinga. – Przepis mówi, że proces musi się odbyć w diecezji, w której kandydat umarł, czyli tak naprawdę diecezji nadreńskiej. Warunki muszą być spełnione tam, a wola ludu *santo subito* została wyrażona tutaj, w Rzymie. Warunki formalne nie zostały zatem dopełnione.

– Myślę, że powinniśmy zagłosować, kardynale! – z naciskiem powiedział Ambrosio. – Według przepisów kościelnych to nie może być twoja osobista jednoosobowa decyzja. Tu musi odbyć się głosowanie.

– *Veto! Veto! Veto!* Nie pozwalam! – donośny, stanowczy głos rozbrzmiał od strony wrót arcybazyliki.

Wszystkie głowy zaskoczonych hierarchów odwróciły się od ołtarza. Oczy kardynałów i biskupów spoczęły na osobie idącej środkiem głównej nawy. Nie była to imponująca postać. Wychudzony mężczyzna, z nieporządnym kilkutygodniowym zarostem, odziany w prostą, ale czystą chłopską suknię stukał o posadzkę prostymi, chłopskimi, struganymi drewniakami, zbliżając się do ołtarza.

– *Veto!* – zakrzyknął jeszcze raz podobnie donośnie. – Nie pozwalam, by Magnus von Rappard został świętym, bracia! On smaży się teraz w piekle, a wy chcecie go uczynić na ziemi świętym?!

– Kto wpuścił tego śmierdziela?! – zapieklił się z pierwszego rzędu zaskoczony tym nagłym zwrotem akcji Ambrosio. – Co robi gwardia szwajcarska? Śpi, do stu diabłów?! – Biskup wymownie spojrzął na kamerlinga.

– Poznaję cię po głosie, Ambrosio – wykrzyknął przybyły, zanim jeszcze kamerling d’Anagni zdołał zareagować. – Jeszcze cię nie widzę, ale już cię poznaję po głosie!

– Nie obrażaj imienia świętej pamięci Ojca Świętego, przybłędo! – wysyczał ze złości Ambrosio i precyzyjnie przesunął się z ławki do nawy głównej.

Przybysz zatrzymał się w odległości ramienia od czerwonego ze złości biskupa.

– Nie poznajesz mnie, Luiggi? – zapytał przybysz spokojnie.

Ambrosio wpatrywał się uważnie w twarz mężczyzny. Było w niej coś znajomego, ale nie wiedział co.

– Jestem Jan Muskata, bracia, biskup Cracovii! – wykrzyknął przybysz, wzbudzając głośny szmer zaskoczenia. – Nie poznajecie mnie, bo ostatni księżycowy miesiąc przesiedziałem w lochu von Rapparda.

– Licz się ze słowami, Muskata! – Ambrosio przerwał mu bezceremonialnie. Poznał teraz przybysza. Był zmieszany sytuacją, ale postanowił zaskoczenie przykryć atakiem. – Magnus von Rappard siedzi po prawicy Chrystusa. Był jego wybrańcem. Bóg chce, byśmy kontynuowali jego dzieło.

– Von Rappard podpisał pakt z diabłem, Ambrosio! – powiedział głośno spokojnym głosem Muskata. – Miałem na to dowód, dlatego mnie uwięził. Po jego śmierci jego sługus de Millow więził mnie dalej tutaj, w lochach pałacu papieskiego. Teraz de Millow zdaje się pracuje dla ciebie, Ambrosio. – Spojrzał oskarżycielsko na czerwonego ze złości biskupa Neapolu.

– W lochach pałacu papieskiego? – Kamerling nie mógł zrozumieć tego, co usłyszał. – Papież i de Millow więzili ciebie, Janie, w lochach? Tu w Lateranie?

– Nie miałem nic wspólnego z uwięzieniem ciebie, Muskata! – wykrzyknął wściekły Ambrosio. – Hrabia de Millow pracował dla wielu osób. Dla mnie już nie pracuje na pewno! De Millow to wcielony diabeł, bracia. Na pewno nasz Ojciec Święty Klemens V miał czyste sumienie. Nie masz dowodów, Muskata, że nasz święty papież maczał palce w uwięzieniu ciebie. – Biskup Neapolu był cały czerwony ze złości.

– Istnieje dowód rzeczowy opisujący jego konszachty z demonem, bracia! – głośnym, spokojnym głosem powiedział Jan Muskata. – To pamiętnik czarownicy, która pomogła mu nawiązać kontakt z siłami zła. Przeczytałem go.

– Gdzie jest ten pamiętnik? – zainteresował się kamerling.

– Przecież to bzdura, bracia! – Ambrosio stanął z groźną miną zaledwie o łokieć od wychudzonego biskupa Muskaty. – On próbuje zdyskredytować

świętego! To on działa na rzecz diabła!

– To się dopiero okaże, Ambrosio. – Głos kamerlinga był bardzo stanowczy. – Straż! – krzyknął i po chwili stanął przed nim starszy stopniem gwardzista. – Ujmijcie natychmiast hrabiego Harolda de Millow i przyprowadźcie tutaj. Przynieście też wszystkie książki czy pergaminy, jakie znajdziecie w jego izbie. Każde zapisane słowo. Zrozumieliście, kapitanie?

– Tak jest! – Gwardzista wykonał zgrabne w tył zwrot i pobiegł w kierunku wrót.

– To jedna wielka mistyfikacja! – pieklił się Ambrosio. – Nie ma żadnego pamiętnika! A jeśli jest, to został spreparowany! Magnus von Rappard jest świętym człowiekiem! To jeden wielki teatr, bracia! Skąd ten rzekomy pamiętnik w ogóle znalazł się u ciebie, Muskata? Możesz nam powiedzieć?

– Został znaleziony przy ujętej w Cracovii czarownicy – padła zgodna z prawdą odpowiedź.

– A więc otrzymałeś od czarownicy jakieś pismo i głęboko w nie, jak widzę, uwierzyłeś? – triumfował Ambrosio.

– Tak. Bo tam jest wszystko bardzo dokładnie opisane, Ambrosio. Tam jest napisane, jakimi metodami von Rappard od zwykłego kleryka awansował na urząd biskupi. Napisano tam też, ilu ludzi i w jaki sposób przy pomocy demona po drodze zamordował.

– Skończ te bzdury, Muskata! – Ambrosio chwycił Jana Muskatę za poły jego prostej chłopskiej sukni. Był wściekły. Czuł, że idea uczynienia Magnusa von Rapparda świętym oddala się, a jego osobista pozycja słabnie.

– Uspokój się, Ambrosio! – Głos kamerlinga był pełen nagany. – Jesteś przed ołtarzem! Poczekamy na gwardzistów. Zobaczymy, co nam powie de Millow. Dopiero wtedy przystąpimy do głosowania.

– To jakiś obłąd! – Ambrosio puścił ubranie Muskaty, ale nie mógł się uspokoić. – Czy już zapomnieliście, ilu ludzi uzdrowił nasz Święty Magnus? Na waszych oczach nawet wskrzesił martwego. Już tego nie pamiętacie?

Twarze siedzących biskupów i kardynałów w większości wyrażały niepewność. Ambrosio wiedział, że wszyscy pamiętają te cuda, ale dostrzegał też, że ziarno wątpliwości zostało już skutecznie zasiane przez Jana Muskatę. Niech go czort porwie! Niepewność i troska malowały się prawie na wszystkich twarzach. Tylko jedna wyrażała zupełnie inne uczucie. Wyrażała ogromną fascynację i zaangażowanie. To była przyszczata, młodociana twarz brata Heinricha Kramera od dominikanów. Pochłaniał wzrokiem scenę, której był świadkiem, i niemal bez przerwy zapisywał coś w swoim notatniku. Ambrosio nie zdążył jeszcze przemyśleć swoich obserwacji, gdy z łoskotem została otwarta brama arcybazyliki, a po świątyni poniósł się stukot oficerskich butów na kamiennej posadzce.

– Ekscelencjo! – Kapitan gwardii ledwo łapał oddech. – Hrabia de Millow uciekł. Chwilę przed nami wskoczył na koń i pognął w kierunku północnej bramy. Posłałem ludzi w pogoń za nim. W twoim imieniu poprosiłem też o zamknięcie bram Rzymu. Będziemy go szukać.

– Dziękuję, kapitanie. – Kardynał kamerling nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego. – De Millow musiał mieć informację o tym, co się dzieje w bazylice.

– To jeszcze niczego nie dowodzi... – zaczął Ambrosio, ale d’Anagni szybko mu przerwał.

– Niewinni nie uciekają, drogi Ambrosio. – Kamerling z przekąsem zaakcentował słowo „drogi”.

– Czy znaleźliście pamiętnik czarownicy, kapitanie? – zapytał niecierpliwie siedzący w ławie za biskupami i kardynałami Jan Muskata.

Kapitan zlustrował dziwną postać zadającą mu pytanie. Dłuższą chwilę milczał.

– O Chryste Panie! Teraz dopiero poznałem. Wybacz, Ekscelencjo, biskupie Janie Muskata! – Kapitan był zawstydzony, że tak długą chwilę zajęło mu rozpoznanie tak znamienitej osobistości. – Wybacz, ale to przez twój strój.

– Nie szkodzi, drogi Giovanni. – W głosie Muskaty nie było ani krztyny pretensji. – Co z tym pamiętnikiem?

– Moi ludzie go szukają, Ekscelencjo – zaraportował oficer. – Ale de Millow podobno wpadł jak wicher do swojej izby tuż przed tym, jak wskoczył na konia. Domyślam się, że pobiegł tam po to, by coś ważnego zabrać.

– No tak, kapitanie. Informuj nas, proszę, na bieżąco. – Kamerling skinął na oficera, by ten się oddalił.

Oficer energicznie odmaszerował, odprowadzony przez zafascynowany wzrok brata Heinricha, i stanął karnie przy wrotach świątyni.

– Bracia w Chrystusie! – Głośny głos kamerlinga rozszedł się po świątyni. – Czas rozpocząć głosowanie. Kto z was, bracia, nie ma żadnych wątpliwości i chce, by proces beatyfikacyjny Magnusa von Rapparda przeprowadzić w trybie *santo subito*, tak jak wnioskuje biskup Luiggi Ambrosio?

\*

Biskup Luiggi Ambrosio był wściekły. Wściekły na Muskatę za jego wystąpienie oraz wściekły na de Millowa za jego potajemne gierki i niekompetencje. Przez nich przegrał głosowanie. Jak de Millow mógł pozwolić uciec z lochu takiemu więźniowi? Miał ochotę na wino, dużo wina. Zaraz zamknie się w swoim gabinecie i się upije.

– Widzę, że jesteś wzburzony, Luiggi. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

W uchylonych drzwiach jego gabinetu stała Greta i patrzyła na niego swoimi szaro-błękitnymi oczami spod długich rzęs. Wycięcie jej sukni uwidaczniało nie tylko jej łydkę i kolano, lecz także znaczną część idealnie szczupłego uda.

– Och, gąseczko, nie teraz, Greto. Zupełnie nie mam nastroju... – Ambrosio wszedł do gabinetu i chciał zamknąć za sobą drzwi.

– Ona przyjdzie dziś do ciebie. – Te słowa Grety powstrzymały go przed zamknięciem się samotnie w gabinecie.

– Kto przyjdzie? – zapytał, choć już się domyślał.

– Lilith przyjdzie, mój drogi Luigi, twoja czarownica.

– Kiedy przyjdzie? – Ambrosio od razu się ożywił.

– Wracaj do świątyni, Luigi. Kiedy tylko opustoszeje, ona się tam zjawi. –

Dziewczyna odwróciła się zgrabnie na pięcie, ale zanim zniknęła za drzwiami, dodała jeszcze: – Zanieś jej zapłatę. Domaga się tego. Obiecała, że rozwiąże twoje problemy.

– Skąd to wiesz, gołąbeczko? – upewniał się biskup.

– Powiedziałałabym ci, ale mnie dziś zaniedbujesz, Luigi. Tylko raz mnie dziś chędożyłeś – uśmiechnęła się do niego lubieżnie i zniknęła za drzwiami.

– Och, będę cię dziś chędożył cały wieczór, sikorko! – zawołał ożywiony już Ambrosio, ale nie pobiegł za nią.

Sięgnął ramieniem pod łóżko i wyciągnął spod niego ciężki i brzęczący woreczek. Odwiązał go i zajrzał, by upewnić się, czy jego zawartość na pewno tam jest. Zabrał ze sobą też niewielki nożyk, służący mu od kilku lat do rozcinania korespondencji, i wybiegł z powrotem do arcybazyliki.

\*

Biskup Luigi Ambrosio po wejściu do świątyni rozejrzał się ostrożnie dookoła. Nikogo nie dostrzegł. Usiadł w ławeczce w bocznej nawie i czekał. Z portretu patrzył na niego z góry Święty Piotr. Swoim zwyczajem trzymał klucze do bram Kościoła. Dziś trzymał je jakby bardziej przy sobie. Jakby nie chciał się z nimi tymi kluczami podzielić.

– Ciężki dzień, gołąbeczku?

– O Chryste! – Biskup aż podskoczył wystraszony, gdy niespodziewanie usłyszał te słowa. – Po diabła mnie tak straszysz, kobieto? – Był zirytowany, że tak go zaskoczyła swoim nagłym pojawieniem się.

– Widzę, że obsiadły cię czarne kruki i dziobią ze wszystkich stron. Dlatego przybyłam wcześniej, gołąbeczku. Czuję, że mi zapłacisz. – Czarownica spojrzała



na niego czujnie swoimi szaro-błękitnymi oczami. – Jeżeli ty nie zapłacisz, to inni chętnie zapłacą.

– Dobrze, czarownico! Zapłacę! – szybko i głośno zapewnił Ambrosio i rozejrzał się bojaźliwie wokoło.

– Jesteśmy sami, gołąbeczku. Upewniłam się wcześniej. Nie obawiaj się – powiedziała starucha Lilith. – Zapłać mi teraz!

Ambrosio wyciągnął zza pleców woreczek i podał czarownicy. Zważyła go w rękę, a następnie rozsypała zawartość na ławę. Setka złotych dukatów zabręczczała obiecująco.

– To nie wszystko, gołąbeczku. – Spojrzała głęboko w jego oczy.

Ambrosio zawahał się, ale tylko przez chwilę. Zaraz wyjął nożyk do listów.

– Chcę zostać papieżem, więdźmo. Chcę mieć ponad dwie trzecie głosów na konklawe.

– Znam sposoby, by przekonać elektorów.

Dostrzegł zło w jej spojrzeniu, lecz nie miało to już dla niego znaczenia.

– Ile ma być tej krwi, czarownico? – zapytał.

– Och, wystarczy kilka kropel, gołąbeczku... – Jej szaro-błękitne oczy nabrały szczególnego blasku.

Luiggi Ambrosio wyobraził sobie siebie w papieskiej bieli i naciął opuszkę kciuka. Na złoto zaczęły kapać krople krwi.

## Rozdział 15.

### Wielki Żmij

Nawia utrudniała myśli. Sprzyjała jedynie błogiemu odpoczynkowi. Myśli były w tym miejscu niepotrzebne, zupełnie zbędne, może nawet niebezpieczne. On jednak musiał się dowiedzieć, jak stąd wyjść. Gdzie jest brama. Olśniło go nagle. Olśniło go, gdy patrzył na kolejną błogo opadającą na zielony dywan duszyczkę. Już wiedział, gdzie jest brama. Nie wiedzieć dlaczego, na początku założył, że znajdzie ją, posuwając się po zielonym dywanie traw.

Wędrowiec wzbijał się w górę. Mgliste skrzydła, które posiadał jako nawka, nie pozwalały niestety na szybkie wzbijanie się. Wiedział, że Nawia nigdy nie wypuszczała mieszkańców ze swoich czułych objęć. Mimo to wzlatywał coraz to wyżej i wyżej. Oddalanie się od błogiej zieleni traw kosztowało go bardzo wiele sił.

Wysiłek został jednak szybko nagrodzony. Przypomniawszy sobie swoje imię. Miał na imię Radosław. Wiedział już, kim był. Przed oczami stanęły mu najważniejsze chwile jego ziemskiego życia. Zobaczył sceny z rodzicami z błogiego dzieciństwa nad Wartą, szkolenie wojskowe w Kruszwicy, przysięgę wierności Swarogowi, bogowi ognia, sceny wojny w obronie starej wiary u boku pierwszej Bezcielesnej, swoją walkę z całym legionem diabłów na cmentarzu Stolberg. Na koniec wspomnień ujrzał twarz wyczerpanej do granic możliwości Kai. Leżała obok gnijącego trupa Emanuela Schrola. Ledwo oddychała. Była śmiertelnie blada.

Radosław przyspieszył wznoszenie. Zaczął się czuć bardzo niewygodnie w swojej obecnej postaci. Pragnął ją porzucić. Dwukrotnie minął żeglujące na dół

skrzydlate dusze nowych mieszkańców Nawii. Tę część dusz zmarłych należąca do Walesa nazywano nawkami. Pozostała część dusz należała do Peruna i doznawała wytchnienia w zupełnie innym miejscu. Cieszył się, że odzyskiwał swoją pamięć i wiedzę.

Nawki mijające wznoszącego się Radosława rozglądały się zadziwione miejscem, w którym się znalazły. Jedna wołała do niego, ale nie zatrzymał się ani nawet nie odpowiedział. Im wyżej wlatywał, tym trudniej było się wznosić. Czuł wyczerpanie. Zwalczył w sobie chęć zaprzestania walki. Nie podda się nigdy. Obiecał to Kai. Nie był pewien, czy to, co widzi, nie jest jakimś omamem, ale Nawia na tej wysokości nie była już taka bezkresna i przezierna. Zaczynał mieć wrażenie, że wlatuje w delikatnej mgle. Zieleń traw na dole znacznie poszarzała. Rozglądając się na boki, nie widział już bezkresu czystej przestrzeni, ale jakby mleczone ściany, które zbliżały się do niego, gdy się wznosił.

Radosław walczył, wciąż się wznosił, lecz zaczynał też czuć coraz większy lęk. Jeżeli to miejsce, w którym teraz jest, to rzeczywiście Nawia, to oznacza, że opuszczenie jej nie będzie wcale łatwe. Wszystkie podania, jakie słyszał o Nawii, mówiły o tym, że zaświatami tymi opiekuje się Wales, bóg świata podziemnego i podwodnego, a jego wrót pilnuje stwór tak straszny, że sprostać mu może tylko Perun. Wrót Nawii we wszystkich opowieściach pilnował Wielki Żmij.

– *Perunie, wielki boże gromowładny, usłysz mnie!* – Radosław wysłał myśl w przestrzeń, licząc na odpowiedź boga. Odpowiedź nie nadeszła. Kolejna próba również nie przyniosła sukcesu. – *Walesie, wielki boże podziemi, usłysz mnie!* – Zawiedziony Radosław zwrócił się do boskiego antagonisty Peruna, lecz także nie uzyskał żadnej odpowiedzi. – *Swarogu, boże ognia, któremu służyłem ponad ziemskie stulecie i nadal służę, czy mnie słyszysz?*

W desperacji Radosław wywoływał po kolei wszystkich bogów. Wzywał Dadźboga, Swaroczyca, boginię Mokosz, Chorsa, Strzyboga... Ogarniała go wściekłość. Tak bardzo potrzebował teraz pomocy. Był u kresu sił. O podjęciu walki z jakimkolwiek przeciwnikiem nie mogło być mowy, a co dopiero

z Wielkim Żmijem, najpotężniejszym potworem podziemi. Wznosił się jednak wyżej i wyżej.

Unosił się teraz w coraz gęstszej chmurze, a mleczne ściany ograniczające Nawię były już bardzo blisko po jego bokach. Wznosił się jakby w bezkresnym mglistym tunelu. Kilkukrotnie musiał gwałtownie omijać szybujące w dół świeżo uwolnione nawki.

– *Kto mnie wołał?* – Potężny głos zadudnił w głowie Radosława.

Nie rozpoznawał tego głosu. Na pewno nie był to głos Swaroga, jego boskiego opiekuna. Nie był to prawie na pewno głos Peruna ani Walesa.

– *Dziękuję, wielki Strzybogu, że odpowiedziałeś na wołanie!* – Radosław założył, że ma do czynienia z bogiem wiatru. – *Potrzebuję twojej pomocy.*

– *Nie znam twojego głosu, rycerzu, a właściwie, ściślej mówiąc, pokonany rycerzu. Nie należysz do moich wyznawców, bo ich głosy znam. Dopiero potrzeba skłoniła cię do złożenia hołdu. Nie pomogę ci!* – zabrzmiała stanowcza odpowiedź w głowie Radosława.

– *Wyznawałem za życia Swaroga, jest moim boskim opiekunem, a ja jego kapłanem. Wołałem go, ale nie odpowiedział. Wołałem też innych bogów – przyznał rycerz. – Jedyne ty odpowiedziałeś, Strzybogu.*

– *Odpowiedziałem tylko dlatego na twój nieznanomy mi głos, że wołasz z miejsca, z którego nikt mnie jeszcze nigdy nie wołał. Nigdy nie zaszczycam moim głosem niewiernych.*

– *Wołałem wszystkich bogów o pomoc, bo muszę wrócić na ziemię i kogoś odnaleźć. Przysięgałem, więc to zrobię.*

– *Dziwnym jesteś człowiekiem, Radosławie, ale widzę w twojej głowie, że jesteś wierny swojemu Swarogowi. Bogowie nie słyszą wołania z tego miejsca, rycerzu. Tylko bóg wiatru słyszy każdy ruch, każde drgnienie czegokolwiek, wszędzie.*

– *Pomóż mi, proszę, Strzybogu...* – poprosił rycerz.

*– Nie jestem bogiem ani dobrym, ani złym. Jestem sprawiedliwy. Mógłbym ci pomóc, bo cóż lepiej niż wiatr mogłoby ukryć cię we mgle przed oczami bestii. Cóż lepiej niż wiatr może zmieniać bieg wydarzeń i drogę ludzi. Nie pomogę ci jednak, bo nie zasłużyłeś. Nie jesteś moim wyznawcą. Nie znasz też na pewno odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, gdyż jesteś w miejscu, w którym trudno o odpowiedzi. Mógłbym ci również wydatnie zaszkodzić, kapłanie Swaroga, gdybym chciał, ale też tego nie zrobię, mimo że wezwałeś mnie, nie będąc moim wyznawcą. Zaspokoiliś jednak moją ciekawość, więc ci nie zaszkodzę. Radź sobie sam. Masz pewną szansę, dziwny człowieku. Wielka bestia, która pilnuje tych wrót, zawsze dbała, by nikt niepowołany do jej ogrodu nie wszedł, ale nigdy jeszcze nie musiała uważać, by ktoś z niego nie uciekł. Myślę, że będzie zaskoczona nie mniej niż ja.*

Obecność boga w umyśle Radosława się rozplynęła. Rycerz rozejrzał się. Mgła znacznie się przerzedziła. Mleczne ściany, wzdłuż których wzlatywał, stały się mlecznoróżowe, a następnie systematycznie ciemniały, by w końcu nabrać koloru niepokojącej ciemnej czerwieni. Czuł, że jest już blisko bramy. To dodało mu dodatkowych sił. Myślał o Kai.

Zaskoczył go nagły powiew wiatru. Wznosząc się, napotkał w pewnym momencie dodatkowy opór. Był przekonany, że Strzybóg postanowił mu jednak przeszkodzić. Skrajnym wysiłkiem swoich mglistych skrzydeł wznosił się pomimo dodatkowego utrudnienia. Opór znikł jednak po dłuższej chwili tak samo nagle, jak się pojawił, po czym, o dziwo, odczuł podmuch z drugiej strony, wznoszący, z którego Radosław chętnie skorzystał, szerzej rozkładając skrzydła, by wznosić się choć przez chwilę bez wysiłku. Sytuacja zaczęła się powtarzać regularnie. Na zmianę pojawiały się podmuchy sprzyjające i niesprzyjające. Radosław dostosował się do nowych warunków. Usiłował jak najmniej sił tracić podczas zwiększonego oporu i jak najskuteczniej wykorzystać wznoszący podmuch. Zauważył, że podmuchy niesprzyjające są bardziej intensywne, natomiast te wznoszące trwają nieco dłużej.

*– Mimo wszystko dziękuję ci, Strzybog – wysłał myśl w przestrzeń.*

Miał nadzieję, że jest już blisko wrót Nawii. Naprawdę był bardzo zmęczony. Ciemnoczerwone ściany tunelu znajdowały się coraz bliżej. Ściany te oddalały się od siebie, gdy wiał przeciwny wiatr, a wracały do wyjściowego położenia, kiedy Radosław się unosił, korzystając ze wznoszącego podmuchu. Dokładnie już widział błyszczącą krwistoczerwoną powierzchnię ścian tunelu.

Po mgłę nie zostało już ani śladu. Pojawił się natomiast niepokojący dźwięk. Dźwięk, który postawiłby dęba wszystkie włosy każdego żyjącego ziemskiego stworzenia. Był jak ostrzegawcze charczenie niedźwiedzicy, wydawane, gdy ktoś się zbliża do młodych niedźwiadków. Było tylko dużo głośniejsze. Ogłuszające. Wywołujące przerażenie. Dobiegające zewsząd. Pojawiało się regularnie, kiedy Radosław szybował z korzystnym wznoszącym wiatrem, a cichło, gdy wiatr był przeciwny.

– Bogowie, pomóżcie! – Rycerz zadrżał, ale kontynuował wysiłek. – Czy mam jakąkolwiek szansę z tą bestią?

Wtedy, gdy po raz pierwszy ogarnęło go zwątpienie, kolejny wznoszący podmuch wyrzucił go z tunelu do ogromnego pomieszczenia. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, gdzie jest.

– *No to nadszedł mój koniec!*

Widok był przerażający. Dno pomieszczenia wyścielone było długim na przynajmniej dwie staje językiem, którego rozdwojony koniec spoczywał daleko od niego na wielkich błyszczących zębach. Zęby były wszędzie. Po obu stronach języka. Wyrastały również ze sklepienia. Zęby położone najbliżej były gigantyczne. Wysokości najwyższych drzew. Radosław znajdował się w paszczy potwora. Była dobrze oświetlona. Przez przerwy pomiędzy przednimi zębami do paszczy wpadało mnóstwo oślepiającego światła.

Radosław zrozumiał, że to jest jedyny możliwy kierunek. Przecież nie wróci do trzewi bestii. Pomyślał o Kai, o złożonej jej obietnicy i przestał się wahać. Zebrał się na ostatni wysiłek. Jeszcze raz poprosił bogów o wsparcie. Ruszył ze wszystkich sił w kierunku światła.

\*

Nigdy wcześniej w życiu się tak nie bał jak w chwili, gdy dolatywał do jasnego prześwitu pomiędzy imponującą wielkością siekaczami.

\*

Ogarnęła go jasność. Leciał dalej w oślepiające światło, nie odwracał się. Nie chciał napotkać wzroku bestii. Nie był wcale ciekaw, jak z zewnątrz wygląda Wielki Źmij. Był napięty do granic wytrzymałości. W każdej chwili spodziewał się ataku potwora.

\*

Atak nie nastąpił. Potwór spał.

\*

Radosław się ocknął. Leżał w wysokiej trawie. Czyżby został jednak pokonany przez zieleni Nawii? Cały dygotał. Podparł się ramieniem i szybko wstał, by się rozejrzeć. Słońce górowało nad jego głową i oślepiało go tak, że musiał przyłożyć dłoń do czoła, aby cokolwiek zobaczyć. Z wysokiej trawy obok niego wyrastało niezbyt wysokie kamienne ogrodzenie. Za ogrodzeniem dostrzegł luźno rozrzucone nagrobki, a wokół nich liczne młode dęby. Znał to miejsce. Przeniósł wzrok trochę dalej. Zobaczył znajomy kościół ze znajomym napisem nad wrotami: „*Herz-Jesu-Kirche, Stolberg*”.

## Rozdział 16.

15 listopada 1980 roku

Kiedy tylko Marek wpadł na ten pomysł, od razu mu się bardzo spodobał. Kaja zupełnie nie rozumiała, po co jada na to, jak to nazywał Marek, nabożeństwo. Chłopak jednak się uparł i zagroził, że jeżeli z nim nie pojedzie, to nie pomoże jej dotrzeć na Łysicę. Niemal dwugodzinna jazda do innego miasta olbrzymim, zatłoczonym po brzegi, poruszającym się po szynach pojazdem była dla niej dużym przeżyciem. Teraz stała razem z Markiem w bezkresnym morzu ludzi i czekała na rozpoczęcie podobno szczególnej mszy.

Był 15 listopada 1980 roku. Na płycie starego lotniska Butzweilerhof, na obrzeżach Kolonii, zebrało się czterysta tysięcy ludzi. Czekali na pierwszą mszę, którą podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Republiki Federalnej Niemiec miał odprawić wybrany zaledwie rok temu charyzmatyczny papież, który przyjął imię Jan Paweł II.

Marek starał się nie wracać pamięcią do wydarzeń ze wzgórza Schlangenberg. Zwłaszcza starał się wyprzeć z pamięci nierealną zupełnie staruchę Jagę i jej domek na kurzej łapce. Wolał uznać, że to się nie wydarzyło, bo przecież takie rzeczy nie dzieją się w realnym świecie. Na drugi dzień po tamtych wydarzeniach poszedł prywatnie do psychiatry. Opowiedział starszemu lekarzowi, co widział. Tamten z trudem tłumził śmiech. Pan doktor uznał w końcu, że nie widzi w nim żadnych objawów psychotycznych, a jedynie bogatą wyobraźnię. Stwierdził, że nie wymaga leczenia. To Marka uspokoiło co do stanu jego zdrowia, ale przywróciło niepokój dotyczący tego, kim właściwie jest Kaja. Ostatnio dużo się naczytał o czarownicach. Kaja co prawda wzorowo przeszła próbę wody



święconej, ale wciąż tliła się w nim niepewność. Obiecał, że wyruszy z nią w podróż do Polski, i trochę się tej podróży bał.

Pomysł, by zabrać Kaję na mszę Jana Pawła II, zrodził się nagle. Od razu bardzo się do tego przywiązał. Nie był już tak głęboko wierzący, jak w latach młodości, ale wierzył, że jeżeli Kaja jest czarownicą, to na pewno przy słowach Ojca Świętego muszą się pojawić jakieś tego objawy. Tak, to będzie ostateczny test. Nie powiedział jej dokładnie, co tam się będzie działo ani kto tam będzie. Użył też małego szantażu, lecz dzięki temu będzie czuł się bezpieczniej.

Stali we dwoje w tłumie. Nie widzieli ołtarza. Zasłaniały go głowy innych ludzi. Czekali już drugą godzinę. Niektórzy ludzie czekali tu nawet od dnia poprzedniego. Kaja wyczuwała ekscytację tym wydarzeniem w umysłach stojących obok niej ludzi.

– *Im Namen des Vaters und des Sohnes und des Heiligen Geistes!* – usłyszeli pierwsze słowa papieża, a przez tłum przeszedł gwar podniecenia.

– Amen! – odpowiedział tłum entuzjastycznie, choć w sposób słabo skoordynowany.

Papież mówił po germańsku. Kaja nie rozumiała słów, ale doskonale odczytywała ich znaczenie z umysłów otaczających ją ludzi.

– Jak się czujesz? – zapytał ją Marek i wnikliwie się jej przyglądał.

– Dobrze, Marku. A kto to jest?

– To następca Świętego Piotra, papież Polak. – Marek nie spuszczał z niej swojego czujnego wzroku. – Powiedział: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”, zrozumiałaś?

– Myślisz, że spłonę od tych słów? – Kaja zaśmiała się pod nosem, bo zrozumiała teraz zamysł mężczyzny. – Mogę je nawet sama wypowiedzieć. – Kaja powtórzyła słowa modlitwy z szerokim uśmiechem.

Marek odwrócił głowę, by nie zobaczyła, że zarumienił się ze wstydu. Kaja wyczuła w jego umyśle ten wstyd, ale również dużą ulgę, że przeszła ten test.

Przysłuchiwała się słowom mężczyzny w bieli. Czuła, że zmieniają słuchaczy wokół niej. Mówił o zmienianiu świata na lepsze. Nakazywał zacząć od własnych serc. I ta zmiana w sercach ludzi następowała. Oczyma innych ludzi widziała jego odzianą w biel, dość młodą, dziarską postać. Był uśmiechnięty. Czuła, że ten człowiek kocha ludzi. Biło od niego dobro i to bardzo ją zadziwiło. To był pierwszy kapłan Chrystusa, który nie mówił o krzewieniu wiary na siłę i wojnie z ludźmi wyznającymi innych bogów.

Kaja zajrzała głębiej w tego przemawiającego człowieka. Był pracowitym perfekcjonistą. Jego homilia była przygotowana w najmniejszym szczególe, każde jej słowo. Język dla niego był trudny, ale chciał przemawiać językiem słuchaczy. Sama obca mowa wzbudzała w nim złe skojarzenia z czasów wojny, lecz mimo to chciał nawracać tłum w ich właśnie rodzimej mowie.

Kaja zaglądała coraz głębiej. Dostrzegła, jak głęboko wierzy. Jaką ma charyzmę. Jak gorącym jest patriotą. Dostrzegła również grzechy. Wstydził się ich. Tkwiły w nim. Nie było ich wiele, ale bolało go całe zło, które popełnił. Były też decyzje, z których nie był dumny, gdyż chciał dążyć do doskonałości. Chciał dać ludziom pokój. Wszystkim narodom. Zwłaszcza swojemu. Był jej rodakiem. Myślał po polsku. Myślał o swoich Wadowicach i o Krakowie nawet podczas tej homilii.

Kaja zaglądała coraz głębiej. Jego umysł był dla niej jak otwarta książka. Może dlatego, że wkładał cały swój umysł, całe emocje w słowa, które właśnie wypowiadał. Był dobrym człowiekiem. Ciekawość w dziewczynie zwyciężyła i zajrzała w jego dół. Posmutniała bardzo w jednej chwili. Los nie miał być dla niego łaskawy. Rodzance nie uplotły mu długiego życia. Kaja zobaczyła jego gwałtowną śmierć, która miała nastąpić całkiem niedługo. Zobaczyła złą intrygę. Zobaczyła mordercę. Kaja słuchała słów mężczyzny w bieli i czuła żal.

Wywołała myślami Peruna. Chwilę czekała na odpowiedź, ale nie nadchodziła. Następnie wołała Walesa i Mokosz. Odpowiedziała jej cisza. Bogowie jej nie pomogą. Odkąd trafiła do tego świata, wielokrotnie wołała Peruna, Walesa i Mokosz, którzy w czasach, gdy została Bezcielesną, obiecali jej pomoc. Nie

czuła w sobie ich mocy. W tym świecie nie było ich wyznawców. Być może nie było już jej bogów. Miała nadzieję, że istnieją i są jedynie w letargu. Być może jest jednak zdana tylko na siebie, by odmienić los świata.

Poczuła na twarzy lekki wietrzyk.

– Strzybóg! – szepnęła. Przecież tego boga jeszcze nie wzywała.

– *Wielki boże wiatru, Strzybogu, wołam cię i proszę o pomoc!* – Myśl Kai popłynęła w przestrzeń. – *Wielki boże wiatru, Strzybogu, wołam cię i proszę o pomoc.*

Odpowiedziała jej cisza. Znów zatem wsłuchiwała się w myśli tłumu. Dominował w nich szczery żal za złe uczynki i postanowienie poprawy. Mężczyzna w bieli zmieniał ludzi na lepsze.

– *Znam Twój głos, Bezcielesna, chociaż nigdy mnie nie wyznawałaś.* – Potężny głos odezwał się w głowie Kai. – *Jako boga nigdy nie stawiałaś mnie wysoko w hierarchii, ale wysłucham cię z trzech powodów. Czy ci pomogę? Jeszcze nie wiem.*

– *Z jakich powodów chcesz mnie jednak wysłuchać, Wielki Strzybogu?* – Kaja pochyliła z szacunkiem głowę.

– *Jesteś Bezcielesną, byłaś nadzieją starego świata. To pierwszy powód, obowiązek. Jesteś ostatnią z Bezcielesnych, zniknęłaś na ponad siedemset lat, sądziłem, że nie żyjesz. To drugi powód, ciekawość. Trzeci powód to nuda. Przez bardzo długi czas nikt mnie nie wołał...* – Głos boga grzmiał w jej umyśle.

– *Wielki Strzybogu, co się stało z innymi bogami? Co z moim Perunem?* – wysłała w przestrzeń kolejne pytanie. Strzybóg chętnie odpowiedział na pierwsze. Czuła w jego myślach uczucie samotności. Bóg był samotny, nie mieściło jej się to w głowie.

– *Wszyscy inni bogowie milczą od wieków, nie odpowiadają, nigdzie ich nie ma. Mój wiatr przeszukał cały świat.*

– *Nie żyją?* – Kaja była przerażona.

– *My nie umieramy, jedynie kończymy nasze istnienie, czasem na pewien czas, a czasem ostatecznie.*

– *Odwróć to wszystko, Strzybogu... – Łzy popłynęły jej po policzkach.*

– *Tego i bóg nie zdołałby zrobić. Już za późno.*

– *A dlaczego ty nie przerwałeś istnienia, wielki Strzybogu?*

– *Od kilku wieków próbuję sobie odpowiedzieć na to pytanie, Bezcielesna. A bardzo nie lubię pytań bez odpowiedzi. Trwam mimo braku wyznawców. Słabnę, ale trwam. Nadal jak powietrze docieram wszędzie, słyszę nadal wszystko. Nadal wierzę, że nawet najdelikatniejsze tchnienie wiatru może zmienić los człowieka i ludzkości.*

– *Potrzebuję twojej pomocy, Strzybogu!* – wysłała do boga błagalną myśl.

– *Widzę, że chcesz uratować tego człowieka w bieli. Widzę to w twoich myślach. Nie rozumiem jednak dlaczego. On nie ma nic wspólnego z naszą starą wiarą.*

– *Nie ma, Strzybogu, to prawda. Ale ludzie w tych czasach też zasługują na pokój.*

– *Nie pomogę ci. To, że jesteś Bezcielesną, to za mało.* – Głos boga był twardy i zdecydowany.

– *A jeżeli dam ci coś w zamian, czy wtedy mi pomożesz?*

– *Cóż może dać bogu kilkunastoletnia dziewczynka?* – W głosie boga zabrzmiała ciekawość.

– *Ta dziewczynka da ci odpowiedzi.*

– *Jakie odpowiedzi?* – Teraz Strzybóg był naprawdę zaintrygowany.

– *Na pytania, na które nie znasz odpowiedzi. Dlaczego zakończyli istnienia Perun, Wales, Mokosz, Dadźbóg, a ty wciąż trwasz.*

– *Skąd znasz te odpowiedzi? Nie widzę ich w twoim umyśle. Kłamiesz!* – zirytował się bóg.

– *Nie znam ich teraz, Strzybogu, ale wybieram się do osoby, która zna odpowiedzi. Ona czeka na mnie. Gdy do niej dotrę, dowiesz się wszystkiego.* –

Kaja wysłała tę myśl, a Strzybóg przez dłuższą chwilę się zastanawiał.

– *Dobrze, Bezcielesna. Pomogę ci. Jestem bogiem sprawiedliwym i uczciwym, więc powiem ci, że w tych czasach jestem w stanie zaoferować ci jedynie niewielki wietrzyk.*

– *Nie szkodzi, Strzybogu. Ja, podobnie jak ty, wierzę, że nawet lekki wietrzyk może zmienić oblicze ziemi, tej ziemi.*

\*

Marek obserwował czujnie Kają. Płakała. Podejrzewał, że z powodu pełnych charyzmy słów papieża. Tak się nie zachowuje czarownica. Poczul w końcu spokój.

## Rozdział 17.

### Narada

Biskup Jan Muskata dokładnie zamknął zasuwę drzwi swojej izby. Umeblowanie jej było bardzo skromne, ale w porównaniu z lochem panowały tu wygody. Był prosty stół, krzesło i schludnie wyglądający siennik. Nie chciał zamieszkać w pałacu papieskim, mimo iż kamerling wystosował taką propozycję. Tutaj czuł się bezpieczniej. Wybrał skromną izbę w karczmie na ruchliwej ulicy. Znał karczmarza od wielu lat. Bronisław Kowal, jego rodak, wiele mu zawdzięczał. Dlatego tu zamieszkał na pewien czas. O miejscu swojego pobytu nie powiedział nawet kamerlingowi na wypadek, gdyby jego umysł miała przejrzeć jakaś wiedźma. O tym, gdzie się zatrzymał, wiedziała tylko Aisha. Obiecała nad nim czuwać. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale ufał tej czarownicy. W zasadzie tylko jej.

Był bardzo zadowolony z dzisiejszego dnia. Kwestia beatyfikacji von Rapparda najprawdopodobniej upadła ostatecznie albo przynajmniej znacznie oddaliła do czasu zakończenia wnikliwego śledztwa, które zarządził kamerling. Śledztwo to oczywiście miało mieć charakter tajny. Lepiej dla Kościoła, aby o fakcie, że toczy się śledztwo dotyczące konszachtów byłego papieża z demonem, wiedziało jak najmniej osób. Wybrano grupę pięciu śledczych kardynałów, którzy mieli wybrać się do Akwizgranu na wizytację diecezji von Rapparda oraz miejsca jego zgonu. Śledczym miał przewodniczyć Jacques d'Euse, jeden z umiarkowanych kardynałów francuskich, przyjaciel kamerlinga. Planowane było przedstawienie wyników śledztwa za trzy miesiące w Lateranie.

Do czasu zakończenia śledztwa przesunięto też konklawe i z tego Muskata też bardzo się cieszył. Istniała bowiem obawa, że nowo wybrany papież z frakcji Rycerzy Chrystusa będzie chciał ukręcić łeb śledztwu. Istniała także jeszcze nikła szansa na odnalezienie pamiętnika Rebekki, co pogrzebałoby ostatecznie ideę krucjaty, ale obawiał się, że de Millow już go zniszczył. Ciekawe, gdzie ten rzezimieszek się ukrył.

Muskata ułożył się w swoim sienniku i delektował się ciepłem. Oczekiwał na nadejście snu. Studził emocje. Chciał porozumieć się z Aishą.

– *Witaj, czarownico!* – Wysłał do niej myśl, kiedy tylko jego sen osiągnął odpowiedni poziom.

– *Witaj, biskupie Janie. Przeglądamy właśnie z Rebeccą umysły uczestników waszego spotkania w arcybazylice. Gratuluję kolejnego doskonałego przedstawienia!* – Z umysłu Aishy biło zadowolenie. – *Twoje wejście zrobiło niesamowite wrażenie.*

– *Myślę, że moje pojawienie się tam zakończyło współpracę pomiędzy biskupem Ambrosio i hrabią de Millow. Ambrosio wyglądał na wściekłego.*

– *Nadal jest. Wyśle ludzi, by szukali hrabiego. Chce położyć swoją łapę na pamiętniku. Chce go przeczytać i od razu zniszczyć. Wie, że jeżeli pamiętnik wpadnie w ręce kamerlinga, to może zapomnieć o wyborze na papieża. Tak mu też doradzała Greta, by dopilnował zniszczenia pamiętnika.* – W myślach czarownicy odczytał niepokój.

– *Widziałaś to w ich snach, Aisho?* – zapytał.

– *Tylko w jego myślach, Janie. Ona chyba w ogóle nie sypia. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale nie sposób odnaleźć jej myśli. Podobnie jak myśli tej czarownicy Lilith. One też są niewidoczne, niedostępne. A przecież jest w pobliżu Lateranu, wczoraj spotkała się z Ambrosio.* – Niepokój Aishy był coraz większy.

– *Może obie są po prostu potężniejszymi czarownicami od ciebie, Aisho* droga – próbował zażartować. Czarownica nie odpowiedziała, tylko zatopiła się w myślach, a Mustata zobaczył w nich wątpliwości, czy Greta i Lilith są w ogóle

ludźmi. Gdy ta jej myśl do niego dotarła, wzbudziła w nim taki niepokój, że niemal wybudził się ze snu.

– *Kim może być, jak nie człowiekiem?* – Wysłał myśl, gdy tylko opanował emocje.

– *Na Boga, Janie, ty czytasz z moich myśli jak z otwartej księgi!* – W myślach czarownicy było szczere, głębokie zdziwienie i podziw, ale nie było złości. – *Rebecca miała rację. Mówiła mi, że nieraz mnie zadziwisz, biskupie Janie.*

– *Dziś czuję się stabilniej w naszym sennym połączeniu* – przyznał Muskata. – *Zapewne dlatego, że nie leżę już na posadzce.*

Po wysłaniu myślą tych słów napłynęło do niego uczucie rozbawienia Aishy.

– *Nie dlatego, Janie. Masz talent do panowania nad emocjami i dar szybkiego uczenia się. Rebecca mówiła mi o tym i to prawda.*

– *Kim może być ta Greta, jeżeli nie człowiekiem, Aisho?* – Wrócił do zagadnienia, które go niepokoiło.

– *Rebecca nie chciała mi odpowiedzieć na to pytanie, biskupie Janie.* – Muskata czuł, że mówi prawdę. – *Ale powiedziała mi, że wie, jak sprawdzić, czy jest człowiekiem.*

– *Jak?*

– *Powiedziała, że współpracując, będziemy mogły sprawdzić, czy jej imię jest zapisane w Boskiej Księdze Życia.*

– *Niby jak?* – To było dla niego zupełnie nie do pomyślenia.

– *Jeszcze tego nie wiem, biskupie Janie. Czy myślisz, że to niemożliwe?*

– *To niewyobrażalne, Aisho.*

– *Rebecca mówiła, że tam są zapisane imiona wszystkich istot mających szansę na zbawienie i oczekujących na zbawienie od Boga. Czyli wszystkich żyjących ludzi. Jeżeli jest innym stworzeniem, to jej imienia tam nie będzie i nigdy nie było.*

– *Człowiek nie może mieć dostępu do Księgi Życia, czarownico.* – Biskup wysłał zdecydowaną myśl.



– Według Rebekki dwie siostry bliźniaczki, czarownice takie jak my, z których jedna jest tu, a druga w zaświatach, mogą tam zajrzeć.

– Nie uwierzę, że to możliwe, Aisho. Nie traćcie czasu. Lepiej poszukajcie z Rebeccą hrabiego de Millow i pamiętnika.

– Nie musisz wierzyć Janie, że to możliwe. – W myślach Aishy pojawiło się rozbawienie. – A de Millowa szukać nie musimy. Już wiemy, gdzie jest.

– O matko! Gdzie się schował ten rzeźnik?! – W głowie biskupa rozbłysła nadzieja na odzyskanie pamiętnika Rebekki i udowodnienie gronu kardynalskiemu, że mówił prawdę.

– Jest w drodze do Akwizgranu.

– Akwizgranu? Ryzykuje. Tam będą go szukać na pewno. Dlaczego jedzie do Akwizgranu?

– Bo tam ukrył pamiętnik, Janie. – Czarownica się roześmiała. Muskata czuł, że mówi prawdę.

– To nie ma go przy sobie? Nie wbiegł do swojej izby w pałacu, by go zabrać i zniszczyć? – Emocje znów o mały włos nie wybudziły biskupa ze snu.

– Zostawił go w Akwizgranie, Janie, gdy pojechał tam z von Rappardem, by szukać cyrografu, a do izby wbiegł wczoraj po sakwę ze zgromadzonym złotem. Chciał ją zabrać, bo wiedział, że w Lateranie już jest spalony.

– Czyli jest szansa, że nie zdąży go zniszczyć, Aisho.

– Istnieje taka szansa, aczkolwiek on chce od razu go spalić, jak tylko będzie miał go w swoich rękach.

– Nie zdążymy przed nim dotrzeć do Akwizgranu. – Biskup posmutniał.

– Nie zdążymy, drogi Janie. Ale Rebecca chce podsunąć mu pomysł, żeby nie niszczył pamiętnika, że on może być bardzo cenny.

– Podsunąć pomysł, ale jak?

– We śnie, Janie, zaszczerpi w nim żal przed utratą czegoś, za co może dostać bardzo dużo złota. Rebecca przejrzała jego umysł i twierdzi, że jest duża szansa, że jej się to uda.

– *Niesamowite...* – Jan nie mógł wyjść z podziwu.

– *De Millow domyśla się, że jest ścigany, drogi Janie. Będzie bardzo ostrożny i będzie podążał szybko. Pościg za nim już ruszył.*

– *Kto go ściga?* – zapytał Muskata, choć już widział odpowiedź w myślach Aishy.

– *Już tropi go oddział gwardii szwajcarskiej wysłany przez kamerlinga, ale poruszać się będą powoli. Nie znają celu jego podróży. Tropią go, rozpytują o niego, a to spowalnia pościg.* – W myślach Aishy zobaczył stojącego w pozycji zasadniczej kapitana gwardii szwajcarskiej. – *Co więcej, jutro z Lateranu do Akwizgranu wyrusza grupa śledczych pod przewodnictwem biskupa Jacques’a d’Euse mających przeprowadzić kościelne śledztwo na temat von Rapparda. Ci śledczy zapewne wyprzedzą w drodze gwardzistów z grupy pościgowej.*

– *Zapewne będzie, jak mówisz, Aisho.* – Muskata zamyślił się głęboko.

– *Zgadzam się z twoimi myślami, biskupie Janie. Wszyscy zmierzają do Akwizgranu. Zapewne tam znów rozstrzygnie się przyszłość Kościoła.*

– *Masz rację, droga Aisho. Pozostaje pytanie, czy chcemy pozostawić wydarzenia swojemu biegowi, czy też spróbujemy pomóc im potoczyć się w pożądanym przez nas kierunku...*

– *Ty zdecyduj, drogi biskupie. Tak naprawdę bardzo dużo już zrobiłeś dla prawdy i dla dobrego wyboru władz Kościoła, ale jeśli chcesz, możemy jeszcze pomóc wydarzeniom i spróbować znaleźć pamiętnik. Rebacca i ja pomożemy ci, jeżeli tylko wyrażasz takie życzenie. Chcemy tylko, byś nas potem wyspowiadał, drogi biskupie.* – W myślach czarownicy zobaczył szczere pragnienie oczyszczenia. Zobaczył w nich też miłość do siostry.

– *Dobrze, Aisho. Wyspowiadam was* – obiecał Jan Muskata. – *Zatem wszystko ustalone. Jutro ruszamy do Akwizgranu.*

## Rozdział 18.

### Trzecia bliźniaczka

Marek Kunicki i Kaja Niecieczanka przekroczyli granicę pomiędzy RFN i NRD na przejściu granicznym kolejowym Hermburg-Lübeck, a granicę pomiędzy NRD a PRL w Turoszowie. Przekroczenie obu granic odbyło się bez żadnych problemów. Marek wierzył głęboko, że ten brak problemów wynikał z dobrze przygotowanych dokumentów Kai. Odrzucił możliwość, że owa bezproblemowość wynikała z dziwnego spojrzenia, jakim Kaja obdarzyła funkcjonariuszy służb granicznych na obu przejściach. Obiecał sobie przecież, że zostawi już ostatecznie zagadnienie związku Kai z czarami.

Pociąg był dla Kai fascynującym środkiem transportu. Nie mieściło jej się w głowie, że mogą znaleźć się w Kielcach, czyli starych Kiełcach, w ciągu jednej wędrówki słońca po niebie. Przemierzenie tej odległości w drugą stronę z Radosławem zajęło im przecież ponad pół księżycowego miesiąca.

Na myśl o Radosławie z Niecieczy zawsze chciało jej się płakać. Nie mogła zapomnieć tego obrazu, gdy jej Radek z uniesionym mieczem przeskakiwał przez ogrodzenie, atakując Luxferrusa. Gdy Marek nakazał jej wybrać sobie jakieś nazwisko, na cześć Radka postanowiła nazywać się Niecieczanka. Marek nie mógł zrozumieć, jak w swoich czasach mogła funkcjonować bez nazwiska. Dla niej było to jednak zupełnie naturalne. Na początku była po prostu małą Kają, potem Kają z Biskupic, a potem, gdy trafiła do chramu Peruna, była już tylko Rowenną.

Gdy wysiedli z pociągu, przenocowali w Kiełcach i rano ruszyli autobusem. Kaja miała wrażenie, że autobus przywiózł ich pod same podnóże góry. Wysiedli zaraz za dużą zieloną tablicą z napisem „Święta Katarzyna”. Takiej wsi za jej

czasów tutaj nie było. Ani kościoła, który obecnie górował nad innymi zabudowaniami. Dalej poszli pieszo. Na górę nie prowadziła już wąska ścieżka, którą pamiętała tak dobrze, ale szeroki i wygodny trakt pieszy z drewnianymi poręczami i schodami. Minęli wielką, czerwoną, niemal krzyczącą tablicę z napisem „Świętokrzyski Park Narodowy”. Wciąż mijali schodzących z góry hałaśliwych, kolorowo ubranych turystów. Niedługo już będą na miejscu.

– Czy jesteś pewna, że spotkasz tu kogoś z twoich czasów czekającego na ciebie? – Marek wyraził na głos jej własne wątpliwości, gdy mijali kolejną grupę turystów.

– Muszę w to wierzyć, Marku. Tak wierzę... – odpowiedziała dziewczyna. Przypomniała sobie, że jeszcze kilka dni temu słyszała stąd wołanie. Było bardzo słabe, ale głos odzywał się regularnie, co kilka świtów, bardzo wczesnym rankiem.

– Zobacz, drogowskaz. Dobrze idziemy. – Marek wskazał na drogowskaz ze strzałką podpisaną „Łysica”.

– Wiem, że dobrze. Tylko to nie jest żadna Łysica, lecz Łysa Góra! – Liczba zmian, które pojawiły się w świętym dla niej miejscu, zirytowała ją. – Jeszcze tylko kilka wysokości drzew i będziemy na miejscu, Marku – dodała, słysząc, jak jej towarzysz sapie z wysiłku podczas wspinaczki po kamienistym szlaku. Jak na późną jesień było naprawdę ciepło.

– Dzięki Bogu... – sapnął mężczyzna i przyspieszył, by nie okazywać słabości przed dziewczyną.

– Myślę, że to nie jest zasługa twojego Boga, że już niedaleko szczytu... – zaczęła się droczyć dziewczyna, ale zasapany Marek nie podjął tego tematu.

Szeroki i wygodny szlak po kilku minutach doprowadził ich na szczyt. Kaja ze zgrozą spostrzegła duży drewniany krzyż ustawiony w miejscu, gdzie wcześniej spoczywał zwykle ich święty głaz szczytowy.

– Niczego ta wasza wiara, Marku, nie potrafi uszanować. Wszystkie święte miejsca wasi kapłani muszą sprofanować tymi krzyżami!

Mężczyzna, słysząc te słowa, spojrział na nią. Nie mógł uwierzyć, że dobrze słyszy, ale gdy dostrzegł jej zaciśnięte ze złości szczęki, zrozumiał, że te słowa naprawdę padły z jej ust.

Na szczycie hałasowała jakaś grupa młodzieży obficie racząca się piwem. Wokół pozostałości jej świętych kamieni walały się liczne puste butelki. Jeden z wyrostków zwrócił na nią uwagę, włożył palce do ust i gwizdnął zachęcająco.

– Marku, zabierz ich stąd, proszę, bo ja im mogę zaraz zrobić krzywdę... – Twarz Kai wyrażała wściekłość.

– Ale jak mam ich stąd zabrać? – niepewnie zapytał Marek.

Kaja, widząc, że Marek nie będzie w żaden sposób interweniował, uniosła szybko ręce wysoko w górę i zaciśnęła pięści, a potem wypowiedziała jakieś nieznanne słowo i opuściła je gwałtownie.

Z nieba w jednej chwili spadły hektolitry wody. Nie był to zwykły deszcz. Zjawisko wyglądało tak, jakby wszyscy na szczycie góry znaleźli się nagle pod wodospadem. Woda była przejmująco zimna. Przez szum oberwania chmury przebijały się wrzaski nastolatków. Ślizgając się po błotnistym podłożu, objając o liczne leżące na ziemi głazy i wrzeszcząc ze strachu i zaskoczenia młodzi ludzie ruszyli ze szczytu i biegli niżej, by szukać pod drzewami ochrony przed sieczącą z góry zimną ulewą. Trwało to dobrą minutę, zanim szczyt wzgórza opustoszał. Wtedy Kaja otworzyła dłonie. Deszcz ustał tak samo gwałtownie, jak się rozpoczął.

Marek stał przemoknięty do suchej nitki, zziębnięty i patrzył na Kaje zbaraniały. Nie czuł chłodu, tylko przerażenie. Pierwszy raz widział coś takiego. Takie panowanie nad zjawiskami przyrody. Wróciły do niego wyparte wcześniej wspomnienia o tym, jak spotkał staruszkę Jagę, gdy szukał Kai na wzgórzu Schlangenberg. Był teraz pewien, że Kaja jednak jest czarownicą. Co ona teraz z nim zrobi?

– Nie bój się, Marku. – Ton dziewczyny koił jego lęk. – Przepraszam cię za to wydarzenie. To dla mnie święte miejsce. Musisz zrozumieć. Oni urządzili tu

pijacką zabawę.

– Rozumiem.

Ton dziewczyny, a przede wszystkim jej spojrzenie uspokajały go. Jednak wewnątrz cały dygotał.

– Chodźcie, chodźcie, już po deszczu! – Jeden z wyrostków wracał na szczyt po pozostawioną niedokończoną butelkę z piwem.

– Precz, kmiecie! – Rozkaz wypowiedziany przez Kaję, mimo że nie był skierowany do Marka, wywołał u towarzysza Kai chwilowy ból całego ciała, a następnie uczucie przerażenia i pragnienie ucieczki. Wpływ na młodocianych, do których te słowa były skierowane, był najwyraźniej podobny, jak nie większy, bo z panicznym okrzykiem przerażenia zostawili wszystko i czmychnęli z zasięgu wzroku. Odgłosy oddalających się wrzasków towarzyszyły im jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem ucichły. Marek stał ciągle w jednym miejscu. Nie mógł się ruszyć. Drżał.

– Nie bój się, Marku. Nic ci nie grozi. Jesteś moim przyjacielem. – Głos Kai ponownie uspokajał jego zmysły i umysł.

Zostali sami na kamienistym szczycie. Tuż obok wznosił się wysoki drewniany krzyż. Marek uspokoił się, ale Kaja czuła, że wewnątrz nadal drżał. Dziewczyna się rozejrzała. Wokół krzyża leżały liczne głazy. Pamiętała niektóre z nich. Służyły do ustawiania kręgu. Pamiętała strzygi, które je rozstawiały przed nabożeństwami. Niektórych gładów po kształcie nie rozpoznawała. Skąd się tu wzięły? Ktoś je wtoczył na taką dużą górę... Odkąd weszli na ten szczyt, czuła, że coś jest nie tak. Jednak coś tu się nadal ukrywa.

– Ustąp!

Markowi wydawało się, że to jedno słowo wypowiedziane przez Kaję zmienia coś w jego oczach.

To słowo zrzuciło z nich bielmo, jakąś nieświadomioną kurtynę przesłaniającą rzeczywistość. Obraz był niby taki sam, ale jednocześnie nie taki sam. Nagle było w nim znacznie więcej szczegółów. Niektóre kamienie leżące

wokół krzyża nabrały ludzkich kształtów. Wyglądały jak zgięte w pół i zwinięte w kłębek postacie ludzkie. Wcześniej nie był w stanie tego zobaczyć.

Kaja chodziła wokół i przyglądała się głazom. Wyglądało na to, że szuka jakiegoś konkretnego. Zatrzymała się na dłużej przy jednym, bardziej zaokrąglonym. Położyła na nim dłoń.

– Wstań! – Kaja wypowiedziała to słowo, a Marek z przerażeniem zobaczył, że głaz zaczyna się poruszać. Mężczyzna krzyknął ze strachu.

– Co on tak wrzeszczy? – powiedział głaz z wysiłkiem i wtedy Marek stracił przytomność. – Co on tak wrzeszczy, dziecinko?

Skamieniała postać budziła się z letargu. Mówiła bardzo powoli. Skamienienie odpuszczało powoli. Zamieniało się w kruchość. Z budzącego się ciała sypał się proch. Było niekompletne. Zniszczone erozją, ale żywe.

– Bogowie słodcy! Ty żyjesz, cioteczko Trietia! – Kaja rzuciła się rozcierać usztywnione członki obudzonej postaci. Zobaczyła, że ciało kobiety kruszy się bardzo łatwo, i zaprzestała tej czynności. Kamienne oczy wieszczki płakały ze szczęścia, a jej okrągła buzia o mało inteligentnym wyglądzie osoby upośledzonej umysłowo promieniała szczęściem.

– Wróciłaś, dziecinko! Wiedziałam, że wrócisz! Przepowiedziałam to! – Trietia zachichotała z wielkim trudem. Usta kruszyły się podczas wypowiedzania słów, ale szeroko się uśmiechała.

– Tyle lat straciłam, cioteczko. Zaraz ci wszystko opowiem. Co z twoimi siostrami, cioteczko? – Kaja się rozejrzała. Wokół było kilka innych znajomych skamieniałych postaci.

– Na twoje opowieści chyba nie będzie czasu, dziecinko. A moich sióstr już nie ma. Pierwaja i Wtaroja nie wytrzymały tak długo w kamieniu. Przestały odpowiadać na wołania już dawno temu, i one, i leżąca tam Mamuna... – Trietia wskazała wzrokiem inny dużej wielkości kamień o ludzkim kształcie.

Tak, to była skamieniała Mamuna, boginka Łysej Góry i główna kapłanka chramu oraz całej społeczności świątynnej. Gruby brzuch, chude, umięśnione

nogi, chude i obwisłe niemiłosiernie piersi. Tak, to była ona. Kaja nie miała wątpliwości. Zapłakała.

– Nie płacz, dziecko. – Wieszcza próbowała zachichotać swoim zwyczajem.  
– One wszystkie w końcu uwierzyły mojej wróżbie, że wrócisz. Postanowiły czekać ze mną w kamieniu, bo wiedziałam, że przyjdzie poczekać bardzo długo. Ale udało się.

– Całe szczęście, że choć tobie się udało, cioteczko. Ale jak to zrobiłaś? – Kaja z przyjemnością wpatrywała się w rozpromienioną, okrągłą jak księżyc w pełni twarz wieszczki.

– Pamiętasz moją wróżbę dotyczącą ciebie, drogie dziecko? – Trietia uśmiechnęła się jeszcze szerzej, co nadało jej twarzy jeszcze bardziej głupkowaty wygląd, lecz mówiła bardzo poważnym głosem.

*Patrzcie, siostry me...*

*Dalej spojrzeć trza...*

*Gdzie kapłanka ta...*

*Dalej przyszłość ma...*

*Czy widzicie to?...*

*Ach siostrzyczki me...*

*Spójrzcie poza mgłę...*

*Spójrzcie obydwie...*

– Pamiętam, cioteczko! – Kaja miała ściśnięte gardło.

To wydarzyło się tak dawno i tak niedawno jednocześnie.

– Nie zwątpiłam ani przez moment, że się spełni. To utrzymało mnie przy życiu. Wiedziałam, dziecko, że w końcu pokonasz zło. Moje wróżby zawsze się spełniały... – Słabym głosem, bardzo powoli, ale z szerokim uśmiechem Trietia wypowiadała kolejne słowa.



– Tylko co teraz, cioteczko? Wszystko stracone. Większość bogów zakończyło istnienie. Mój Radek nie żyje. Wszystko przepadło, cioteczko... – Kaja wtuliła się w kruchą, chłodną, częściowo kamienną sylwetkę wieszczki.

– To prawda i nieprawda zarazem, dziecino. – Trietia zachichotała rubasznie i mało inteligentnie. Z jej obfitego brzucha, gdy podskakiwał podczas śmiechu, sypał się pył.

– Jak to „prawda i nieprawda zarazem”, cioteczko? – W głosie Kai pojawiła się nieśmiała nadzieja.

– Wszyscy bogowie rzeczywiście nie żyją, dziecino, ale nie wszystko stracone. Nie zapominaj, gdzie jesteś. Jesteś na Łysej Górze – wysepleniła Trietia i próbowała zaklaskać radośnie w dłonie swoim zwyczajem, ale szybko przestała, gdy zobaczyła, jak szybko się kruszą i obsypują.

– Strzybóg żyje, cioteczko. – Kaja się cieszyła, że może przekazać dobrą wiadomość. – Rozmawiałam z nim niedawno. Obiecał mi pomóc uratować dobrego człowieka. Oczywiście jak da radę.

– Och, ten niedoceniany przez wieki Strzybóg. Jak to nie można nikogo łatwo osądzać po pozorach... – Wieszczka wysunęła język, co nadało jej twarzy jeszcze mniej inteligentny wyraz. – Czasem przetrwają niepozorni, a potężni upadną. Jeżeli wszędobylski bóg wiatru przetrwał gdzieś w ciszy i taka prosta wieszczka jak ja też, to chyba i dla takich siłaczy jak twój Radosław jest nadzieja – zachichotała Trietia. – Widziałam w nim wielką wolę życia dla ciebie, dziecino.

– Och, cioteczko... – Kaja wtuliła się jeszcze bardziej w korpulentną postać wieszczki.

– Strzybóg rzadko jest chętny do pomocy. Nie przepada za ludźmi, bo niewielu go wyznaje i poważa. Jak go przekonałaś, by ci pomógł, dziecinko? – wysepleniła z zainteresowaniem Trietia.

– Obiecałam mu odpowiedź na nurtujące go pytanie, ale nie znam tej odpowiedzi. Mam nadzieję, że ty ją znasz, cioteczko.

– Ależ jesteś spryculą, dziecino – zachichotała głupkowato wieszczka. – A cóż to za pytanie?

– Obiecałam mu odpowiedź na pytanie, dlaczego on nie zakończył istnienia, skoro inni wielcy bogowie zakończyli. – Kaja z nadzieją spojrzała na wieszczkę o niemądrym wyrazie twarzy.

– Nie znam pewnej odpowiedzi na jego pytanie. Mam jedynie podejrzenia, moje dziecko. Bogowie kończą istnienie z powodu deficytu wyznawców. Deficyt wyznawców towarzyszył Strzybogowi zawsze, więc nauczył się z tym lepiej istnieć od innych bogów. Zgorzkniał jeszcze bardziej zapewne, ale przetrwał, a ci, których wyznawały tłumy, odeszli, dziecinko. Ale to są jedynie moje podejrzenia. Nie wiem tego na pewno – odpowiedziała Trietia, a słysząc to, Kaja posmutniała.

– Nie mogę udzielić bogu odpowiedzi, która może okazać się nieprawdą, cioteczko. Nawet jeżeli brzmi tak prawdopodobnie jak ta.

– Zupełnie niepotrzebnie się o to martwisz, dziecinko. – Wieszczka zachichotała znowu pomimo tak poważnego tematu rozważań i pokazała nagie dziąsła. – Niepotrzebnie się martwisz, bo nie wiesz dziś tak naprawdę, czy Strzybóg w ogóle dotrzyma danego ci słowa ani czy zdoła dokonać w przyszłości tego, co ci obiecał. Pamiętaj też, że jeżeli uda ci się uratować nasz świat starych wierzeń, wasza rozmowa i złożone wzajemnie obietnice w ogóle się nie zdarzą. Postaraj się spełnić swoje zadanie, a jak ci się uda, to do twojej rozmowy ze Strzybogiem, o której mi powiedziałaś, ani do złożenia obietnic w ogóle nie dojdzie.

– Nie rozumiem, cioteczko. – Kaja miała chaos w głowie. – Jak ja mam uratować nasz świat, skoro bogowie już odeszli? Nawet mój Perun. Przecież nie cofnę tego czasu, a nawet gdybym potrafiła to zrobić, to i tak nie pokonam tych złych mocy. Jak może nie dojść do mojej rozmowy ze Strzybogiem, która już się odbyła, cioteczko? Nic a nic ciebie nie rozumiem.

– Och, dziecinko, przecież nie tkwiłabym w tym kamieniu siedemset lat i nie wołała ciebie z tak odległego zakątka świata, gdyby nie było żadnej szansy.

Kaja patrzyła na głupekowato uśmiechniętą twarz wieszczki i po raz pierwszy pomyślała, że tamta jest niespełna rozumu.

– Kaju, kim jest ta kobieta?

Do rozmowy nagle wtrącił się Marek, który ocknął się w międzyczasie i teraz stał, patrząc z przerażeniem na splekaną, kruszącą się, na pół kamienną, a na pół cielesną postać wieszczki.

– To jest Trietia, Marku, wieszczka z moich czasów – spokojnym głosem wyjaśniła dziewczyna.

– Ale ludzie tyle nie żyją... – W głosie mężczyzny słyhać było lęk. – Chyba postradałem zmysły.

– Lepiej pozwól mu pospać, dziecinko, bo naprawdę postrada zmysły.

Wieszczka uśmiechnęła się dobrotliwie do mężczyzny, lecz widok kruszących się bezzębnych dziąseł sprawił, że zaczął jeszcze bardziej drżeć.

– Zaśnij! – Kaja wypowiedziała rozkaz i chwilę potem Marek leżał między kamieniami i oddychał spokojnie.

– To twój towarzysz? – Staruszka patrzyła na śpiącą postać. – Widzę, że to dobry człowiek.

– To mój przewodnik, cioteczko. Bardzo mi pomógł tutaj dotrzeć. Pomógł mi mimo swoich lęków, że jestem czarownicą.

– Czarownicą? – Wieszczka zatrzęsała się ze śmiechu tak mocno, że obsypał się na ziemię całkiem spory kawał jej obfitego brzucha. – Taką, co ma konszachty z chrześcijańskimi diabłami i często spółkuje z nimi?

– Chyba tak...

Śmiech wieszczki udzielił się także dziewczynie, która również zaczęła chichotać.

– Dobrze jest się pośmiać, dziecinko, ale przed tobą jeszcze daleka droga – powiedziała zagadkowo wieszczka.

– Co masz na myśli, cioteczko? – Głos dziewczyny też w jednej chwili stał się poważny.

– Czy wiesz, jak powstała Łysa Góra, dziecinko? Potrafisz spojrzeć w jej przeszłość? – Trietia znów patrzyła na nią z głupkowskim uśmiechem.

Kaja wejrzała w głąb góry. Zawsze, gdy to robiła, podobnie i tym razem, wyczuwała w niej nieprzebrane ilości duchów.

– W górze jest mnóstwo duchów, cioteczko.

– Tak, dziecinko. – Wieszcza uśmiechała się do niej, ale jej wzrok był tym razem poważny. – W tym miejscu przed niezliczonymi wiekami nie było w ogóle góry. Mokosz wybrała miejsce w dolinie na swój chram, swoją świątynię. Członkinie społeczności nie chciały po śmierci gnić w ziemi. Boginki używały zatem kamiennej magii i ciała naszych sióstr stawały się kamiennym fundamentem świątyni. Stąd wzięła się ta góra. Usypana ze skamieniałych boginek, wieszczek, szeptuch, strzyg, południc, rusałek, topielic, biesów i innych stworzeń. Obecnie to największa z okolicznych gór, dziecinko. Stąd tyle tu kamieni. Gdzie nie spojrzysz, widzisz fragmenty ciał społeczności Łysej Góry.

– Ale dlaczego mi to wszystko opowiadasz, cioteczko? – Kaja czuła, że ma to jakieś szczególne znaczenie.

– Łysa Góra była od zawsze, dziecinko, przez wszystkie dotychczasowe czasy, zawiera w sobie duchy wszystkich czasów i mądrość wszystkich czasów. Jeżeli cokolwiek może pomóc naprawić przeszłość, to właśnie ta góra, dziecinko.

– Ale jak, cioteczko? Jak ta góra może pomóc?

– Rozmawiałam z Mamuną, dziecinko. To, co zaplanowałyśmy, nigdy nie było dotąd przeprowadzane. Nigdy nawet nie było prób, lecz czas próby nadszedł. Musimy spróbować, a co z tego wyjdzie, zobaczymy... A właściwie to tylko ty zobaczysz, dziecinko, bo mój czas dobiega końca.

– Co zaplanowałyście z Mamuną? – W głosie Kai słychać było niepokój, ale i wielką nadzieję.

Trietia nachyliła się do jej ucha i szeptała.

– O bogowie! Czy to w ogóle możliwe? Kiedy chcesz, żebyśmy to zrobiły?

– Teraz, dziecinko. Nie mam dużo czasu. Nie ma na co czekać.

– Daj mi jedną chwilkę, cioteczko. Obiecałam coś jeszcze Markowi.

Pobiegła szybko i na dłuższą chwilę zniknęła wśród drzew. Gdy wróciła, niosła gliniany dzban. Położyła go przy śpiącym Marku.

– Teraz jestem gotowa.

Kaja zobaczyła, jak usta staruszki rozciągają się w typowym dla niej głupawym, bezzębnym uśmiechu.

– Podejź, dziecinko. To będzie szalone jak jazda na oklep na dzikim stepowym koniu, i to tyłem do kierunku jazdy – zachichotała rubasznie. – Zupełnie nie wiem, co nam z tego wyjdzie, ale dlatego tak mi się to podoba. Zaczynamy, dziecinko...

Trietia zaczęła wypowiadać słowa formuły.

Kaja zaczęła wypowiadać słowa mocy.

Góra odpowiedziała.

Trietia się rozsypała i pozostała na wieki częścią góry.

Słońce ruszyło wstecz z zachodu na wschód.

Zapadły ciemności.

## Rozdział 19.

### Pościg

Hrabia Herold de Millow uciekał już szósty dzień. Co drugą noc, jeżeli tylko księżyc i gwiazdy wystarczająco przyświecały, również się przemieszczał. Jeśli spał, to bardzo niespokojnie. Spodziewał się pogoni, ale bardziej się obawiał, że ktoś wpadnie na pomysł, by puścić szybkiego posłańca do Akwizgranu, żeby tam go aresztować, gdy tylko się pojawi. Musiał zatem podróżować szybciej od potencjalnego posłańca. Schudł, był wyczerpany i śpiący, lecz nie mógł pozwolić sobie na zwłokę.

Nie mógł pojąć, jak to się stało, że tak uwierzył temu przebiegłemu biskupowi z Cracovii. Miał go przecież w ręku, w lochu, a ten klecha go wykiwał. Nie rozumiał, skąd ten Muskata miał takie informacje, które go zmyliły. Musiał mieć poważnych protektorów. A jakich protektorów ma teraz on, hrabia de Millow? Ściga go teraz cały Kościół. Nawet biskup Ambrosio chętnie utopiłby go w łyżce wody za to wypuszczenie z lochu biskupa Muskaty. Wszyscy go wykołowali, Muskata, ta posługaczka Greta... Wszyscy po kolei.

Ale wierzył, że los się odwróci. Odbierze ten pamiętnik. Ukryje go w innym, bezpiecznym miejscu, a gdy von Rapparda uczynią świętym, sprzeda go po cichu Kościołowi. Zapłacą za niego fortunę, aby uniknąć kompromitacji. Potem zaszyje się gdzieś na peryferiach cesarstwa, może w Hiszpanii, i będzie żył jak cesarz. Taki miał plan. Teraz musi jednak szybko dotrzeć do biskupstwa w Akwizgranie. Niepotrzebnie zostawił tam księgę, ale w tej chwili nie mógł już tego zmienić. Mógł tylko to naprawić. Trakt się skończył. Przed nim rozciągało się szerokie rozlewisko Dunaju. Nad tą rzeką się urodził. W nieodległym stąd Regensburgu.

Nikt o tym nie wiedział. Ci, którzy wiedzieli, skąd pochodził, już nie żyli. Wówczas był porzuconym bękartem, a teraz jest hrabią. Miał sentyment do tej rzeki.

W miejscu, gdzie trakt dochodził do rzeki, było rozlewisko i niezbyt głęboki bród. Przechodził tu zwykle rzekę bez zamoczenia koszuli. Prąd był leniwy o tej porze roku. Wszedł więc do wody, nie zsiadając z konia.

Kiedy znalazł się w połowie brodu, do głowy przysła mu dziwna myśl. Pomyślał, że już nie wyjdzie z tej rzeki. Myśl była dziwnie natrętna. Nigdy wcześniej taka go nie nachodziła. Poczłł niepokój. Przyspieszył. Jeszcze pół pacierza i wyjdzie na brzeg.

I wtedy ją zobaczył. Stała na brzegu i czekała na niego. Poznał od razu tę bosą siwowłosą wiedźmę. Mimo że było dość daleko, jakimś nadprzyrodzonym sposobem widział jej szaro-błękitne oczy. Uśmiechała się złowrogo.

– Nie wyjdiesz już z tej rzeki, de Millow. – Lilith stała w oddaleniu, ale słyszał ją tak, jakby stała tuż przed nim, a szumu rzeki wcale nie było.

– Skąd się tu wzięłaś, starucho? – zawołał buńczucznie hrabia, by samemu sobie dodać odwagi. Człł się bardzo niepewnie.

– Przy tych wodach się narodziłeś i w tej wodzie zginiesz, hrabio. – Starucha zaśmiała się złowrogo, lecz jej oczy pozostały śmiertelnie poważne. – A właściwie to żaden z ciebie hrabia, bękartcie.

– Skąd o tym wiesz, starucho? – Niepokój oficera znacznie wzrósł.

Chciał ruszyć do przodu i wyjechać z rzeki, która zaczęła go niepokoić, ale jego wierzchowiec całł drżał i nie ruszył do przodu ani na krok.

– Och, „skąd” i „skąd”. Zawsze zadajecie to durne pytanie przed śmiercią.

– Nic ci nie przyjdzie z mojej śmierci, wiedźmo. Domyślam się, że chcesz dostać pamiętnik Rebekki dla biskupa Ambrosio. Tylko ja wiem, gdzie on jest. Jak mnie zabijesz, nigdy się nie dowiesz! Po co mnie zabijać? Dogadajmy się... – W tonie hrabiego zabrzmiała prośba.

– Chcę cię zabić, bękarcie, bo nienawidzę wszystkich ludzi. Całego potomstwa Adama. – Wzrok czarownicy był straszny. – A pamiętnik Rebekki zostawiłeś zamknięty w twojej pracowni, de Millow. Jest w twoim żelaznym sekretarzyku. A klucz nosisz zwykle na szyi, prawda?

– Skąd to wiesz, wiedźmo?! – Hrabia wystraszył się nie na żarty.

– Och, „skąd” i „skąd”. Zawsze zadajecie to durne pytanie przed śmiercią.

– Nigdy nie dostaniesz klucza, wiedźmo! – Oficer próbował zawrócić konia, ale zwierzę nie chciało nawet drgnąć.

– Rzeka odda mi zaraz twój klucz, bękarcie.

– Dogadajmy się, zapłacę ci, Lilith! Mam złoto!

– O, to kusząca propozycja. Zwykle nie odmawiam zapłaty. – Wzrok wiedźmy był dziwny. – Ale nie chcę samego złota.

– Czego chcesz? Klucza nie dostaniesz.

– Chcę złota skropionego twoją krwią, de Millow. Chcę, byś skropił to złoto, które masz w sakiewce, swoją krwią i mi nim dopiero wtedy zapłacił. Dokładnie tak jak von Rappard. Pamiętasz?

– I skończę jak on, wiedźmo?

– Każdy kiedyś umrze – odpowiedziała zagadkowo starucha. – Ale jak mi zapłacisz, dziś będziesz wolny.

– Dobrze! – Oficer wyciągnął nóż, naciął możliwie delikatnie opuszkę kciuka, odwiązał sakiewkę i przyłożył krwawiący palec do monet.

– Zadowolona? – zapytał wściekły, bo sakiewka miała istotny ciężar.

– Rzuć mi teraz sakiewkę, de Millow.

– Nie dorzucę nią tak daleko.

– Rzucaj! – rozkazała. – Rzeka mi ją odda.

Rzucił. Sakiewka zatoczyła łuk, a w chwili, gdy miała już zniknąć w nurcie, zatrzymała się w powietrzu i tuż nad powierzchnią wody polewitowała powoli prosto do rąk czarownicy. De Millow przełknął ślinę na ten widok. Bał się.

– Teraz mnie wypuścisz? – zapytał niepewnie.



– Nie, bękarcie. – Padła zimna odpowiedź. – Teraz cię zabiję!

– Ależ przecież dostałaś pieniądze, jak chciałaś... – De Millow zawołał błagalnie.

– Zapłaciłeś mi krwawymi pieniędzmi, a więc straciłeś jakiegokolwiek szanse na zbawienie, plugawy synu Adama. O to mi tylko chodziło.

Hrabia najpierw poczuł szarpnięcie na szyi. Nie wiedział z początku, o co chodzi, lecz po chwili zorientował się, że klucz z jego szyi sunie powoli w powietrzu w kierunku wiedźmy.

– Litości! – zawołał do czarownicy.

W odpowiedzi usłyszał jakieś słowo, którego znaczenia nie znał, i w tej samej chwili jakaś potężna siła porwała go w górę razem z jego wierzchowcem, cisnęła w wodę kilkadziesiąt stóp dalej w dół rzeki, poza brodem, i docisnęła do kamienistego dna rzeki. Ta nieznana siła puściła go swobodnie z prądem rzeki dopiero wtedy, gdy jego serce przestało bić.

\*

Biskup Jacques d'Euse się modlił. Wóz podskakiwał na wybojach kamiennej drogi, ale podczas żarliwej modlitwy młody hierarcha przestawał odczuwać niewygodę. Był najmłodszym biskupem. Zaledwie rok temu otrzymał ten awans i diecezję Avinionu. Każdą swoją ważną decyzję konsultował podczas modlitwy z Bogiem. Robił tak, odkąd pamiętał, i zawsze przynosiło to efekty. Teraz prosił Boga o wsparcie w tej ważnej misji, którą powierzył mu kamerling. Jacques d'Euse nie stał po żadnej ze stron, nie przystał ani do frakcji umiarkowanej, ani do Rycerzy Chrystusa pragnących krucjaty. Chciał stać po stronie prawdy i Boga. Kamerling go znał i wiedział o tym. Dlatego otrzymał przywództwo tej misji. Na pewno kamerling oczekiwał wnikliwego i uczciwego śledztwa, dlatego teraz biskup d'Euse prosił Boga o pomoc w zachowaniu uczciwego osądu sytuacji. W wozach jadących za nimi było jeszcze kilku innych biskupów, również powołanych do prowadzenia śledztwa, ale nie wierzył w ich obiektywizm. Każdy

z nich był uwikłany w jakąś mniejszą lub większą politykę. Musi sam wyrobić sobie zdanie bez ich porad. W całej tej wyprawie wierzyć może najbardziej chyba temu młodemu dominikaninowi, który jedzie z nim w wozie i również się modli.

Biskup wykonał znak krzyża, zakończył modlitwę i powstał z klęczek.

– Czy myślisz, Ekscelencjo, że to możliwe, żeby złe moce dopadły następcę Świętego Piotra? – Heinrich Kramer uważnie patrzył na twarz biskupa i czekał na odpowiedź.

– Tak, to możliwe, Heinrichu.

– Czyż moce zła nie powinny obawiać się Ojca Świętego?

– Nawet papież jest człowiekiem, Heinrichu. Im wyżej jest człowiek w jakiegokolwiek hierarchii, tym bardziej natarczywie zło działa.

– Na ciebie też działa zło, Ekscelencjo?

– Tak, Heinrichu. Każdego kolejnego dnia, gdy idę dobrą drogą, odczuwam większe pokusy ze strony zła. Dlatego coraz więcej się modłę.

Heinrich Kramer zanotował coś w swoim pergaminowym notatniku.

\*

Biskup Luigi Ambrosio nie przywykł do jazdy konnej. Z jego tuszą i problemami z plecami powodowała znaczny dyskomfort. Tym razem nie miał jednak wyboru. Wybierając jazdę wierzchem, a nie konnym wozem, do Akwizgranu zawitają przynajmniej trzy dni szybciej. Byli już na szczęście na terenie Germanii i jutro zapewne przekroczą Dunaj. Każdego wieczora z trudem zsiadał z wierzchowca i tylko czułym zabiegiem Greta zawdzięczał to, że następnego dnia rano był w stanie na niego wsiąść. Uwielbiał te wieczorne czułości z tą dziewczyną w namiocie, bo gdy kończyła masować jego grzbiet, on przewracał się na plecy i wtedy zaczynała się jego ulubiona część cowieczornego zabiegu.

Za radą Greta wzięli ze sobą całkiem spory, liczący dwudziestu ludzi, oddział zbrojnych. Sama ich wybrała. Słyszał, jak im mówi, że dostaną podwójny żołd w zamian za bezdyskusyjne posłuszeństwo. Każde nieposłuszeństwo będzie

surowo karane zarówno przez władze kościelne, jak i cesarskie. Widział, jaki respekt ma Greta wśród żołnierzy. Był z niej bardzo zadowolony. Szybko zorganizowała wojaków, prowiant i cały wyjazd. Całkowicie potrafiła zastąpić tego oportunistę hrabiego de Millow. Jedną tylko decyzją Greta mu się nie podobała. Kapitanem oddziału uczyniła Henryka Gotta, kata, który wcześniej pracował dla hrabiego. Biskup nie ufał temu człowiekowi, ale Greta zapewniła go o jego lojalności i gdy w końcu poparł jej decyzję, pozwoliła mu tego dnia na wiele więcej w łożnicy. O wiele więcej.

– Postój wieczorny! Z koni! – rozległ się głos jadącego na przedzie kapitana Gotta.

– O Chryste! – jęknął biskup, zsiadając z wierzchowca. – Rozkładaj namiot, natychmiast! – krzyknął do swojego sekretarza, choć ten wiedział, co do niego należy, i już odwiązywał wór z tyczkami.

– Jeszcze tylko tydzień podróży, mój drogi Luiggi. – Słodki głos Greta był jak obietnica miłego wieczoru.

Wyglądała pięknie. Nigdy nie było po niej widać zmęczenia. I zawsze miała rozpięty o jeden guziczek przy biuście za dużo, co bardzo mu się podobało.

– Gołąbeczko, potrzebuję twoich cudownych dłoni... – Mrugnął do niej biskup, a żołnierze stojący wokół uśmiechnęli się pod nosem.

– Dziś, zanim przyjdę do ciebie do namiotu, będziesz miał gościa, kochany. – Te słowa wyszeptała mu Greta na ucho, tak by inni nie słyszeli.

– „Gościa”? – powtórzył na głos zdziwiony Ambrosio, a na twarzy Greta pojawił się grymas, bo biskup nie dotrzymał jej zasad konspiracji.

– Tak, gołąbeczku, w namiocie – wyszeptała mu do ucha. – Ale nie wszyscy muszą o tym wiedzieć.

– Ona? – zapytał szeptem lękliwie.

– Tak, kochany.

– A skąd wiesz, gąseczko? – Jego szept był teraz bardzo cichy.

– Wychędożysz mnie porządnie dziś wieczorem, to powiem ci skąd – wykręciła się sprytnie, mrugnęła do niego filuternie i ruszyła ustalić coś z kapitanem warty.

Gdy skończono rozstawiać namioty, było już ciemno. Pora było wejść do namiotu i czekać na czarownicę. Odsłonił połę i wszedł do środka.

– Ciężki dzień, gołąbeczku?

– O Chryste! – Biskup aż podskoczył wystraszony, gdy niespodziewanie usłyszał te słowa, zanim jeszcze zdążył się rozejrzeć po wnętrzu namiotu. – Po diabła mnie tak zawsze straszysz, kobieto?

Był zirytowany, że znów go zaskoczyła swoim nagłym pojawieniem się.

– Przecież zostałeś uprzedzony, gołąbeczku, o mojej wizycie. Słyszałam na własne uszy... – Lilith zaprezentowała w złośliwym uśmiechu swoje niepełne uzębienie.

– Jak tu weszłaś, skoro dopiero co postawiono ten namiot, i to w centrum obozu?

Przerażała go ta kobieta.

– Jestem czarownicą. Czyżbyś zapomniał? – odpowiedziała zniecierpliwiona.

– Z tego, co pamiętam, zapłaciłeś mi, żebym ci pomogła. Czyżbym nie była mile widziana?

– Oczywiście, że jesteś mile widziana – odpowiedział, choć coś wewnątrz niego bardzo się trzęsło z niepokoju.

– Mam wiadomość dla ciebie, gołąbeczku. – Starucha przeszła do sedna. – Wiem, kto będzie twoim głównym rywalem na konklawe.

– Kto? – Ten temat bardzo go interesował.

– Biskup Jacques d'Euse.

– Niemożliwe! Ten chłystek?

– Jest bardzo młody. To prawda. Jednak nie przeszkodzi mu to zebrać ponad dwie trzecie głosów i przybrać imię Jan XXII. Teraz zyska popularność,

prowadząc śledztwo w sprawie von Rapparda. – Głos czarownicy był spokojny i pewny.

– Przecież to nieprawdopodobne! Nikt go przecież nie popiera. Nie należy do żadnej liczącej się frakcji. Skąd ty możesz to wiedzieć, wiedźmo? – Ambrosio był zirytowany.

– Mówię ci, jak będzie, a ty zrobisz, co zechcesz, gołąbeczku. Jeżeli chcesz zostać Ojcem Świętym, musisz go zabić. Będzie ku temu sposobność. Kiedy będziecie pod Akwizgranem, skręćcie na wschód na cmentarz Stolberg. On tam się kieruje i tam go zastaniesz. Zabij go tam w zaciszu cmentarza. Nie zostawiaj żadnych świadków. I pamiętaj. Musisz zabić też proboszcza przycmentarnej parafii, bo będzie was obserwował z okna. On nazywa się Manfred Werner. To bardzo ważne, by nie było świadków.

– Boże Miłosierny, co ty mówisz? Mam zabić pięciu biskupów i proboszcza? – Ambrosio nie wierzył w to, co słyszy.

– Tak, gołąbeczku. Jeżeli to zrobisz, będziesz najpewniej papieżem.

– Najpewniej? – dopytał przerażony Ambrosio. – Czyli nie widzisz przyszłości w sposób pewny.

Zaczynał żałować, że zatrudnił czarownicę.

– Nigdy jej nie widać w sposób niewątpliwy, biskupie. Zawsze ktoś może się wmieszać lub coś może się wydarzyć. Ale widać schematy, które prawie zawsze się sprawdzają. Zabij Jacques'a d'Euse i towarzyszących mu biskupów oraz Manfreda Wenera, a za cztery miesiące będziesz papieżem.

– A co z pamiętnikiem Rebekki?

– Nie przejmuj się pamiętnikiem, gołąbeczku. On jest już prawie nasz – usłyszał biskup i po tych słowach namiot był pusty.

Ambrosio miał wrażenie, że przysnął na krótki moment, a gdy się ocknął, czarownicy już nie było. Rozejrzał się gorączkowo wokoło. Namiot na pewno był pusty, ale będzie bał się dziś w nim spać.

- Kapitanie Henryku Gott, jest pan tutaj?
- To pani, Greto? Jestem.
- Chcę panu powiedzieć, że biskup Muskata również ruszył na północ za hrabią de Millow.
- Czy to pewna informacja?
- Tak, kapitanie.
- Wiesz, pani, że nie spocznę, dopóki go nie zabiję.
- Tego właśnie od ciebie oczekuję. Niedługo nadarzy się okazja.

## Rozdział 20.

### Spowiedź

Po całym dniu w siodle pod wieczór byli bardzo zdrożeni. Jan Muskata już od południa marzył, żeby zsiąść z konia, ale jeżeli mieli dotrzeć do Akwizgranu na czas, to musieli poruszać się możliwie szybko. Aisha dużo lepiej radziła sobie z uciążliwością podróży. Dosiadała konia na sposób męski. Miała na sobie wygodny lniany męski mundurek. W takich mundurkach zwykle ćwiczyli adepci sztuki jeździectwa. Aisha swoje długie czarne włosy upięła wysoko nad szyją w zgrabny kok. Biskupowi i czarownicy towarzyszył jeszcze Ernest, wyrośnięty syn przyjaciela i rodaka Muskaty, Bronisława Kowala, karczmarza z Rzymu. Cieszyli się z Aishą z tego towarzystwa. Taka daleka podróż po gościńcach Italii i cesarstwa nie była bezpieczna. Dodatkowy uzbrojony mężczyzna czasem był na wagę złota, a raczej wagę życia.

Tego dnia podczas jazdy rozmawiali mało. Powodem na pewno było zmęczenie, ale Muskata podejrzewał, że za małomównością Aishy tego dnia kryje się coś jeszcze. Przez te kilka dni podróży dała się poznać jako sympatyczna i dowcipna gaduła, a nie milczka. Dziś jednak była zatopiona w myślach.

Gdy już słońce całkiem schowało się za horyzontem, a jedynym oświetleniem pozostała czerwona posłoneczna łuna na zachodnim niebie, zatrzymali się na nocleg na polanie tuż obok traktu.

\*

– Erneście, czy mógłbyś nanieść trochę chrustu? – poprosiła czarownica i wyciągnęła spory metalowy kociołek.

Zapas wody mieli niewielki, lecz wystarczający do picia i do sporządzenia pożywnej słowiańskiej zacierki. Jutro zapewne dotrą do rzeki Pad i uzupełnią zapas wody.

– Usiądź na chwilę koło mnie, Janie – poprosiła, gdy tylko przestali słyszeć roznoszące się głośno po lesie odgłosy kroków Ernesta.

Jan przerwał rozpakowywanie bagażu i przysiadł na ziemi naprzeciwko niej. Czekał, aż sama powie, o co chodzi. Nie chciał jej poganiać.

– Pokłóciłam się z Rebeccą, Janie, wczoraj w nocy – wydusiła po chwili. – Ona uważa, że koniecznie powinniśmy zawrócić i nie zajmować się dłużej sprawą jej pamiątnika – dodała, widząc zdziwiony wzrok biskupa.

– Ale dlaczego? Skąd ta zmiana? Już nie chce, aby prawdziwa historia von Rapparda ujrzała światło dzienne?

– Ona boi się o mnie. Twierdzi, że możemy zginąć.

– Wynajmiemy może jakichś dwóch osiłków w najbliższej miejscinie. Poradzimy sobie z hrabią. Mamy przecież Ernesta.

– Rebecca nie boi się, że zginiemy z ręki de Millowa. O nim w ogóle nie wspomniała.

– To kogo się boi? Kto nam zagraża? Ludzie Ambrosia? Greta?

– Przeprowadziłyśmy w nocy rytuał, Janie... – W głosie Aishy zabrzmiał niepokój.

– Ten rytuał...? – dopytał, kładąc szczególny akcent na wyraz „ten”, a kobieta potwierdziła skinieniem głowy. Spoglądała na niego bardzo poważnie.

– Powiedziałam Rebecce, że będziemy kontynuować pościg, ale nakrzyczała na mnie. Janie, ty zdecyduj! Może nie chcesz narażać swojego życia? Wtedy zawrócimy.

– Co wynikło z przeprowadzenia rytuału? – zapytał biskup. Ich spojrzenia się spotkały.

– Czarownicy Lilith nie ma w Księdze Życia... – zaczęła czarownica. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale zamilkła.



– Co jeszcze? – dopytał biskup, widząc jej wahanie.

– Rebacca twierdzi, że najprawdopodobniej nigdy jej imienia w tej księdze nie było... – W głosie Aishy dało się usłyszeć lęk.

– Może po prostu używa fałszywego imienia?

– To nie ma znaczenia, drogi Janie. My nie sprawdzałyśmy, czy jest tam imię Lilith. W rytuale używa się fragmentu ciała danej osoby.

– Boże Przenajświętszy, a skąd wzięłyście fragment jej ciała? To jakieś straszne czary! – wystraszył się Muskata.

– Nie przesadzaj, drogi biskupie Janie. – Ton czarownicy był bardzo spokojny.

– To były tylko jej włosy.

– Skąd wzięłyście te włosy, Aisho?

– Z arcybazyliki, drogi Janie. Z ławeczki, na której siedziała z biskupem Ambrosio. Oni spotykają się w nawie bocznej pod obrazem Świętego Piotra. Tam zgubiła kilka włosów.

– Boże... – Muskata odetchnął z ulgą. – Już się obawiałem, że wyrwałaś jej włosy jakimiś czarami.

– Nie... – Aisha uśmiechnęła się szeroko.

– A co to właściwie dla nas oznacza, że jej imię najprawdopodobniej nigdy nie figurowało w Księdze Życia? – zapytał biskup poważnie.

– Jak wiesz, mój drogi biskupie, ludzie jako boskie stworzenia, które Bóg chce doprowadzić do Raju, mają od chwili narodzin miejsce w Księdze Życia. Gdy wyrzekną się Boga w sposób ciężki i poważny, mogą to miejsce utracić. Jeżeli tego nie uczynią, to w trakcie życia nawet pomimo popełniania ciężkich grzechów jest dla nich nadzieja w postaci spowiedzi i pozostają w Księdze Życia. Jeżeli czyjś imienia nigdy nie było w Księdze Życia, to oznacza, że został wyklęty jeszcze przed urodzeniem i skazany na wieczne potępienie po śmierci już *a priori*, bez względu na dobre czy złe ziemskie życie, albo też... – Tu Aisha zawahała się znowu przez chwilę. – Albo nie jest w ogóle człowiekiem.

– Jak nie człowiekiem, to kim jest właściwie? Duchem? Diabłem? Demonem? Aniołem?

– Istoty, które wymieniłeś, nie mają włosów, drogi Janie – wyszeptała Aisha.

– To kim? – Nie wiedział, dlaczego to robi, ale też zapytał szeptem.

– Nie wiemy tego, Janie. Jakimś pozaczłowieczym, żywym i materialnym tworem Boga, bądź też tworem kogoś innego. Tworem, który nie sypia – odpowiedziała również szeptem. – Greta także nie sypia. Być może obie są istotami tego samego rodzaju, tylko Grety nie mogliśmy zbadać. Nie gubi włosów.

– Może to nie są groźne istoty, moja droga Aisho – próbował ją uspokoić biskup. – Ta Lilith była przecież czarownicą dwóch ostatnich papieży.

– Ich obu wykreślono z Księgi Życia podczas ich żywota, drogi biskupie. Sprawdziłyśmy to z Rebeccą.

– Boże, Aisho, papieży też sprawdziłyście?

– Tak, drogi Janie. Tych współpracujących z Lilith. Czy Lilith może być dobrą istotą, skoro korzystając z jej pomocy, traci się szansę na zbawienie duszy?

– Von Rappard podpisał z diabłem cyrograf. Dlatego stracił wszelką szansę na życie wieczne.

– To prawda, drogi Janie, ale nie mamy żadnych dowodów, żeby i Benedictus XI takowy podpisał. – Na chwilę zamilkła. – Czyli, drogi Janie, jedziemy dalej za hrabią de Millow, aż odbierzemy mu pamiątnik Rebekki? – Aisha uśmiechnęła się do niego.

– Ja jadę. Chcę, żeby prawda ujrzała światło dzienne, ale ty, Aisho, wróć do Rzymu. Tak będzie bezpieczniej. Ernest wróci z Tobą.

– O nie, drogi biskupie. Jeżeli ty jedziesz, to i ja. Chciałam tylko, byś wiedział o zagrożeniu. Jadę z tobą, a Rebecca musi to zaakceptować – roześmiała się szczerze. – Będziemy miały tylko do ciebie jedną prośbę, drogi biskupie – powiedziała po chwili już poważnie.

– Jaką? – zapytał Muskata i obejrzał się za siebie, słysząc dźwięki łamanych gałęzi. To wracał Ernest, dźwigając w swoich długich ramionach wielkie narzędzie chrustu.

– Wypowiadaj nas już tej nocy.... – usłyszał biskup Jan Muskata i poczuł niepokój.

– Zrobię to, Aisho. Jak obiecałem.

\*

– *Witaj, biskupie Janie Muskata!* – odległy głos zabrzmiał w jego głowie.

– *To ty, Aisho? Nie! To nie ty! Kim jesteś?* – Podejrzewał, kogo słyszy, ale wolał się upewnić.

– *To ja, Rebecca, biskupie, bliźniaczka Aishy.*

Muskata zobaczył we własnych myślach obrazy wysłane przez Rebeccę. Zobaczył dwie małe, około pięcioletnie, identyczne dziewczynki goniące się wzajemnie wokół grubego pnia dębu. Zobaczył dwie identyczne nastoletnie twarze obok siebie odbite w lustrze wody jakiegoś jeziora. Usłyszał nawet, o czym rozmawiały. O tym, że jedna z nich ma wyjechać do dużego miasta. Obie wyglądały jak młodsza kopia Aishy i były identyczne. Zobaczył też inne obrazy, których Rebecca nie chciała wysyłać, a które upewniły go co do tożsamości rozmówcy. Coraz lepiej radził sobie z tymi połączeniami sennymi.

– *Wierzę ci, Rebecca.*

– *Chcę ci pokazać przebieg rytuału, biskupie. Może to odwiedzie cię od tej podróży.*

– *Pokaż, Rebecca, choć zapewne nie zmienię mojego postanowienia. Ale twoja siostra nie musi się narażać i ze mną jechać. Powiedziałem jej to.*

– *Wiem, drogi biskupie. Jesteś dobrym człowiekiem.*

*Pokazała mu rytuał. To, co zobaczył, przekroczyło jego wyobrażenie. Zabrała go za granice świata doczesnego. Uchyliła kotarę zasłaniającą to, czego*

śmiertelnik zobaczyć nie może. Wszystko, co mówiła mu Aisha o przebiegu rytuału, okazało się prawdą.

Na koniec ujrzał postać starej kobiety. Miała długie, siwe włosy i przejmujące spojrzenie szaro-błękitnych oczu. Spod czerwonej sukienki wystawały bosa, niezadbane stopy. Wiedział, kto to jest. Wiedział, że to jest Lilith. Miał też niejasne przeczucie, że jej oczy doskonale go widzą.

– Zobaczyłeś wszystko, biskupie Janie. Tak to wyglądało. Myślę, że ona nas widziała podczas rytuału. Ma niezwykle umiejętności. Czy to, co zobaczyłeś, zmienia twoją decyzję co do kontynuacji pościgu za hrabią de Millowem?

W myślach czarownicy pojawiła się nadzieja.

– Nie zmieniło, Rebecca. – Nadzieja w myślach Rebekki znikła. – Twój pamiętnik, twój wysiłek nie może pójść na marne. Prawda musi ujrzeć światło dzienne.

– Wiedziałam, że tak odpowiesz. Przyglądałam ci się bardzo uważnie, zanim powierzyłyśmy ci pamiętnik. Wypowiadaj mnie teraz, proszę, biskupie Janie – poprosiła czarownica.

– Dobrze, Rebecca. Wyznaj swoje grzechy.

I wtedy pokazała mu swoje wszystkie grzechy. Zobaczył je jej własnymi oczami. Zobaczył potęgę czarów. Zobaczył ich plugastwo w czynieniu zła. Był przerażony, do czego była zdolna. Okrucieństwo tego, co oglądał, o mało co nie wybudziło go ze snu. Wytrwał jednak do końca tej szczególnej spowiedzi. Tej rzezi. Wiedział, że niczego nie ukryła przed nim. Pokazała wszystko, co najgorsze. A na koniec zobaczył w jej umyśle szczery żal za grzechy.

– Ja odpuszczam tobie grzechy, Rebecca. Idź w pokoju.

Rebecca odeszła na zawsze.

## Rozdział 21.

### Powrót

– Bogowie, to znowu to przeklęte miejsce! – Kaja z przerażeniem patrzyła na znajomy napis nad wrotami kościoła: „*Herz-Jesu-Kirche, Stolberg*”. W tej samej chwili poczuła tę znajomą, obezwładniającą słabość i mdłości. Zatoczyła się i usiadła na ziemi.

– Weź się w garść! – warknęła do siebie. – Musisz się stąd wydostać. Na szczęście nigdzie nie widać żadnych demonów.

Wstała i zrobiła kilka chwiejnych kroków, oddalając się od kościoła.

– *Meine Liebe, komm hier! Das ist Zeit, etwas zu spielen!*<sup>2</sup> – usłyszała za sobą męski głos, a następnie śmiech. Odwróciła się. Od strony kościoła zbliżało się do niej czterech niezbyt zachęcających mężczyzn. Nie rozumiała słów, które do niej mówili, ale ich myśli zdradzały, czego od niej chcieli. Chcieli się z nią „pobawić”.

Ruszyła najszybciej, jak mogła. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ale biegła. Zostało już tak niewiele, lecz raczej nie zdąży. Pościg był już tuż za nią, ale co gorsza, niespodziewanie i przed nią pojawiła się jakaś postać. Nie zdążyła jej się przyjrzeć, bo właśnie potknęła się o wystający nagrobek i najpewniej upadłaby, gdyby ktoś, kogo zobaczyła, w mgnieniu oka nie ruszył i nie uchwycił jej, chroniąc ją przed upadkiem.

– O wszyscy bogowie! Kaja moja kochana! – usłyszała znajomy, najdroższy jej głos, nasycony czułymi emocjami, a potem zobaczyła wypełnione szczęściem ukochane oczy.

– Nie wierzę! To nie sen?! Radku, znalazłeś mnie!

Ujęła go za szyję z całych swoich obecnie ograniczonych sił.

– Coś ty za jeden? Zaraz ci kości połamiemy, przybłędo! – Słowa te skierował do Radosława rudy barczysty chłop uważający się najpewniej za dowódcę swojej grupy.

Wyglądało na to, że mężczyźni skrócili sobie drogę, idąc przez cmentarz, i tu natrafili na okazję w postaci jego młodej Kai.

Rycerz nie zaszczycił ich ani słowem. Wyszedł kilka kroków w ich kierunku, tak aby stać między przeciwnikami a dziewczyną, zatrzymał się i obserwował mężczyzn.

Prowodyr skinął na kolegów, którzy posłusznie otoczyli rycerza półkolem. Ośmieliło ich, że pomimo szlacheckiego wyglądu ich przeciwnik nie był uzbrojony.

– I co? – Z ust prowodyra padło mało inteligentne pytanie.

Radosław upojony widokiem Kai patrzył na nich z szerokim spokojnym uśmiechem. Widział, że ten jego uśmiech irytuje prowodyra. Przeczuwał, co za chwilę nastąpi, i dlatego przesunął się w kierunku stojącego po jego lewej stronie wysokiego i chudego chłopca. Chudzielec patrzył pożądliwie w kierunku dziewczyny i gdy tylko Radosław zbliżył się na odległość dwóch kroków do niego, zaatakował.

Ruch chudzielca był dość szybki. Pięść szerokim łukiem przesywała powietrze. Ruch Radosława był zaś subtelny, prosty, mało zamaszysty, skierowany prosto w przeciwnika i znacznie szybszy. Pięść chudzielca na swojej długiej drodze napotkała jedynie powietrze. Łokieć rycerza w mgnieniu oka wylądował precyzyjnie na jego podbródku. Siła wykonanego po krótkim łuku od dołu uderzenia odrzuciła w tył głowę napastnika, a nogi momentalnie pozbawiła oparcia na ziemi. Rycerz wiedział, że z tym przeciwnikiem walka już jest skończona. Światło na pewno mu zgasło. Opadający tułów chudzielca nie osiągnął jeszcze podłoża, a Radosław był już dwa kroki dalej, tuż przed prowodyrem. Tamten w odruchu obronnym zdążył jedynie unieść nieco ręce w kierunku głowy. Krótkie i szybkie uderzenie piętą dosięgnęło jednak innej części ciała. Trzask,

który się rozległ, nie zostawił wątpliwości, że kości podudzia zostały złamane. Zwierzęcy wrzask bólu wybrzmiał jednak jedynie przez ułamek sekundy, bo wyprowadzony od dołu cios kolanem drugiej nogi trafił prosto w głowę prowodyra. Odrzucił on w górę i tył całe jego bezwładne już ciało. Radosław znów nie czekał, aż opadnie ono na ziemię, tylko po ułamku sekundy był już przy kolejnym napastniku. Cios wyprowadził tak szybko, że tamten nie miał szans zdążyć podnieść rąk. Palce Radosława trafiły, gdzie miały trafić, i pozbawiły chłopca trwale narządu wzroku. Tamten nie zdążył zapewne jeszcze zrozumieć, dlaczego przestał widzieć cokolwiek, gdy potężny cios kolanem w krocze usunął jego problem braku wzroku na dalszy plan.

Czwarty napastnik miał szczęście. Miał szczęście, że był czwarty w kolejce i że zdążył uklęknąć na ziemi w pozycji błagalnej, zanim Radosław zdążył zadać mu pierwszy cios.

Chwilę później Radosław już spieszył z Kają na rękach, by jak najszybciej znalazła się za ogrodzeniem.

– O bogowie! Radku, czy to ten Luxferrus tak nauczył cię walczyć?

Rycerz kochał w niej to, że nawet w trudnych chwilach nie opuszczała jej chęć do żartów.

– Jak będziesz się ze mną droczyć, to cię zostawię na tym cmentarzu – zażartował i zobaczył, że pomimo osłabienia Kaja chichocze z jego dowcipu.

– Nie masz pojęcia, Radku, jaką drogę przebyłam, by cię znaleźć... – Patrzyła czule w jego oczy. – Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Naprawdę? Myślę, że mogę powiedzieć ci dokładnie to samo...

Czuł, że dla tej chwili warto było przejść całą tę drogę, jaką przemierzył.

Gdy tylko znaleźli się za ogrodzeniem cmentarza, rycerz wziął ją w ramiona... Wtedy świat przeszedł, obecny i przyszły, zaświaty, bogowie, diabły, czarownice i biskupi przestali dla nich istnieć. Aż do rana.

---

2 *Meine Liebe, komm hier! Das ist Zeit, etwas zu spielen!* (niem.) – Kochanie, chodź tutaj. To jest czas na zabawę.



*Zdziczałe psy spotkają się z hienami  
i kozły będą się przyzywać wzajemnie;  
co więcej, tam Lilit przycupnie  
i znajdzie sobie zacisze na spoczynek.*

Stary Testament (Księga Izajasza 34, 14)

## Rozdział 22.

### Cmentarz Stolberg

Dla Manfreda Wenera, proboszcza parafii w Stolbergu, był to dzień obfitujący w niespodziewane wydarzenia. Najpierw od rana podglądał chędożącą się za ogrodzeniem jego cmentarza parkę dziwnie ubraną na wschodnią modłę. Nie byli z okolicy, bo wszystkich tu znał, ale ci obcy byli tak zajęci sobą, że na pewno nikomu nie zagrażali, a i popatrzyć było na co, bo ta młoda sikorka była naprawdę zgrabna.

Potem proboszcz musiał przerwać obserwację parki, ponieważ z przerażeniem stwierdził, że przed wrotami kościoła pojawiło się pięciu biskupów i intensywnie się rozglądają w poszukiwaniu kogoś. Szukali oczywiście jego. Musiał ich zaprosić i odpowiedzieć na dziesiątki pytań dotyczących „tamtego dnia”. Każde pytanie dotyczące „tamtego dnia” wprowadzało go w bardzo zły nastrój, który poprawić mogła tylko butelka dobrego wina lub miodu pitnego.

Nie zdążył jednak tego dnia wypić nawet łyżeczka, gdyż na przesłuchaniu niespodziewane wydarzenia niestety się nie skończyły. Kiedy dobiegło ono końca, zaczęły się dziać rzeczy, które gdy zaczął opowiadać oficerom, ci zamknęli go najpierw w lochu, a potem na wyspie dla obłąkanych.

\*

Jacques d'Euse nie mógł uporządkować myśli. Po tym, jak wraz z czterema towarzyszącymi mu biskupami z komisji beatyfikacyjnej oraz dominikaninem Heinrichem Kramerem opuścili plebanię, trudno mu było ogarnąć umysłem te wszystkie wydarzenia. Proboszcz Manfred Werner nie był bezpośrednim

świadkiem wydarzeń. Gdy Magnus von Rappard umierał, proboszcz był w miasteczku, ale opowiedział im, jaką sytuację zastał po powrocie. Ujrzał wówczas martwego Ojca Świętego, stos trupów żołnierzy, martwe konie, spalony cmentarz i rozkopany grób ze sprofanowanymi zwłokami. Proboszcz przekazał im spisane przez siebie relacje żołnierzy, którzy przeżyli. Przeczytali razem z nim wszystkie. Opowiadały o jakimś słowiańskim diabelskim rycerzu-rzeźniku, który mordował ogniem i mieczem żołnierzy, oraz o niepozornej z wyglądu pogańskiej, nastoletniej czarownicy. Ciało rycerza i czarownicy nie znaleziono, mimo że żołnierze zaklinali się, że cmentarza nie opuścili. Czyżby jeszcze tam byli? Potrzebował spokojnej modlitwy, aby dojść do ładu ze swoimi myślami.

– Chodźcie, bracia, obejrzymy ten cmentarz. – Jacques d’Euse chciał zobaczyć wszystkie szczegóły na własne oczy.

Spalona wcześniej trawa już zdążyła odrosnąć, ale kora młodych dębów w wielu miejscach była widocznie popalona. Towarzysze biskupa d’Euse szli za nim w milczeniu. Na wszystkich to miejsce robiło duże wrażenie. Brat Kramer wciąż notował swoje obserwacje w pergaminowym notatniku. Przy jednym z grobów stali mężczyzna z kobietą. Obydwoje byli w średnim wieku. Mieli na sobie niczym niewyróżniające się mieszczkańskie szaty.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał mężczyzna do zbliżających się biskupów i dominikanina.

– Niech będzie... A, poznaję księdza biskupa! – D’Euse rozpoznał teraz mężczyznę ubranego zupełnie po cywilnemu. – Trudno pana poznać, biskupie Janie Muskata, w tym stroju.

– Sam nie wiem, czy mam prawo nosić biskupią sutannę. Do mojej Cracovii ostatni papież wysłał już nowego biskupa.

– Trzeba pokładać ufność w Bogu, a wszystkie sprawy potoczą się dobrze, Ekscelencjo – powiedział przyjaźnie d’Euse. – A teraz zechciejcie, proszę, nas zostawić. Wzywają nas obowiązki.

– Ach, oczywiście. – Muskata wziął pod rękę swoją towarzyszkę i oddalili się. Towarzyszył im czujny wzrok brata Heinricha, który uważnie obserwował kobietę.

– Emanuel Schroll... – D'Euse przeczytał napis na nagrobku, gdy dotarli do wskazanego wcześniej przez proboszcza grobu. – To ten grób był rozkopany i tutaj sprofanowane zostało ciało.

– Będzie potrzebna ekshumacja – przytomnie zauważył brat Heinrich.

– Ekshumacja? Po co...? – Jeden z biskupów próbował protestować.

– Bez dyskusji! – przerwał mu szybko d'Euse. – Jutro będzie ekshumacja tego ciała.

Cmentarz był niewielki, więc oglądanie go nie zajęło dużo czasu. Biskup d'Euse pomachał jeszcze proboszczowi, który ciągle stał w oknie, i skierowali się do furty cmentarnej. Za bramą wokół ich wozów kręciła się liczna gromada żołnierzy. O dziwo, nie byli to ich gwardziści, tylko inni zbrojni. Gwardzistów i parobków nigdzie nie było widać.

– Biskupie d'Euse, Ekscelencjo! Proszę się nie niepokoić, to moi ludzie! – Dotarło do nich wołanie i zza jednego z wozów wyszedł biskup Luiggi Ambrosio w towarzystwie pięknej, zgrabnej, rudowłosej młodej damy.

– Gdzie moi gwardziści i służba, biskupie Ambrosio? – zapytał, podchodząc ufnie, biskup d'Euse.

– Cóż, biskupie, jak by to powiedzieć... – zająknął się i zamilkł.

– Twoi ludzie leżą związani w jednym z wozów. – Słowa te wypowiedziała piękna rudowłosa, której d'Euse nie znał.

– Jak to „związani”, Ambrosio? O co tu chodzi, na Boga? Kim jest ta kobieta?

D'Euse nic nie rozumiał. Z niepokojem też zobaczył, że po znaczącym skinieniu rudowłosej żołnierze otaczają ich grupę zwartym szpalerem.

– Związani, d'Euse. Nic im nie będzie, jeżeli się grzecznie poddacie. – Ambrosio odzyskał rezon.

– Co ty najlepszego robisz? – D'Euse zrozumiał, że Ambrosio wcale nie chce uczciwego śledztwa w sprawie von Rapparda.

– A tu jeszcze tych dwoje do gromadki, pani Greto... hmm... i Ekscelencjo, rzecz jasna. – Kapitan Henryk Gott pchnął w kierunku grupy biskupów Muskateę wraz z jego towarzyszką.

– O, mamy i czarownicę Muskaty. Ma na imię Aisha. – Greta świdrowała kobietę spojrzeniem szaro-błękitnych oczu.

– „Czarownicę”? – ożywił się brat Kramer.

– Tak, bracie Heinrichu, to jest bez wątpienia czarownica.

Kobiety mierzyły się wzrokiem.

– Domagam się Ambro...

– Milczeć! – Greta przerwała zdecydowanie d’Euse, a ten zamilkł wpół słowa.

– Kończ, Luiggi, gołąbeczku. Wydaj rozkaz!

Ambrosio zdrętwiał i nie mógł nic z siebie wydusić. Wtedy rudowłosa spojrzała gniewnie na Aishę i wypowiedziała jakieś jedno krótkie słowo.

Aisha upadła na ziemię. Muskata rzucił się do niej zaniepokojony.

– Próbowala cię omamić, gołąbeczku. – Greta dotknęła pieśczośliwie policzka swojego przełożonego, a on ocknął się gwałtownie.

– Zabiłaś ją, więdźmo! – Muskata trzymał w dłoniach głowę martwej towarzyszki. Biskupi poruszyli się niespokojnie. Nie wierzyli jeszcze w to, co się dzieje. Wydarzenia działy się zbyt szybko.

– Wydaj rozkaz, gołąbeczku! – Głos Grety był słodki, ale w jej oczach widać było szaleństwo zła.

– Wydaj rozkaz, Ekscelencjo! – Kat Henryk trzymał już miecz i patrzył wściekle na Muskateę.

Nastała chwila dręczącej ciszy i oczekiwania na to, co miało nastąpić. Żołnierze czekali w gotowości, by rozpocząć rzeź bezbronnych. Sześciu bezbronnych biskupów i przerażony młody dominikanin trwali w bezruchu, nie bardzo wierząc w realność tej chwili.

W tym właśnie momencie, gdy wszyscy obecni zastygli w oczekiwaniu na rozkaz, za plecami żołnierzy odezwał się głos, którego nikt się nie spodziewał.

– Ciekawe, moja droga Kaju, czy na każdym chrześcijańskim cmentarzu dzieje się tak wiele ciekawych wydarzeń, jak na tym. Tu naprawdę nie można się nudzić. – Mimo świadomości powagi sytuacji ton Radosława był spokojny.

– Masz rację, mój drogi Radku. I za każdym razem spotykamy tu jakieś ukryte niespodzianki. – Kaja spoglądała prosto w zimne szaro-niebieskie oczy Greta.

– Morde zamknijcie, przybłedy! – Kapitan Gott nie wytrzymał tak długiego oczekiwania w napięciu. – Proszę o rozkaz, biskupie Ambrosio!

Ale zanim rozbrzmiał rozkaz biskupa Ambrosio, wszyscy usłyszeli inne słowo, które padło z ust Kai.

– Ustąp!

– Domagam się rozkazu, Ekscelencjo! – kapitan i kat, Henryk Gott, nie należał do cierpliwych.

– Ożeż kurwa! – Ambrosio odskoczył jak oparzony, bo wtuliła się w niego już nie Greta, ale siwowłosa starucha w czerwonej sukni, spod której wystawały niezadbane stopy. W miejscu Greta stała Lilith. – Co tu się dzieje, do stu diabłów?!

Ambrosio był wystraszony nie na żarty. Stał jak sparaliżowany. Zaczynał rozumieć.

– Kim ty jesteś, suko?! – Z oczu Lilith biła nienawiść. – Dlaczego cię nie czuję, suko?

Wypowiedziała też głośno jakieś słowo, patrząc na Kaję z wyrazem mordy w oczach. Słowo, którego nikt nie rozumiał, ale wszystkim je słyszającym ścierpła skóra.

– Kim, a właściwie czym ty jesteś, kobieto udająca czarownicę? – Kaja stała spokojnie. Zakłęcie Lilith nie zrobiło na niej wrażenia, lecz osoba Lilith ją zaintrygowała.

Wtedy w oczach Lilith pojawił się niepokój i po krótkiej chwili... już jej nie było.

– Boże Wszechmogący! – Słowa te wypowiedziało jednocześnie kilku biskupów przerażonych nadprzyrodzonym zniknięciem czarownicy.

– Brać tych dwoje! – Kapitan Gott stracił cierpliwość w oczekiwaniu na rozkaz i wziął sprawy w swoje ręce.

Dwóch najbliższych stojących żołnierzy ruszyło w kierunku Kai i Radosława. Radosław nie czekał. Zrobił błyskawiczne trzy kroki w ich kierunku, krótki przysiad, wyrzut ramion i garście cementarnego piachu uderzyły napastników w twarz i oczy. Ich miecze przeszły jedynie powietrze, natomiast nagie dłonie Radosława trafiły tam, gdzie miały trafić. Napastnicy leżeli na ziemi, dusząc się z powodu zmiażdżonych krtani. Wszystko trwało zaledwie mgnienie oka.

– Ożeż ty pogański wypierdku! – Kat i kapitan w jednym, Henryk Gott, zrobił się czerwony z wściekłości. – Brać ich!

– Stać! – Moc głosu Kai zatrzymała żołnierzy w miejscu. – Uwierzcie, panowie, że nie warto słuchać tego rozkazu! Po pierwsze, to nie ten wam płaci za wasze żołnierskie usługi, kto ten rozkaz wydał, a po drugie, ten pokaz walki mojego przyjaciela powinien dać wam do myślenia, panowie. On jest szybki jak strzyga. Nie warto, panowie. Uwierzcie.

– „Strzyga”? – zapytał jeden z żołnierzy. – Cóż to jest „strzyga”?

– Demonica pogańska. Kobieta mocno skrzywdzona za życia, stająca się po śmierci potworem i ścigająca swoich krzywdzicieli – wyjaśnił Muskata mechanicznie, wciąż trzymając martwą głowę swojej przyjaciółki. Kaja i Radosław spojrzeli na niego z szacunkiem.

– Do stu diabłów, brać ich! – Tym razem kapitan sam dał przykład żołnierzom i ruszył w kierunku Radosława.

– Opuść miecz, kapitanie! – W końcu z oszołomienia obudził się Ambrosio. Jego czarownica przegrała starcie, co więcej, okazała się oszustką i na domiar złego uciekła. Nie wierzył już w powodzenie swojej misji. Należało teraz ograniczyć straty i liczyć na wyrozumiałość adwersarzy. – Opuścić miecze! Nikomu nie stanie się krzywda, moi bracia w Chrystusie! Źle nas zrozumieliście.

– Co takiego? – Kapitan Gott nie uwierzył w to, co usłyszał. Wykonał kilka kolejnych kroków w kierunku Radosława i Kai. – Nie poddamy się chyba. Przecież to tylko jeden człowiek, Ekscelencjo!

– Dwoje! – Głos Kai zabrzmiał wojowniczo. – I już mam dość negocjacji z tobą, kacie.

Kaja powiedziała po cichu słowo, od którego wszystkim pod stopami drgnęła ziemia. Ku przerażeniu obserwatorów grunt zaczął powoli wchłaniać kapitana Henryka Gotta.

Kat wrzasnął przerażony. Dwukrotnie udało mu się wyrwać zapadającą się stopę z grząskiej ziemi, ale za trzecim razem już nie był w stanie tego zrobić. Jego nogi powoli znikały pod warstwami gleby. Odrzucił miecz i próbował odkopywać dłońmi nogi, jednak jego ruchy jedynie przyspieszyły zapadanie. Po połowie pacierza tkwił w ziemi już po pierś.

– Litości! – krzyknął i błagalnie spojrzał na dziewczynę.

Ta wykonała dyskretny ruch dłonią i kapitan przestał się zapadać. Wszyscy żołnierze odrzucili miecze. Stali posłusznie w nadziei, że ktoś każe im odmaszerować.

– Poradziłbym sobie, Kaju. – Radosław odwrócił się do niej i się uśmiechnął.

– Och, Radku, nie masz nawet miecza. – Odwzajemniła mu uśmiech.

– Już mam. – Rycerz wskazał na dwa leżące na ziemi miecze obok wyeliminowanych już napastników.

– Na dziś już dość zabijania. Biskupie, odpraw żołnierzy! – Głos Kai i spojrzenie w kierunku Ambrosio były pełne łagodności.

Biskup Ambrosio się zawahał. Spojrzał niepewnie na biskupa d'Euse. Natrafił na jego surowy wzrok.

– Odmaszerować, panowie! – rozkazał po chwili. – Uwolnijcie jeńców z wozów.

– Jesteś zbrodniarzem, Ambrosio! – D'Euse nazwał rzeczy po imieniu. – Gdyby nie tych dwoje pogan, zesłanych na pewno przez Boga, zabiłbyś nas



wszystkich, zrzucił pewnie morderstwa na ludzi starej słowiańskiej wiary, doprowadziłbyś do beatyfikacji von Rapparda, wygrałbyś konklawe i doprowadziłbyś do krwawej krucjaty na wschodzie. Widzę teraz wszystko jasno, bracia biskupi. Dziękuję Bogu za tę parę! – Spojrzał z wdzięcznością na Słowian, a następnie surowo na biskupa Ambrosio. Ten opuścił głowę i milczał.

Uwolnieni z wozów gwardziści szwajcarscy odzyskali broń i aresztowali ludzi biskupa Ambrosio, a ci grzecznie pozwolili umieścić się w wozach i zamknąć.

Kaja zwróciła się do biskupów:

– Kiedyś jedna bardzo bliska mi wieszczka, która poświęciła swoje życie dla mnie, powiedziała mi, że czasem lepiej jest porozmawiać z wrogiem i zmienić jego serce, niż go zabijać. Nie lękajcie się. Jesteście bezpieczni. Chcę z wami porozmawiać. Usiądźmy.

Kaja sama usiadła na ziemi z podwiniętymi pod pośladki nogami i zachęciła do tego pozostałych.

Gdy wszyscy usiedli, dziewczyna chciała zacząć rozmowę, ale uprzedził ją Jan Muskata.

– Muszę was wszystkich ostrzec, bracia w Chrystusie... – Polski biskup z obawą spojrział na Kaję i Radosława. – Jestem prawie pewien, że właśnie tych dwoje pogan było tutaj na cmentarzu, gdy umarł nasz papież.

– Byłeś tutaj wtedy? – D’Euse bardzo się zdziwił. – Przecież wszystkim biskupom i kardynałom papież nakazał pozostać po konklawe w Lateranie.

– Nie byłem, drogi Jacques’u. Masz rację, ale przysięgam na swoje zbawienie, że widziałem przebieg wydarzeń, które tutaj miały miejsce.

– Jak to możliwe? – spytał brat Heinrich i zaczął coś notować w swoim pergaminowym notatniku.

– Moja przyjaciółka, która tu zginęła, była czarownicą – westchnął Muskata. Widać było, że mówi z pewną obawą. – Dzięki niej zobaczyłem to, co widział tego dnia de Millow na tym cmentarzu.

– Na Boga Wszchemogącego, Janie! – wykrzyknął d’Euse, a brat Heinrich zaczął jeszcze intensywniej notować. – Parałeś się czarami?!

– Ta kobieta chciała mnie uratować z lochu de Millowa w Lateranie. Nie ufałem jej na początku. Węszyłem podstęp. Aby mnie uratować, musiała zyskać moje zaufanie. Łączyłem się z nią myślami i pokazała mi wiele rzeczy.

– I pewnie zobaczyła wiele ciekawych dla niej rzeczy w twoich myślach, Ekscelencjo – przytomnie zauważył dominikanin. – A co chciała w zamian? Co jej dałeś, Ekscelencjo? – Jego głos przez moment zabrzmiał groźniej.

– Wyspowiadałem ją i jej siostrę bliźniaczkę.

– Tylko tyle?

Wszyscy spojrzeli na biskupa Muskata zadziwieni.

Po dłuższej chwili zamyślenia ciszę przerwał d’Euse.

– Czyli mamy ci wierzyć, że tych dwoje pogan było na cmentarzu, gdy zginął nasz papież, bo dzięki pomocy czarownicy widziałeś wspomnienia hrabiego de Millow? – podsumował d’Euse głosem pełnym niepewności.

– Można mu wierzyć, biskupie – powiedziała Kaja. – Byliśmy tutaj we dwoje, gdy umarł wasz papież.

Po tych słowach zapadła cisza. Biskupi patrzyli ze strachem. Każdemu z nich jedno pytanie cisnęło się na usta, ale tylko d’Euse odważył się zadać je na głos.

– Czy wy zabiliście naszego papieża?

Wszyscy biskupi uważnie spojrzeli na Kaję.

– I tak, i nie, biskupie d’Euse. – Kaja szczerze spojrzała mu w oczy. – Przywiodły nas tutaj wróżby. Wróżby i nadzieja, że uratujemy świat naszych starych wierzeń. Tutaj na cmentarzu znaleźliśmy spisany na pergaminie pakt von Rapparda z demonem i Luxferrusem. Pojawił się papież z de Millowem i żołnierzami. Cmentarz okazał się pułapką złych mocy na nas. Broniąc naszego życia, Radosław porwał ten pergamin z podpisami. W tym momencie umarł wasz papież, a demon zniknął. Został tylko Luxferrus...

– Lucyfer? We własnej osobie? Boże, co ty mówisz, kobieto! – Dominikanin był blady z przerażenia.

– Tak. We własnej wielopostaciowej osobie. Mówił, że nazywa się Legion, bo jest ich wielu. I było ich wielu. Otaczali nas... – Kaja zamyśliła się głęboko i przerwała opowieść.

– Jak to możliwe, że poradziliście sobie z Lucyferem? – D’Euse był zmrożony opowieścią. Czuł jednak, że słyszy prawdę.

– Radosław rzucił się prosto na niego z gołym mieczem. – Kai z oczu popłynęły łzy. – Poświęcił się dla mnie. Zyskał dla mnie czas na ucieczkę.

– Przecież żyję, najdroższa! – Radek chwycił Kaję za rękę. Ona ścisnęła ją mocno i powoli przestała szlochać.

– Pokonałeś Lucyfera mieczem? – nie dowierzał d’Euse.

– Oczywiście, że nie, biskupie. Przegrałem. Umarłem. – Radosławowi przelatywały przed oczami sceny walki z tysiącami diabłów. – Zostałem zadźgany tysiące razy. Na szczęście nasi bogowie pozwolili mi wrócić z zaświatów.

– Zmartwychwstałeś? – zdziwił się d’Euse.

– Raczej dostałem drugie życie, biskupie.

– Boże Wszechmogący, co za historia! – Brat Heinrich notował zawzięcie.

– Dlaczego nam to opowiadasz, słowiańska dziewczyno? – zapytał d’Euse wprost.

– Wierzę, że prawda zmieni serca waszych kapłanów, biskupie.

– Czyli naprawdę zamierzasz puścić nas wolno? – D’Euse najwyraźniej lubił zadawać pytania nad wyraz bezpośrednio.

– Tak, biskupie. Nie stanie się wam z naszej strony żadna krzywda. Mimo że dwóch z was próbowało mnie zabić.

– „Dwóch”? – zdziwił się d’Euse.

– Dwóch. Biskup Ambrosio dziś, a biskup Muskata w tym roku, krótko po wiosennych roztopach.

– Ja? – Oczy biskupa Jana Muskaty były wielkie jak spodki ze zdziwienia.

– Widzę, że nie pamiętasz, biskupie, ale przypomnisz sobie zapewne, jak powiem, że to ja jestem tą małą dziewczynką, która nie wydała z siebie dźwięku, gdy paliłeś ją na stosie.

Biskupi spojrzeli na Muskatę. Niektórzy z widocznym wyrzutem. Wzrok biskupa się zmienił. Przypomniawszy sobie. Przypomniawszy sobie, jak na młodej kapłance pogańskiej zaczynała płonąć jej prosta biała sukienka i jak jej białe stopy zamieniały się w węgiel.

– Przypomniałem sobie. Działalem wówczas w imię swojej wiary. Teraz postąpiłbym już inaczej. Nie wiem, jak to możliwe, że żyjesz, ale dzięki temu, że przeżyłaś stos, nie mamy dziś papieża, który jest sługą diabła. Poza tym przed chwilą uratowałaś nam życie. Dziwnie plotą się twoje losy z losem Kościoła, dziewczyno. Żałuję tylko, że musiała zginąć moja przyjaciółka Aisha. Jej też zawdzięczam życie.

– Mam wrażenie, że losy tej czarownicy Lilith również są mocno związane z Kościołem. – Kaja zmieniła temat rozmowy i jej ciężki wzrok spoczął na biskupie Ambrosio.

– Jak się przekonaliście, mnie też oszukała – próbował grać ofiarę Ambrosio.

– Nie opowiadaj kłamstw, Ambrosio! – zdenerwował się d'Euse. – Przekonaliśmy się dziś, jak bardzo chciała, byś po naszych trupach zdobył tron Piotrowy. Czym jej zapłaciłeś? Duszą?

– Złotem... – Ambrosio spuścił głowę.

– Złotem skropionym krwią – uściślił Muskata.

– Boże Wszechmogący, skąd o tym wiesz? Byłeś przy tym? – Ambrosio po raz kolejny tego dnia został absolutnie zaskoczony.

– Nie byłem przy tym. Aisha przejrzała twoje myśli podczas snu. Widziała, jak nacinasz kciuk i krew skapuje na dukaty. To wszystko robiłeś w arcybazylice, Ambrosio. Pod obrazem Świętego Piotra.

Ambrosio aż się zgarbił, słysząc te słowa. Pozostali biskupi sapnęli zaskoczeni, a młody dominikanin ciągle notował coś na swoich płachtach

pergaminy.

– Po co była jej twoja krew? – zainteresował się d'Euse. – To zdecydowanie pachnie bardzo złym czarostwem.

– Nie wiem. Nie powiedziała – przyznał Ambrosio szeptem. Dopiero teraz widział, jak zaślepiła go wówczas ambicja.

– Ja chyba wiem, po co była jej twoja krew, Ambrosio. – Głos Jana Muskaty zabrzmiał bardzo poważnie. – Jeżeli się nie mylę, to są dla ciebie złe wieści.

– Po co jej była moja krew na pieniądzach, biskupie Muskata? – Głos biskupa Ambrosio drżał.

– Wiem, że zabrzmiało to zupełnie abstrakcyjnie, moi bracia w Chrystusie, ale wierzę w to, że ta Lilith chorobliwie nienawidzi ludzi, jak i dzieła bożego, jakim jest Kościół. Złota skropiona krwią zażądała również od von Rapparda, gdy potrzebował pomocy, aby znaleźć cyrograf, i najprawdopodobniej od jego poprzednika, Benedictusa XI. Bóg jeden wie, od kogo jeszcze.

– Benedictusa XI? Stąd o tym możesz wiedzieć, Muskata? Nie opowiadaj mi tutaj o swoich domysłach, tylko o faktach! – D'Euse był bardzo zdenerwowany.

– Nie odpowiedziałeś, po co jej była moja krew – zniecierpliwił się Ambrosio.

– Krew na zapłacie za jej usługi jest po to, by płacący zapłacił również swoim zbawieniem, bracia. I żadna spowiedź już nie pomoże. Nie wiem, jak ona to robi, ale wierzę, że wymazuje płacących krwawymi pieniędzmi z Księgi Życia.

– Zwariowałeś, Muskata! Zupełnie zwariowałeś! – D'Euse patrzył na niego jak na wariata.

Ambrosio zbladł jak kreda, a brat Heinrich notował.

– Aisha wraz ze swoją siostrą bliźniaczką Rebekką odprawiły jakiś rytuał, który pozwala zajrzeć do Księgi Życia. Według nich Lilith nigdy w tej księdze nie było, więc podejrzewały, że ona w ogóle nie jest człowiekiem. Mówiły wciąż, że Lilith nie jest zwykłą czarownicą. Benedictus XI oraz von Rappard zostali wypisani z Księgi Życia w czasie ich żywota.

– I my mamy w to uwierzyć? – Tego dnia biskup d’Euse usłyszał już zdecydowanie za dużo.

– Potwierdzam niektóre z tych podejrzeń, biskupie d’Euse – odezwała się Kaja, dotychczas w milczeniu z zainteresowaniem przysłuchująca się rozmowie. – Lilith nie jest człowiekiem. To inna istota.

– Przecież widzieliśmy, że to stara kobieta, która potrafi zmieniać postać. – D’Euse podał w wątpliwość stwierdzenie Kai.

– Im dłużej teraz myślę, tym bardziej jestem przekonana, że ona skrywa swój rzeczywisty wygląd pod przykryciem kilku uroków. Zdjęłam tylko jeden, bo nie sądziłam, że ktoś może zadać sobie tyle trudu, by ukryć swoją tożsamość. Myślę, że postać staruchy w czerwonej sukni i z okropnie brudnymi nogami to też tylko ułuda – spokojnie tłumaczyła Kaja. – Gdy odczytałam jej powierzchowny urok i nie zadziałało jej mordercze słowo, wystraszyła się, że odkryję jej prawdziwą postać. W ogóle nie czułam w niej strachu o własne życie, ale właśnie o zachowanie tajemnicy. A co więcej... – Kaja spojrzała na leżące martwe ciało Aishy. – Ona nie stosuje zaklęć takich jak czarownice. To słowa mocy. To język boski. Tak nie czarują ludzie.

– „Boski język”? – D’Euse nie zrozumiał.

– Tak, biskupie. Boski. Słowa czarów działają na umysł lub materię. Boskie słowa mocy wpływają na ducha istoty żywej lub istotę rzeczy martwej. Lilith nie jest czarownicą.

– Dlaczego jej boskie słowo cię nie zabiło? – D’Euse najwyraźniej lubił wszystko rozumieć.

– Myślę, że zabiłoby, gdybym była ochrzczona po chrześcijańsku. – Kaja się zamyśliła. – Obawiam się, że następnym razem może użyć właściwszego słowa.

– Ona nie sypia – dodał niespodziewanie Muskata. – Aisha mówiła wielokrotnie, że nie może znaleźć we śnie umysłu Lilith ani Grety. Nie podejrzewała nawet, że to jedna i ta sama istota.

– To kim ona jest, do stu diabłów? – Ambrosio nadal był blady jak kreda.

– Nie wiem tego – przyznała Kaja.

– Mam pewne podejrzenia... – zaczął nieśmiało Muskata.

Wszyscy utkwili w nim swoje spojrzenia. Nawet brat Heinrich przestał na chwilę notować, a jego pióro zawisło nad pergaminem.

– Czarownica Lilith... To Lilith...

– Cóż to ma znaczyć, Muskata? – D’Euse, podobnie jak inni, nie zrozumiał.

– Lilith była pierwszą kobietą Adama, jeszcze zanim Bóg stworzył dla niego Ewę. Myślę, że nasza czarownica Lilith to właśnie ta Lilith.

Zapadła cisza.

– Mówisz o tej Lilith ze starotestamentowej Księgi Izajasza? – Ten pomysł wydał się biskupowi d’Euse zupełnie nieprawdopodobny. – O tej, która pierwsza, jeszcze przed Ewą, została stworzona dla Adama?

– Dokładnie o tej, drogi Jaques’u. O tej, o której pisze Alfabet Ben Sira oraz Księga Izajasza.

– Ona nie może jeszcze żyć. Stworzona została razem z Adamem, a Adam już dawno nie żyje – zaprotestował d’Euse.

– Księgi piszą, że spółkowała z diabłem, gdy uciekła od Adama nad Morze Czerwone. Może on dał jej taką żywotność. To była dla niej jedyna szansa na utrzymanie życia, jeżeli nie ma jej w Księdze Życia.

– To są tylko twoje domysły i fantazje, drogi Janie.

– Czy mogę zapytać, kim jest ta starotestamentowa Lilith? – Kaja chciała zrozumieć, o czym rozmawiają biskupi.

– Według naszej wiary szóstego dnia stworzenia Bóg stworzył pierwszego człowieka, mężczyznę o imieniu Adam. – Muskata podjął się wytłumaczenia tej kwestii. – Stworzył go z ziemi. Niektóre źródła mówią, że razem z nim, tego samego dnia i również z ziemi, Bóg stworzył dla Adama pierwszą kobietę o imieniu Lilith. Jest napisane, że nie chciała ona podporządkować się Adamowi, bo uważała, że jest mu równa, gdyż też powstała z ziemi. Lilith podobno wypowiedziała boskie słowo, uniosła się w powietrzu i odeszła od Adama nad

Morze Czerwone. Adam poskarżył się Bogu, że jego kobieta odeszła. Ten wysłał aniołów do Lilith, by ją zawróciły, lecz ona w międzyczasie spółkowała już z diabłem i odmówiła powrotu. Została wówczas odrzucona przez Boga i ukarana śmiercią swojego potomstwa, które miała z diabłem. Dopiero wtedy Bóg stworzył Ewę, drugą kobietę Adama, ale pierwszą matkę jego dzieci. Bóg stworzył Ewę z żebra Adama, a nie z ziemi, by nie była mu równa. Tak mówią niektóre pisma. Wiele pism milczy na temat Lilith, tak jakby jej osoba miała być zapomniana. Niektórzy nawet negują jej istnienie. Inni z kolei piszą o jej nienawiści do ludzi, porywaniu noworodków i tak dalej. Jest wielu, którzy uważają, że wąż, który skusił Adama, by zjadł owoc z Drzewa Dobra i Zła, to nie był diabeł, tylko właśnie Lilith. Ona przybiera różne formy. Pragnie zguby całego rodu Adama. Myślę, że dlatego tak chce wpływać na los Kościoła. Podejrzewam, że robi to od wielu lat.

– Boże, Muskata! – D’Euse nie dowierzał. – To by oznaczało, że od zarania dziejów zmagaliśmy się nią, nawet o tym nie wiedząc, a wiele jej działań przypisaliśmy diabłu. Nie wiem, czy w ogóle Kościół byłby gotów przyjąć taką ewentualność. Wybaczcie mi na chwilę. Chcę pobyć sam. Muszę się pomodlić.

Biskup d’Euse wstał i odszedł kilkanaście kroków, padł na kolana i swoim zwyczajem zatopił się w modlitwie.

Kaja obserwowała go uważnie. Biła od niego podobna charyzma jak od papieża Polaka spotkanego w przyszłości. Mało jest takich ludzi. Kościół i świat inaczej by wyglądały, gdyby tacy ludzie stali na czele chrześcijan.

Modlitwa trwała długo. Nikt nie śmiał jej jednak przerwać. Kaja wyczuła wielki szacunek wobec modlącego się w głowach pozostałych hierarchów. Wsłuchiwała się jednak przede wszystkim w myśli d’Euse. Prosił o pomoc i wsparcie swojego Boga. Prosił o mądrość i dobre rozstrzygnięcie dylematu. D’Euse nie wiedział, komu może ufać i w co powinien wierzyć. Podkreślał przed Bogiem swoją małość wobec tego problemu. Kaja z zaciekawieniem oczekiwała, czy Bóg chrześcijański odpowie. Jakich użyje słów. Ze zdziwieniem stwierdziła, że mimo iż żadne słowa nie zostały użyte, d’Euse jest przekonany, że Bóg mu



odpowiada. Biskup zaczął myśleć w sposób przejrzysty. Mgła wątpliwości ustępowała. W umyśle modlącego pojawiło się przekonanie, że została mu objawiona prawda. Nie był to prosty sposób komunikacji ze swoim Bogiem. Wymagał wiary od modlącego. Interwencja Boga nie następowała w sposób niewątpliwy, jednak Kaja też czuła, podobnie jak biskup, że interwencja Boga w jego myśli nastąpiła.

Biskup d'Euse wykonał w powietrzu znak krzyża, wstał i podszedł do nich. Pozostali hierarchowie wyczekiwali na to, co powie.

– Jak masz na imię, słowiańska kapłanko? I ty, rycerzu polski? – D'Euse zaskoczył wszystkich słowami skierowanymi najpierw do pogan.

– Biskupie, proszę mi mówić po imieniu. Mam na imię Kaja.

– Radosław – odpowiedział krótko rycerz.

– Kapłanko Kaju, rycerzu Radosławie, czy pomożecie nam rozpoznać to zło, jakim jest Lilith?

Pytanie d'Euse zadziwiło na pewno biskupów, ale żaden z nich nie wypowiedział żadnego protestu. Ufali mu.

Kaja spojrzała na Radosława. Nie musieli używać słów.

– Dla nas, biskupie, najważniejsze jest, aby nikt z wyznawców starej wiary nie był zabijany z jej powodu ani siłą przymuszany do jej zmiany przez wyznawców Chrystusa – odpowiedziała Kaja odważnie.

– Bóg dał mi do zrozumienia, że Kościół wyzwolony spod wpływu Lilith nie będzie szukał wyznawców przemocą. Ja wam to obiecuję, że zawsze będę przeciwnikiem krucjat, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by powstrzymać innych od realizacji tego pomysłu.

– Powiedz zatem, jak wyobrażasz sobie naszą pomoc? – Tym razem to Radosław zadał pytanie.

– Lilith pokazała nam dziś, że może pojawić się gdziekolwiek, okryta czarem, i zabić jednym słowem. Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która jest w stanie ją rozpoznać i zatrzymać, kapłanko Kaju. Chcę cię zabrać do Lateranu, do stolicy

chrześcijaństwa, byś nas broniła. W zamian obiecuję ci, że zrobię wszystko, by nie było żadnej krucjaty. Czy chcesz czegoś więcej? Czy chcesz jakiejś dodatkowej zapłaty? – D’Euse spojrzał otwarcie w oczy Kai.

– Biskupie, nie chcę żadnej innej zapłaty poza spełnieniem twojej obietnicy. Chcę, żeby pojechał ze mną też Radosław, o ile się zgodzi. – Spojrzała na Radka, a on bez namysłu potwierdził skinieniem głowy. – I chyba musisz zapewnić nam ochronę przed zwykłymi ludźmi w Laterenie. Oni mogą nie być szczęśliwi, że w okolicy ich świątyń przechadzają się wyznawcy starej wiary.

– Ci gwardziści szwajcarscy, którzy nam dziś towarzyszą, będą waszą ochroną. Zawdzięczają wam życie i dopilnuję osobiście, żeby o tym wiedzieli. Choć nie wydaje mi się, żeby przy Radosławie mógł zagrozić ci jakikolwiek człowiek. – D’Euse życzliwie spojrzał na rycerza.

– Mam przeczucie, biskupie d’Euse, że w tej chwili, tutaj, przy tej cmentarnej bramie, decydują się najbliższe losy naszego wspólnego świata. – Kaja, wypowiadając te słowa, patrzyła w dal. – Widzę w tobie charyzmę, biskupie d’Euse. Niedawno byłam świadkiem, jak wiele dobrego może uczynić charyzmatyczny przewodnik dla ludzi swojej wiary. Ufam ci. Jeżeli chodzi o ciebie, biskupie Janie Muskata – kontynuowała Kaja, tym razem patrząc na byłego biskupa krakowskiego – to widzę, jak zmieniło się twoje serce. Zmieniła je, o dziwo, czarownica, którą uważałeś na początku za wcielenie wszelkiego zła. Zmiana w twoim sercu daje mi nadzieję, że i ty odegrasz jeszcze swoją rolę w zapewnieniu pokoju. Nawet ty, biskupie Ambrosio, masz jeszcze swoją rolę do odegrania. Potraktuj to jako dobrą wróżbę.

Kaja nadal patrzyła w dal.

– Opowiem całą prawdę w Lateranie. Powiem wszystko, co wiem o tej wiedźmie Lilith – zadeklarował skruszony Ambrosio.

– A dla mnie też widzisz jakąś dobrą przyszłość? – odezwał się głos zakopanego wciąż po pachy w ziemi kata Henryka.

Kaja spojrzała prosto w jego załamane obecnie oczy.

– Dla tak zdeprawowanych nie widzę już przyszłości. Nie jesteś ofiarą, ale katem. Do końca swoich dni nie opuścisz już lochu.

## Epilog 1.

Marka Kunickiego obudziło uczucie chłodu. Otworzył oczy i przez chwilę bezrozumnie wpatrywał się w błękitne niebo nad głową. Wrażenia powoli zaczęły do niego docierać. Zrozumiał, że leży na gołej ziemi, a jego głowa spoczywa na czymś bardzo twardym. Podniósł się powoli. Był na szczycie Łysicy. Kai nigdzie w pobliżu nie było. Na szczęście nie było też tej staruszki wyglądającej tak, jakby była wymazana piaskiem. Zorientował się, że gdy spał, ktoś posprzątał okolice szczytu. Nigdzie nie było tak wszechobecnych wcześniej butelek, puszek ani papierów. W międzyczasie ktoś zdemontował też krzyż. Może jakiś konserwator?

Wzrok Marka padł na leżący obok niego gliniany dzban. Gdy wziął go do ręki, ze zdziwieniem stwierdził, że jest wypełniony czymś ciężkim i brzęczącym. Czyżby to były monety? Wysypał na dłonie część zawartości dzbana. Zobaczył srebrne monety z wybitym lwem oraz napisem „GROSSI PRAGENSES” w otoku. Pierwszy raz w życiu miał w ręku taki skarb.

Wołał Kaję przez przynajmniej dziesięć minut, ale nikt nie odpowiedział. Widocznie zapłaciła mu i zostawiła go, bo już nie był jej potrzebny. Mimo podniecenia z posiadania takiego skarbu był trochę zawiedziony. Zawiedziony jej nagłym zniknięciem. Uznał w końcu, że pora zejść z góry. Nie mógł znaleźć szlaku, więc wybrał zbiegającą w dół wąską ścieżkę. Droga okazała się trudna. Kilkukrotnie lądował na wilgotnej ziemi i rozsypywał monety. Kilkukrotnie uraził swoje nogi o wszechobecne różnej wielkości kamienie.

Gdy schodził, przypomniały mu się słowa cygańskiej wróżby, którą usłyszał kilka tygodni wcześniej.

„Biedny byłeś... Biedniejszy jeszcze będziesz... Samotny byłeś... Samotniejszy jeszcze będziesz... Nie będzie łatwo, chłopcze... Aż mi cię, chłoptasiu, szkoda... Ale na koniec czeka cię... przygoda”.

Zaśmiał się w ciszy. Skąd mu to tak nagle przyszło do głowy? Może dlatego, że naprawdę przeżył przygodę. Ścieżka wyszła w końcu z lasu i oczom Marka ukazał się jakiś skansen. Zobaczył kilkanaście krytych słomą, ale dobrze utrzymanych chałup. Wokół zabudowań i w zagrodach kręciło się kilka osób przebranych za chłopów sprzed wieków oraz całkiem sporo zwierząt hodowlanych.

Gdy zbliżał się do zabudowań, na spotkanie mu wyszedł najschludniej wyglądający chłop.

– Witaj, panie, Kosma mnie zwał, ja wołchwem tu jestem w tej osadzie, guślarzem znaczy – rzekł chłop językiem, który Marek ledwo zrozumiał.

Wtedy dopiero dotarło do niego, gdzie jest.

– O kurwa! – zaklął Marek Kunicki i mocniej przycisnął dzban ze srebrem.

## Epilog 2.

*Mężczyzna w wieku około 40 lat, w dziwnej czarnej sutannie, o fasonie, jakiego wcześniej obserwator nigdy nie widział, szedł pięknie udekorowanym w złocenia korytarzem. Gdyby nie koloratka przy szyi, obserwator nie pomyślałby, że to w ogóle szata kościelna. Mężczyzna trzymał przy uchu duży czarny przedmiot wielkości cegły z wystającym z niego długim błyszczącym drutem, wyglądającym jak bardzo długa, wąska igła, i mówił coś co chwilę do tego przedmiotu. Drugi, znacznie większy, obity czarną skórą, regularnie sześcienny, choć płaski przedmiot trzymał w drugiej dłoni za wygodny uchwyt w kolorze złotym. Ten drugi przedmiot wyglądał na skrzynkę z wygodnym zdobionym uchwytem. Mężczyzna był zaaferowany, rozglądał się na boki i mówił do pierwszego przedmiotu głosem celowo przyciszonym. Mówił w języku, który obserwator rozumiał. To był język polski, ale tak udziwniony, że obserwator z trudem zrozumiał, że mężczyzna umawia jakieś spotkanie.*

*Mężczyzna zaczął biec. Przed wrotami kaplicy zwolnił i odsunął od ucha czarny przedmiot, do którego mówił. Gwardzista szwajcarski pilnujący wrót usunął się na bok i uchylił wrota.*

*– Czy jest ktoś w środku? – zapytał mężczyzna po włosku.*

*– Kaplica jest pusta, Ekscelencjo – padła odpowiedź.*

*– Nie wpuszczaj nikogo do środka. Chcę być sam. – Mężczyzna wydał polecenie, a gwardzista skinął głową, że zrozumiał.*

*Przybysz wszedł do kaplicy, a obserwator zobaczył ją oczami mężczyzny. Była zachwycająca. Podłoga wykonana z mozaiki utrzymanej w brązach i bieli z idealną symetrią i geometrią figur. Na ścianach w pewnym podwyższeniu*

dostrzegł dwa rzędy zapierających dech w piersiach fresków ze scenami biblijnymi oddzielonymi ażurową, kutą, złożoną balustradą. Naprzeciw wejścia obserwator zobaczył budzący dreszcz fresk przedstawiający Sąd Ostateczny, a na sklepieniu wykonaną z niecodziennym talentem alegorię stworzenia Adama. Obserwatorowi nie zostało dane podziwiać dłużej piękna tej nieznanej kaplicy, gdyż wbrew temu, co powiedział gwardzista, nie była ona pusta.

– Witaj, gołąbeczku!

Słowa te wypowiedziała kuszącym, niskim sopranem piękna, młoda kobieta siedząca na małej drewnianej ławeczce z założoną jedną piękną, długą nogą na drugą równie piękną i równie odkrytą nogę dzięki bardzo wąskiej i krótkiej spódnicy. Kobieta miała białą koszulę, rozpiętą przy szyi na tyle znacznie, że widać było czerń jej haftowanej bielizny okrywającej intrygująco uniesiony biust. Jej rude włosy były upięte wysoko i odsłaniały szczupłą szyję. Obserwator odkrył, jakie ta kobieta budzi pożądanie w mężczyźnie, i aż poczuł się nieswojo. Ale pożądanie nie było w stanie zamaskować strachu mężczyzny przed tą kobietą.

– Witaj, gołąbeczku – powtórzyła kobieta. – Jak widzisz, szybko pojawiłam się, gdy zadzwoniłeś.

Kobieta kusząco machała nóżką przed oczami mężczyzny. Jego wzrok skupiony był na zgrabnej, drobnej stópce kobiety umieszczonej w niemal niewidocznym buciku z obcasem cieńszym od małego palca dłoni.

– Usuń go w końcu, wiedźmo. Już czas – odezwał się mężczyzna, gdy tylko uwolnił się od czaru jej zgrabnych nóg.

– Przyniosłeś pieniądze? – padło konkretne pytanie.

– Przyniosłem tyle, ile żądałaś.

Mężczyzna postawił na ziemi swoją obitą czarną skórą skrzyneczkę, odpiął ukryte zapięcie i otworzył. Wypełniona była równo ułożonymi kolorowymi papierami, przyciętymi do niedużego formatu i przewiązаныmi w grube pliki jakimiś sznureczkami. Na każdym kawałku papieru widniała jakaś głowa namalowana różnymi barwami.

*Kobieta wstała i zrobiła kilka majestatycznych kocich kroków w kierunku skrzyneczki, stukając przy tym głośno butami o mozaikową posadzkę kaplicy.*

*– Tu jest sto milionów złotych. Tyle, ile chciałaś.*

*– Wiesz, że to nie wszystko, gołąbeczku... – Kobieta miała niezwykle pociągające, jasne szaro-błękitne oczy.*

*– Ach tak, krew... – Mężczyzna przypomniał sobie jakby z niechęcią. – Po co ci moja krew, więdźmo?*

*– Do eksperymentu, który może uratuje twoją duszę przed wiecznym potępieniem – odpowiedziała poważnym głosem szykowna kobieta. – Wszyscy o to pytacie.*

*– Niech będzie – odrzekł mężczyzna i wyjął z kieszeni coś małego owiniętego w gruby papier.*

*Gdy odwinął go, w ręku trzymał mały, prostokątny, niewiarygodnie cienki kawałek metalu o barwie nieco przypominającej srebro. Mężczyzna bez żadnych kłopotów naciął opuszek swojego kciuka i kilka kropel krwi spadło na kawałki papieru leżące w niewielkiej skrzyni. Obserwator mógł teraz dostrzec napisy „Polska Rzeczpospolita Ludowa” oraz „Dwa tysiące złotych” w górnej części każdego papierka, jak również podpis „Mieszko I” pod barwnym rysunkiem. Imię króla rządzącego niegdyś Państwem Polan było mu znane.*

*– Usuń go, więdźmo! Stoi mi na drodze – zażądał mężczyzna.*

*– Niedługo zostanie zastrzelony, gołąbeczku. Już niczym nie musisz się martwić.*

*Wzrok kobiety był lodowato zimny.*

\*

Biskup Jan Muskata się obudził. Był to sen bardzo podobny do wizji, których doświadczał, gdy kontaktował się w snach z Aishą. Mimo że nie odezwała się ani słowem, miał silne wrażenie jej obecności podczas tego snu.

*– Boże Wszechmogący... – Muskata padł na kolana. – Oby to była ona.*



*Nawet niewielki wietrzyk może zmienić los człowieka i świata.*

Źródło: napisano pod pseudonimem Maksymilian

*Trzeci zaś poczet ludzi czarom niepodlegający jest naysobliwszy*

*To jest pilną strażą Anielską obwarowany*

*Wewnątrz y zwierzchu.*

Heinrich Kramer, *Maleus Maleficarum (Młot na czarownice)*,

1487 r.

Tłumaczenie z łaciny: Stanisław Ząbkowic, 1614 r.

## Epilog 3.

To była bardzo ciepła, choć nieco wietrzna majowa środa, popołudnie. Na Placu Świętego Piotra zebrał się tłum. Mimo że spotkanie Jana Pawła II z wiernymi, nazywane audiencją generalną, odbywało się regularnie co środę, plac jak zwykle był wypełniony po brzegi. Wielonarodowy tłum czekał już wiele godzin. Czekał w atmosferze radości. Najgłośniejsi tradycyjnie byli Polacy. Pieśń *Abba, Ojciec* niosła się wśród tłumu. Inne narody próbowały rywalizować z nimi. Włosi próbowali przebić się ze swoją *Frutto della nostra terra*, ale podziałało to bardzo mobilizująco na Polaków. Trwała radosna rywalizacja w oczekiwaniu na Niego.

Niemal punktualnie o 17.00 pojawił się na Placu Świętego Piotra. Brawa i okrzyki: „*Papa, Papa*” i „*Padre, Padre*” zagłuszyły wówczas pieśni. Papamobile, jego tradycyjny pojazd, posuwał się wolno. Ojciec Święty swoim zwyczajem był szeroko uśmiechnięty. Machał, wyciągał rękę do ludzi. Z wdzięcznością dotykali jego dłoni. Była 17.19. Wyciągały właśnie do niego ręce dwie Amerykanki, Rose Hall i Ann Odre...

Wtedy to właśnie wszystkie dźwięki na placu pod Bazyliką Świętego Piotra zagłuszyły trzy strzały z pistoletu Browning HP kaliber 9 mm. Pierwszy. Drugi. Trzeci. Strzelec mierzył z bliska. Nikt wówczas nie zauważył, że dokładnie w tej chwili wiatr powiał wyraźnie silniej...

\*

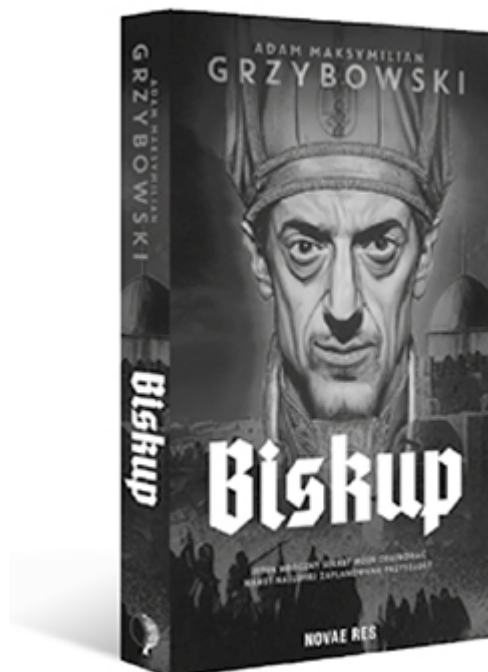
– *Il santo padre è vivo! Il santo padre a vivo!* – krzyczały kilkanaście godzin później wszystkie włoskie rozgłośnie radiowe i telewizyjne, gdy On był już po

operacji i Jego stan był stabilny. Za stacjami włoskimi tę samą wiadomość nagłaśniały stacje innych krajów: – Ojciec Święty żyje! Ojciec święty żyje!

# Spis treści

- Rozdział 1. Więzień
- Rozdział 2. Wędrowiec
- Rozdział 3. Biskup Luigi Ambrosio
- Rozdział 4. Kaja
- Rozdział 5. Podstęp
- Rozdział 6. Kobieta i mężczyzna
- Rozdział 7. Spotkanie
- Rozdział 8. Wołanie
- Rozdział 9. 2 czerwca 1979 roku
- Rozdział 10. Trucizna
- Rozdział 11. Nawia
- Rozdział 12. Ucieczka
- Rozdział 13. Kurza łapka
- Rozdział 14. Zapłata
- Rozdział 15. Wielki Żmij
- Rozdział 16. 15 listopada 1980 roku
- Rozdział 17. Narada
- Rozdział 18. Trzecia bliźniaczka
- Rozdział 19. Pościg
- Rozdział 20. Spowiedź
- Rozdział 21. Powrót
- Rozdział 22. Cmentarz Stolberg
- Epilog 1.
- Epilog 2.
- Epilog 3.
- Karta redakcyjna

**Nakładem Wydawnictwa Novae Res ukazała się również:**



## **JEDEN MROCZNY SEKRET MOŻE ZRUJNOWAĆ NAWET NAJLEPIEJ ZAPLANOWANĄ PRZYSZŁOŚĆ**

Magnusa von Rapparda, biskupa Akwizgranu – niezwykle ambitnego i charyzmatycznego duchownego – podziwiają zarówno wierni, jak i hierarchowie Kościoła. Jednak to nie ambicja i charyzma czynią go wyjątkowym... To moc uzdrawiania i czynienia cudów powodują, że kardynałowie właśnie biskupa z Akwizgranu wymieniają jako głównego kandydata do przejęcia schedy po schorowanym papieżu.

Gdy umiera Benedykt XI, konklawe wybiera von Rapparda. Ten po objęciu Stolicy Piotrowej planuje krucjatę przeciw poganom, aby poszerzyć swoje zwierzchnictwo. Istnieje jednak coś, co nieustannie dręczy nowego biskupa Rzymu – zaginiony pergamin, który skradziono mu podczas włamania. Ktokolwiek wszedł w posiadanie tego osobliwego dokumentu, z pewnością nie

będzie miał skrupułów, żeby wykorzystać siłę zawartego w nim sekretu. A wtedy rozpęta się prawdziwe piekło...

*Kapłanka*

ISBN: 978-83-8313-667-7

© Adam Maksymilian Grzybowski i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Monika Turała

KOREKTA: Anna Jakubek

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski



**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zacztyani.**

Zacztyani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie [zacztyani.pl](http://zacztyani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Błaszczyk